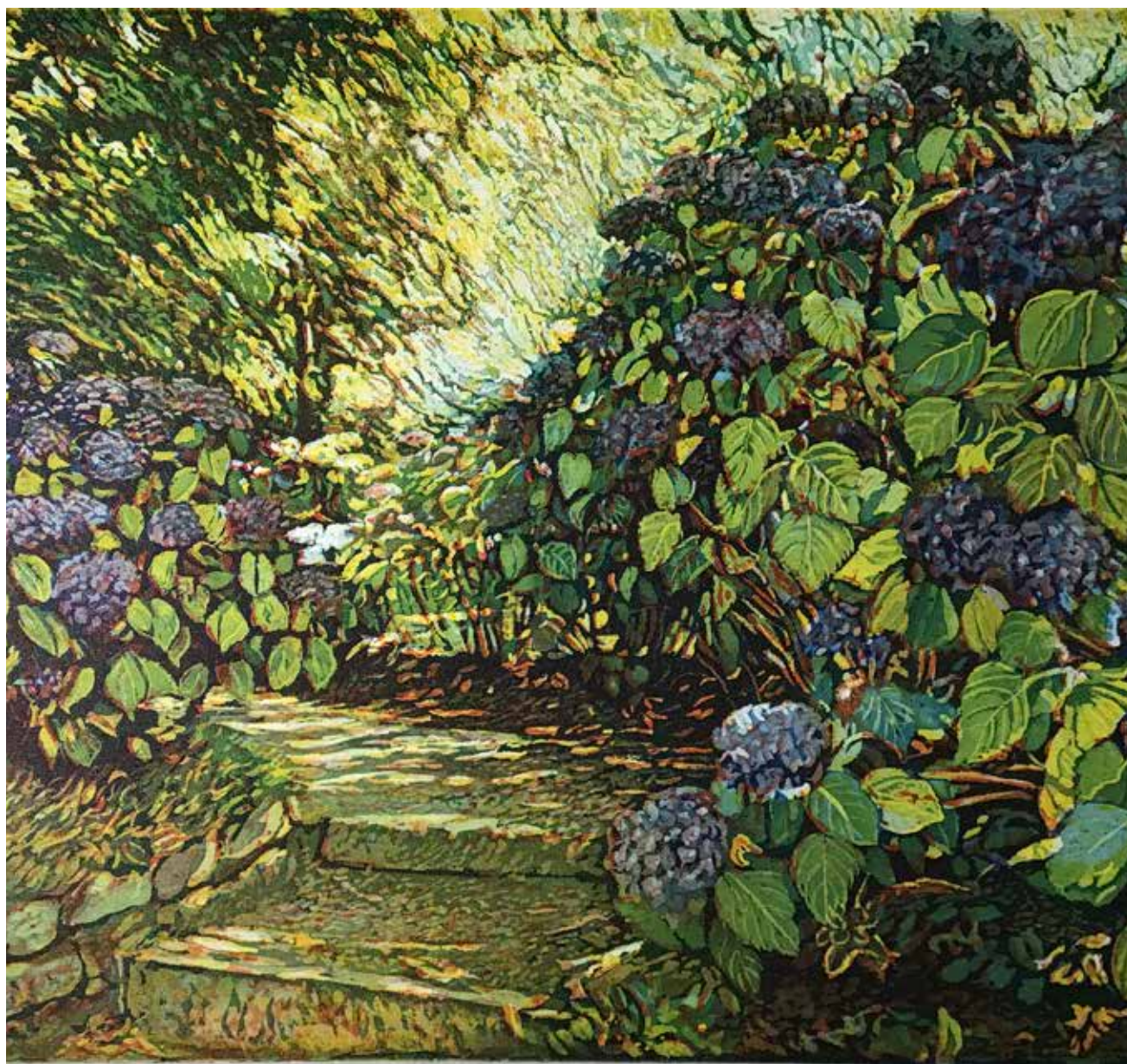


MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 3 (306) • ROK XXVI • MARZEC 2021



POWRÓT  
ZIELENI

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

Czytelnikom miesięcznika „Śląsk”, członkom Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, współpracownikom redakcji oraz naszym przyjaciołom składamy z okazji zbliżających się

## Świąt Wielkanocnych serdeczne życzenia

przede wszystkim: zdrowia, rozsądnego optymizmu, nadziei i wiary oraz miłego świętowania w gronie najbliższych.

Zarząd GTL i Redakcja miesięcznika „Śląsk”



fot. Jarosław Kapsa



Losy stadniny w Skrzydlowie pod Częstochową splatają się z historią rodu jej założycieli – rodziny Reszke. Z rodu tego wywodzili się słynni artyści operowi. Od 2008 roku Filharmonia Częstochowska organizuje konkurs wokalistyczny imienia Reszków. O barwnych losach tej rodziny przypomina też widoczny na zdjęciu pałacyk w Kłobukowicach.

Szczegóły str. 20

fot. Ryszard Szymonowicz



Łazienki i toalety sprzed dekad i wieków sporo mówią o realiach minionych epok. Wiele z tych przybytków dotrwało do naszych czasów i obecnie nie pełnią już pierwotnej funkcji, lecz udostępnione są do zwiedzania. Nie brakuje ich w naszym regionie, a historyczne miejsca, „do których nawet król chadzał piechotą”, opisuje Edward Wieczorek. Na zdjęciu łazienka w Pałacu Dietla w Sosnowcu.

Szczegóły str. 48

fot. Tomasz Bienek



Burzliwe zawirowania historii usiały polskie ziemie wojennymi grobami. W kryjących się w leśnej gęstzynie lub wśród pól mogił spoczywają powstańcy, żołnierze, partyzanci z wszelkich narodowych zrywów. Miejscami tych pochówków często opiekują się troskliwe ręce ludzi dobrej woli, dzięki którym wiele z takich polowych grobów przetrwało do dziś. Opisujemy jeden z takich przypadków z naszego regionu.

Szczegóły str. 54

Nr 3 (306). Rok XXVI. MARZEC 2021

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
MAGDALENA DZIADEK  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
WIESŁAWA KONOPELSKA  
PAWEŁ MAJERSKI  
JAN MALICKI  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
JULIA MONTEWSKA  
JAN MIODEK  
KATARZYNA NIESPOREK  
JERZY PASZEK  
DARIUSZ PIETRUCHA  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
JOANNA WAROŃSKA  
EDWARD WIECZOREK  
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski  
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”  
na terenie całego kraju. Bezpośrednio  
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
BGŻ BNP Paribas o/Katowice  
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna  
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl  
oraz na www.slaskgtl.pl  
Nakład: 1700 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 Tadeusz Sierny OD REDAKTORA  
4 Krzysztof Korwin-Piotrowski ROK BEZ KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO  
8 Ks. Henryk Pyka CIENŃ OJCA  
10 Piotr Skowronek CZŁOWIEK MOJEGO ŻYCIA. ROZMOWA Z KS. ABP SENIOREM DAMIANEM ZIMONIEM  
13 Marian Kisiel MYŚLĄC OJCZYŻNA. O MEDYTACJI KAROLA WOJTYŁY  
16 Henryk Szczepański DOKTOR BOGUSŁAW PARCZEWSKI  
20 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa Z MIŁOŚCI DO KONI  
22 Bogumił Grott TAJNA WOJNA NIEMCÓW Z POLSKĄ  
25 Alojzy Czech EDWARDA ROSE’GO AGITACJA PLEBISCYTOWA  
30 Zbigniew Lubowski OCALAŁA Z SYLWESTROWEJ EKSPLOZJI  
42 Maria Wilgus DR EUGENIUSZ WRÓBEL: SŁUŻBA CAŁYM ŻYCIEM  
46 Antoni Wilgusiewicz ŚLĄSK, WOŁYŃ I INNE KRAŃCE ŚWIATA  
48 Edward Wieczorek SZLAKIEM MIEJSC WSTYDLIWYCH  
54 Tadeusz Loster HISTORIA POWSTAŃCZEJ MOGIŁY  
56 Krystyna Heska-Kwaśniewicz PRZYPOMNIENIE JADWIGI KUCIANKI  
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek NOWA EDYCJA DZIENNIKÓW ŻEROMSKIEGO  
68 Maria Korusiewicz SZTUKA W PANDEMII, ODŚLONA I  
73 Zbigniew Lubowski WIATR OD KLIMCZOKA  
74 Wojciech Lipowski MIĘDZY SŁOWAMI

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 33 Henryk Bzdok NA PRZEŁOMIE (FOTOGRAFIA)  
69 GALERIA: JACEK RYKAŁA, GOTTFRIED HELNWEIN, HENRYK OŻÓG, IRENEUSZ WALCZAK

## POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Ruth Padel SŁUCHAJ (przełożył Tomasz Markiewka)  
6 Wojciech Bednarek CMEN TARZ W OŁOMUŃCU  
28 Patryk Laksa WIERSZE  
36 Lee Slonimski WIERSZE (przełożył Henryk Cierniak)  
44 Wojciech Brzoska WIERSZE  
76 Witold Turant WYCIECZKA DO CONFLANS (FRAGMENT)

## FELIETONY

- 19 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich CZAS ZADUMY I HUMANISTYCZNEJ REFLEKSJI  
32 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski NIE PORZUCAJ NADZIEJE  
35 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA Jan Mioddek TOĆ SŁYSZA, CO GODOSZ!  
38 BŁYŃSKI I ZAPATRZENIA Marian Sworzeń TOMASZ KURPIERZ, „HENRYK SŁAWIK 1894-1944. BIOGRAFIA SOCJALISTY”  
40 Michał Spurgiasz WOJCIECH KORFANTY A SYTUACJA EKONOMICZNA NA GÓRNYM ŚLĄSKU W TRACKIE III POWSTANIA ŚLĄSKIEGO  
53 BIAŁE KRUKI Jan Malicki NIEZNANE COCHANOVIANUM

## KSIĄŻKI

- 62 Bartłomiej Bielas DZIECI I OBLĄKANI  
63 Andrzej Juchniewicz NAZISTOWSKIE UKĄSZENIE LEKARZA  
64 Ewelina Kawka PRZED SOBĄ NIE DA SIĘ UCIEC  
65 Piotr Skowronek ZADOMOWIĆ SIĘ W CZASIE  
66 KSIĄŻKI NADEŚLANE

## 80 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:  
Günther Hermann, „Hortensje”, akwaforta i akwatinta kolorowana, 2002

## Od Redaktora

Spór o **Panteon Górnośląski** przybiera na sile wówczas gdy pojawiają się propozycje personalne jakie to osoby, postacie lub grupy społeczne do owego pomnikowego dzieła należy włączyć. Pewnie nigdy nie będzie w tej kwestii absolutnej zgody. To oczywiste, że różne środowiska widzą w tej próbie upamiętnienia i zhierarchizowania bohaterów historii szansę na zachowanie w pamięci społecznej preferowanych przez siebie nie tyle osób, ale przede wszystkim reprezentowanych przez nich wartości i ideałów.

Spór o postacie Panteonu to także walka o – paradoksalnie rzecz ujmując – sposób myślenia o przyszłości Regionu. Historyczne wartości i ich hierarchie mają istotny wpływ na kształtowanie współczesnego ideału wychowawczego, zdefiniowanie i zwaloryzowanie celów społecznego działania partii politycznych, organizacji społecznych, administracji każdego szczebla. Pamięć o przeszłości generuje szereg lokalnych inicjatyw lub sporów, albo nawet sprzeciwów dotyczących np. modernizacji zastanej struktury urbanistycznej, drogowej, edukacyjnej itp. Systematyczny rozwój lokalnych i regionalnych, wyjątkowo licznych na Śląsku inicjatyw muzealnych tylko potwierdza tę tezę.

Historia nie jest tylko czymś minionym, ale niepostrzeżenie wkrada się w naszą codzienność sugerując nam podjęcie jakichś działań lub uzasadniając ich zaniechanie. Pomijając jednostkowe ambicjonalne dążenia osób jeszcze żyjących lub ich potomków, albo środowisk zmarłych bohaterów do upamiętnienia ich postaci w formie trwałego, niemalże spiżowego memoriału, warto pamiętać i o tym, że ów indeks bohaterów ulokowanych w spisie każdego panteonu, nie musi być na zawsze uobecniiony w świadomości społecznej. Czy ktoś pamięta, kto został pochowany w Panteonie Narodowym utworzonym w 2013 roku w kryptach kościoła św. Piotra i Pawła w Krakowie, albo kto znalazł miejsce wiecznego spo-

czynku w krypcie zastużonych na Skałce (13 osób) w podziemiach Bazyliki św. Michała Archanioła i św. Stanisława Biskupa u ojców Paulinów? Pewnie miłośnicy literatury o Sławomirze Mrożku i Czesławie Miłoszu jeszcze pamiętają, ale pozostałe postacie – niezależnie od miejsca ich wiecznego spoczynku – odeszły w społecznej świadomości w niepamięć.

W Panteonie Górnośląskim, w podziemiach archikatedry Chrystusa Króla nie będzie cmentarza, to miejsce upamiętnienia losów ludzi i ich życiorysów.

To jednak dopiero pierwsza część koncepcji, chyba łatwiejsza, a wiele trudniejszą, ważniejszą i konieczną będzie aktualizacja i ciągłe, systematyczne oraz umiejętnie przypominanie tych postaci szerszym kręgiem społecznym naszego regionu. Panteon może i pewnie będzie pełnić – przynajmniej przez najbliższe 25 lat funkcjonując w podziemiach Katedry – istotną funkcję w praktyce regionalnej polityki historycznej, edukacyjnej, wychowawczej. Byłoby wyjątkową klęską tej koncepcji, gdyby na skutek nieumiejętnej promocji, złej organizacji i ułomnych kompetencji stał się tylko jedną z wielu wystaw stałych w licznych w naszym województwie instytucjach muzealnych.

Dlatego epatowanie społeczeństwa magiczną już cyfrą wielomilionowych kosztów i ciągłe wypominanie braku tych samych nazwisk w spisach uhonorowanych postaci jest niezbyt udaną próbą odwrócenia uwagi od podstawowej kwestii, jaką jest pytanie o funkcję w przyszłości gotowego panteonu.

Spór o kwestie drugorzędne może w efekcie doprowadzić do znanej z przeszłości sytuacji, z jaką stolica Metropolii boryka się od lat nie mogąc poradzić sobie z marazmem tak okazałych instytucji jak ikoniczna dla Katowic – Hala Widowiskowo-Sportowa „Spodek”, czy zapomniany przez wszystkich „December Palace” oraz niszcząca Hala Parkowa. Instytucji i budowli w Katowicach nie brakuje, ale z pomysłami ich sensownego wykorzystania jest już nieco gorzej.

Dlatego z zadowoleniem należy powitać wydaną przez Księgarnię św. Jacka publikację reprintu pracy **łt. ks dr Emila Szramka pt. Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy** jako pierwszego tomu cyklu publikacji realizowanego w ramach projektu Panteon Górnośląski – badania naukowe, elementu programu „Dialog” – MNISW. Starannie

wydana, z zachowaniem wszelkich zasad edytorskich publikacja przypomina tekst autora będącego m.in. przewodniczącym Komitetu Budowy Katedry, a więc związanego z miejscem lokalizacji panteonu, ale przede wszystkim dzieło, które dla socjologicznej refleksji o Śląsku jest tekstem podstawowym, historycznym, lecz w wielu aspektach ciągle aktualnym. O tych współczesnych aspektach i wartościach tej pracy wspominają we słowie wstępnym ks. arcybiskup metropolita katowicki **Wiktor Skworec** i autor tekstu zatytułowanego „Refleksje wokół socjologicznych i historyzoficznych koncepcji księdza doktora Emila Szramka” – prof. zw. dr hab. **Wojciech Świątkiewicz**.

Prof. W. Świątkiewicz, omawiając aspekty dzieła E. Szramka, m.in. podkreśla, że cyt.: *Tożsamość kulturowa regionu wypływa ze świadomego orientowania się ludzi na legitymizowane tradycją wartości regionu, które decydują o jego swoistości i odrębności oraz wyraża się w emocjonalnym odniesieniu do tych wartości. Zajęcie takiej postawy stwarza szansę na wyzwolenie działań zmierzających do zachowania i twórczego rozwijania regionalnej odrębności, integrowania wokół niej społeczności lokalnych oraz aktywnego współudziału w rozwoju kulturalnym całego regionu*”.

Książka zawiera także cenny wybór recenzji przygotowany przez Agatę Muc, dokumentującą szerokie zainteresowanie jakie ta publikacja wzbudzała.

Jeśli więc przyszłymi zasługami tworzonych instytucji będzie: inspirowanie do intelektualnej dyskusji i sporów zainicjowanych swego czasu rozprawą ks. dra Emila Szramka, przywoływaną wielokrotnie przez znakomitych badaczy jak m. in. J. Chafasinski, R. Lutman, J. Szczepański i współczesnych naukowców oraz promowanie takich refleksji poprzez swoje kolejne publikacje fundamentalnych prac rzetelnie analizujących sprawy społeczne w naszym regionie, to niezależnie od tego ilu gości odwiedzi Panteon i zapozna się z życiorysami i postawami zaprezentowanych tam osób, publikacje te w sposób trwały i efektywny uwiecznią inicjatorów tego przedsięwzięcia, ale przede wszystkim zmodyfikują i ożywią spetryfikowaną archaicznymi stereotypami refleksję nad współczesnym sposobem funkcjonowania regionalnej wspólnoty.

Tadeusz Sierny

## SŁUCHAJ

*Serdeczne pozdrowienia dla twojej żony; niestety ja nie mam żony.  
Znalazłem tylko jedną kobietę, która pewnie nigdy nie będzie moja.*  
Beethoven do Ferdinanda Riesa, 8 maja 1816

Mówią, że kostka słuchowa, kształtem przypominająca łyżeczkę,  
po śmierci rozpada się jako ostatnia.  
Z duszą może być podobnie: twarda, niezbędna,  
niemal niewidoczna. Moi rodzice  
poznali się na obozie muzycznym,  
pośród pól otoczonych wzgórzami kredowymi. Klarncista  
wypadł z orkiestry, więc mój tata  
stał w kolejce do wiejskiego telefonu; zadzwonił  
do dziewczyny, którą niedawno spotkał, wypożyczył  
tandem i odebrał ją ze stacji kolejowej.

Lubię wyobrażać ją sobie na granicy poznania,  
jej nogi muskane wiatrem, futerał klarnetu  
przywiązany z tyłu. Na pewno jej pomógł,  
Zawsze dbał o bezpieczeństwo.  
U progu lata, między żywopłotami,  
Pedałuje w stronę życia, które z nim spędzi.  
Spójrz, tam czekamy na nią, pięcioro przyszłych  
Muzyków, ukryci między łądkami wyki i wierzbownicy.

Grała też na fortepianie. Najpierw akompaniowała mu  
w duetach. Widzę ich, jak pracują nad Beethovenowską  
Sonatą skrzypcową Opus 69.  
Ona słucha jego, on słucha jej.  
Pytania, odpowiedzi, wszystko-czego-nie-da-się-wypowiedzieć,  
płyne tam i z powrotem. Złe, udręczone i delikatne,  
Jak dzieje małżeństwa. Wtedy pojawiliśmy się my  
i nie miała już czasu na granie. Zrozumiałam,  
że kobiety mogą oddawać się muzyce jedynie z dala od domu.

Potem dołączyła do orkiestry. Pamiętam, jak ćwiczyła  
Tryle z Symfonii pastoralnej,  
w której samotny klarnet doskonałą ciszę przełamuje doskonałym  
brzmieniem, świat zamiera, a dźwięk zstępuje  
w stronę wyczekującego ucha. Niemal niewidocznej  
kostki – tego domku słuchu –  
która połączyła tych dwoje,  
a którą Beethoven utracił. Tak trudno ją dostrzec,  
uczynić doskonałą, albo przynajmniej dobrą, w sobie.

**Ruth Padel** (ur. 1946), poetka i pisarka brytyjska, laureatka wielu prestiżowych nagród. Ma w dorobku dwanaście tomów poetyckich oraz książki non-fiction o tematyce odzwierciedlającej jej szerokie zainteresowania – od tragedii greckiej, poprzez muzykę klasyczną i rockową po migrację i działalność na rzecz ochrony przyrody. Jest praprawnuczką Karola Darwina, członkiem kolegium londyńskiego Zoological Society oraz profesorem poezji w King's College w Londynie. W języku polskim ukazał się wybór jej wierszy pt. *Sztuka kintsugi* (2015). Jej ostatni tom poetycki, z którego pochodzi wiersz *Słuchaj*, nosi tytuł *Beethoven Variations* (Chatto&Windus 2020). Jesienią 2019 roku poetka odwiedziła na Śląsku miejsca związane z Ludwigiem van Beethovenem: Hradec nad Moravicí (Śląsk Opawski) oraz Głogówek, gdzie kompozytor stworzył swoją IV symfonię B-dur, którą zadedykował śląskiemu arystokracie Franzowi Joachimowi Oppersdorffowi.

# Rok bez Krzysztofa Pendereckiego

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI



## Brat i siostra

**B**Rok temu, 28 marca 2020 roku, moja mama, Barbara Penderecka-Piotrowska, „obchodziła” swoje 80. urodziny w Szpitalu Wojewódzkim MEGREZ w Tychach. Trafiła tam 20 marca na OIOM z sepsą wywołaną przez koronawirusa. Była jedną z pierwszych pacjentek i miała znakomitą opiekę z doświadczoną specjalistką chorób zakaźnych, dr Beatą Puzanowską na czele. Przez kilka dni mama walczyła o życie, ale na szczęście silny organizm i odpowiednio dobre leki sprawiły, że zaczęła dochodzić do siebie. W dniu urodzin już miała lepszy głos, ale była jeszcze bardzo osłabiona. Dzwonił też do niej z życzeniami brat – Krzysztof Penderecki. Nie spodziewała się, że to ich ostatnia rozmowa...

## Najbardziej utytułowany polski artysta

Wujek umarł w swoim domu w Krakowie około 6 rano w niedzielę 29 marca 2020 roku. Mimo że długo chorował i lekarze przygotowywali rodzinę na to, co najgorsze, wszyscy liczyliśmy na cud... Na początku marca jeszcze spędziliśmy razem trochę czasu w miłej atmosferze, a kilka tygodni później świat stracił kompozytora tej miary, co Beethoven czy Mahler. Krzysztof Penderecki był najbardziej utytułowanym polskim artystą. Otrzymał około 150 nagród i odznaczeń. Przyznano mu w USA aż 5 nagród Grammy, uważanych za muzyczne Oscary. Został doktorem honoris causa ponad 40 uniwersytetów, a także był członkiem honorowym prawie 40 uczelni artystycznych i naukowych oraz instytucji na świecie, od USA i Argentyny po Chiny. Na Międzynarodowych Targach Muzycznych MIDEM w Cannes w 2000 roku otrzymał nagrodę jako najwybitniejszy żyjący kompozytor na świecie.

## Pandemiczny pogrzeb

Kameralna, pandemiczna msza żałobna, odbyła się dla najbliższej rodziny w kościele na Woli Justowskiej w Krakowie 2 kwietnia 2020 roku. Urna z prochami została złożona tymczasowo w bazylice św. Floriana, gdzie co miesiąc odbywa się msza pamięci Krzysztofa Pendereckiego, a 23 listopada byliśmy na Wawelu na uroczystej mszy, odprawionej w rocznicę jego urodzin. Uroczysty pogrzeb o charakterze państwowym ma się odbyć w kościele świętych Piotra i Pawła. Prochy jednego z najwybitniejszych Polaków zostaną umieszczone w Pantheonie Narodowym. Data pogrzebu, wyznaczona na koniec maja, wciąż jest niepewna... Trzecia fala pandemii szaleje, a na uroczystość

chęć przyjechać delegacje z wielu krajów świata, z kilku kontynentów.

## Pierwsza pasja po Bachu

W naszym kraju Krzysztof Penderecki był często porównywany do innych polskich kompozytorów. Nie miał w sobie fałszywej skromności – doskonale wiedział, ile osiągnął swoim talentem i pracą. Gdy porównywano go do Chopina, nie buntował się, mimo iż ich twórczość była kompletnie różna, ale obaj byli genialni i sławni na całym świecie. Gdy jednak ktoś porównywał go do Szymanowskiego czy Moniuszki, bardzo się denerwował. Wolał, kiedy w recenzjach z jego dzieł zestawiano go z Bachem, Beethovenem czy Mahlerem. Przecież napisał „Pasję wg św. Łukasza” – pierwszą po Bachu, która stała się przełomowym dziełem w jego życiu i w historii muzyki XX wieku na świecie. W warstwie brzmieniowej jest nowoczesna, ale w formie i treści nawiązuje bezpośrednio do Bacha i do chrześcijańskich korzeni Europy. Prawykonanie w katedrze w Münster było wielkim wydarzeniem i Krzysztof Penderecki otrzymał znakomite recenzje nie tylko jako wybitny kompozytor, ale także Polak, który jako pierwszy odważył się napisać dzieło na wskroś religijne w czasach, kiedy władza „demoludów” walczyła z Kościołem. Poza tym data napisania „Pasji” też była wyjątkowo wymowna – 1000 lat od Chrztu Polski. Potem już jego kariera potoczyła się błyskawicznie i miał zamówienia na utwory na wiele lat do przodu.

## Ewolucja twórczości, Arboretum i Centrum Pendereckiego

Nazywano go prekursorem „nowego romantyzmu”. Można było odnaleźć pewne inspiracje w jego symfoniach i koncertach do twórczości Mahlera czy Szostakowicza, a w operach do Wagnera – ale nigdy nie było w tym jakiegokolwiek naśladownictwa. Późniejsza jego twórczość znowu ewoluowała, stając się jakąś nową drogą do stworzenia syntezy muzyki europejskiej, z inspiracjami kulturą śródziemnomorską, sztuką, literaturą, filozofią i religią, a także przyrodą. Im był starszy, tym bardziej lubił kontakt z naturą, ze swoimi wspaniałymi, majestatycznymi drzewami i pięknymi krzewami różaneczników. Postawił sobie – oprócz twórczości kompozytorskiej – pomnik w postaci arboretum i Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego ze znakomitą akustycznie salą do koncertów i nagrań. Miał świetny kontakt z młodymi muzykami, rozpoczynającymi swoją drogę artystyczną i potrzebującymi mistrza.

## Mistrz dla Janiaka

Stał się takim mistrzem między innymi dla młodego kompozytora Rafała Janiaka, który wygrał Międzynarodowy Konkurs na Operę „Człowiek z Manufaktury” do libretta Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk, ogłoszony przez Teatr Wielki w Łodzi. Zostałem poproszony przez ówczesnego dyrektora teatru Pawła Gabarę o stworzenie koncepcji konkursu i koordynowanie premiery. Jury z Krzysztofem Pendereckim na czele przyznało Janiakowi Grand Prix. Pamiętam wspaniałe spotkanie, jakie mieliśmy na Woli Justowskiej w czerwcu 2019 roku, kiedy Wujek poklepał Janiaka po ramieniu i powiedział: „Cieszę się, że wreszcie narodził się nowy kompozytor operowy”.

## Penderecki i Górecki

Krzysztof Penderecki utrzymywał bliskie kontakty z niewielką ilością kompozytorów. Za przyjaźnił się z Henrykiem Mikołajem Góreckim, który zaprosił go do Bielska-Białej na Festiwal Kompozytorów Polskich. W 2005 roku Wujek dyrygował w kościele św. Maksymiliana Kolbego w Bielsku-Białej swoją gigantyczną VII Symfonią „Siedem bram Jerozolimy”. Wystąpili: Sinfonia Varsovia, chór Filharmonii Narodowej i znakomici soliści. Ogromne wrażenie zrobił Wojtek Pszoniak jako narrator. Mówiony przez niego tekst został przetłumaczony na język polski, więc publiczność jeszcze głębiej mogła odczytać znaczenia zawarte w utworze. Na finał festiwalu wystąpił jeden z najlepszych zespołów kameralnych na świecie – Kronos Quartet z prawykonianiem III Kwartetu smyczkowego Góreckiego. Symboliczne było też dla mnie dyrygowanie przez Pendereckiego siedmiominutowym utworem „Amen” Góreckiego, w którym pojawia się jedno słowo „amen”, mające wiele znaczeń: tak jest, niech tak się stanie, prawda, wierność... Penderecki i Górecki byli równolatkami, urodzili się w odstępach dwóch tygodni: Penderecki 23 listopada, a Górecki 6 grudnia 1933 roku.

Pamiętam też wspaniały koncert w kościele w Aleksandrowicach, z okazji 80. urodzin Krzysztofa Pendereckiego, w ramach Festiwalu Kompozytorów Polskich w 2013 roku, ale już bez profesora Henryka Mikołaja Góreckiego, który zmarł trzy lata wcześniej... Wujek dyrygował NOSPR-em i chórem Filharmonii Krakowskiej, który często zapraszał do swoich występów. Zabrzmiały między innymi: „Missa brevis” i „Te Deum” oraz „Chaconne” pamięci Jana Pawła II, do której mam szczególnie stosunek. Wujek bardzo szanował nasze

go papieża i był przez niego przyjmowany w Watykanie. Bezpośrednio po jego śmierci napisał „Chaconne”. Tworzył swoje najlepsze utwory, gdy był poruszony jakimś wydarzeniem lub ogarnięty smutkiem.

### **Penderecki, NOSPR (WOSPRiTV) w Katowicach i Jurek Dybał**

Utrzymywał silne związki ze śląskim środowiskiem muzycznym. W 1972 roku nagrał z WOSPRiTV w Katowicach swoje utwory dla słynnej wytwórni EMI, między innymi premierę Koncertu wiolonczelowego z Siegfriedem Palmem – nie tylko świetnym muzykiem, ale również później dyrektorem Deutsche Oper Berlin i prezesem Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. Na kolejnej ważnej płycie – również dla EMI, nagranej w Katowicach, znalazły się: „Tren Ofiarom Hiroszimy” i „De natura sonoris”. Wujek też debiutował wtedy, właśnie z WOSPRiTV, jako dyrygent. Nagrał swoje utwory, ale przed publicznością katowicką pojawił się w nowej roli, dyrygując „Ognistym ptakiem” Strawińskiego, którego twórczość uwielbiał. Silne związki z katowicką orkiestrą trwały więc przez około 50 lat. Wujek ogromnie cenił Ślązaków za rzetelność, sumienność, pracowitość, dyscyplinę i otwarcie na współczesną muzykę. Przez wiele lat przyjaźnił się też z Joanną Wnuk-Nazarową (dyrektorką NOSPR od 2000 do 2018 roku, kompozytorką i dyrygentem), która często jako pierwsza oglądała jego partytury. Penderecki był też przewodniczącym rady programowej NOSPR, w której zasiadali również Górecki i Kilar. Gdy była mowa o remoncie sali „Dezember Palast”, Wujek nagle oburzył się i stwierdził, że to jest kompletnie bez sensu, że trzeba zbudować zupełnie nową salę. Ówczesny prezydent Katowic Piotr Uszok był pod takim wrażeniem, że zgodził się – i w 2014 roku otwarto dla publiczności nową salę według projektu Tomasza Koniora, której zadroszczą Katowicom nie tylko inne miasta Polski, ale i Europy. Udało się uzyskać ponad 122 miliony unijnej dotacji. 3 października 2014 roku Filharmonicy Wiedenscy pod batutą Petera Schneidera wykonali Adagietto z „Raju utraconego” Krzysztofa Pendereckiego, a także „Pieśni biblijne” Antonína Dvořáka i Symfonię „Asrael” Josefa Suka. Wśród czołowych kontrabasistów tej słynnej orkiestry jest pochodzący z Rudy Śląskiej Jurek Dybał, dyrektor Sinfonietty Cracovii, a także pomysłodawca i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu im. Krzysztofa Pendereckiego – Poziom 320 w Zabrze, odbywającego się dzięki przychylności władz miasta, z Małgorzatą Mańką-Szulik na czele.

### **Mikołowskie Dni Muzyki**

Dużym przeżyciem był dla mnie finał jubileuszowych XXV Mikołowskich Dni Muzyki w czerwcu 2015 roku. Prowadziłem tam różne koncerty na zaproszenie dyrektora Gerarda Piszczka i szefa artystycznego prof. Władysława Szymańskiego, organisty, kompozytora i teoretyka muzyki (od 2016 roku rektora Akademii Muzycznej w Katowicach). Ten

koncert był jednak dla mnie absolutnie wyjątkowy. Krzysztof Penderecki dyrygował orkiestrą NOSPR w Bazylice św. Wojciecha w Mikołowie, a ja komentowałem to wydarzenie. Pamiętam, że sięgnąłem do biografii Wujka i omówiłem jego utwory: „Chaconne” pamięci Jana Pawła II, która została włączona do „Polskiego Requiem” oraz Koncert na róg i orkiestrę „Podróż zimą”, skomponowany zimą 2007/2008 podczas tournée po Chinach i Ameryce Południowej. Wujek wspominał też zimowe polowania z czasów dzieciństwa, więc w utworze są nawiązania do rogu myśliwskiego.

Po koncercie Wujek był bardzo zadowolony. Razem z mamą, siostrami Dorotą i Moniką oraz siostrzenicą Kasią poszliśmy mu pogratulować do zakrystii. Zdjęcie zrobił nam artysta fotografik Józef Ćwiek, dokumentujący ten festiwal przez wiele lat.

### **Samotnik w tłumie**

Krzysztof Penderecki był samotnikiem, unikał tłumów. Najlepiej czuł się w domu na Woli Justowskiej i w swoim ukochanym dworze w Lusławicach, w otoczeniu potężnego parku – arboretum, projektowanego przez 40 lat. Mówił, że chciałby zostać w tym parku pochowany... Ze względu na liczne zobowiązania wyjazdowe zbyt rzadko przebywał w ulubionym miejscu, latając z żoną Elżbietą po całym świecie. Był przecież przyjmowany niezwykle entuzjastycznie nie tylko w Europie, ale też w Ameryce Północnej i Południowej oraz w Azji. Szczególnie uwielbiali go Chińczycy, ale miał też tournée w Korei Południowej i Japonii. W Rosji również był zawsze znakomicie przyjmowany przez publiczność. Mówił, że melomani są tam wspaniali, a na politykę nie mogą nic poradzić.

### **Piano Pendereckich**

W rodzinnym domu w Dębicy grał na fortepianie, a potem także na skrzypcach i chciał zostać wirtuozem. Mój dziadek, Tadeusz Penderecki, był bardzo szanowanym mecenasem, dziekanem Rady Adwokackiej w Rzeszowie, a po godzinach również lubił grać. Odziedziczyliśmy po nim komplet dzieł Chopina. Kiedy w Żorach ćwiczyłem na pianinie, które otrzymał od babci Zofii Pendereckiej, często wyciągałem nokturny, mazurki, czy walce Chopina i ćwiczyłem do wieczora, podobnie jak moja siostra Kasia.

### **„Mnie interesuje tylko muzyka”**

Niektórzy uważali Go za bufona, ale to zupełnie nietrafione określenie. Sprawiał czasem takie wrażenie ze względu na to, że męczyły go rozmowy o błahych sprawach i zupełnie nie miał ochoty na podtrzymywanie konwersacji tylko dlatego, że tak wypada. Często, gdy byliśmy razem, siedział przy stole nieobecny, coś grał sobie czasem palcami jednej ręki na blacie albo zamyślał się, a potem zadawał na przykład pytanie o coś, o czym właśnie rozmawialiśmy przed chwilą i wyczerpaliśmy wątek, ale on tego nie słyszał. Trzeba mu było powtarzać czasem wiele razy, jaki jest plan na najbliższe dni. Wiedział, że nad tym będzie czuć

żona i asystentka, dlatego nie zaprzętał sobie tym głowy. Kiedy pytałyśmy go, kiedy i gdzie ma koncerty, to mówił: Lepiej spytać Elżbietę. Natomiast gdy rozmowa schodziła na temat jego utworów, wykonań estradowych i nagrań – zawsze natychmiast się ożywiał. Wiele razy mówił: „Mnie interesuje tylko muzyka”.

### **Dyrygenci**

Był pewien siebie, czasem bardzo surowy i złośliwy w ocenach, rzadko chwalił innych kompozytorów, ale często potrafił docenić innych dyrygentów, na przykład swojego wieloletniego asystenta Macieja Tworka, któremu powierzał coraz bardziej odpowiedzialne zadania, współprowadzenie koncertów, a w końcu – ich prowadzenie. Pamiętam też, jak kiedyś rozmawialiśmy w jego krakowskim domu o tym, że bardzo by chciał, aby rosyjski dyrygent Valery Gergiev przygotował prawykonywanie jego nowego utworu „Powiało na mnie morze snów... – pieśni zadumy i nostalgii”. To był styczeń 2011 roku. Uczestniczyłem też w próbie tego koncertu. Wujek chwilami wymieniał uwagi z dyrygentem. Gergiev wydo był z tego dzieła tajemniczość, smutek, zamyślenie, melancholię, poetyczność, zaciekawienie i niezwykłą dramaturgię. Pierwsza część nosi wymowny tytuł „Ogród zaklęty”, druga – „Co mówi noc?”, a trzecia – „Byłem u ciebie w te dni przedostatnie” (cytat z „Fortepianu Chopina” Norwida). Klamrą był „Anioł Pański” Tetmajera, a Wujek wykorzystał jeszcze w tym utworze wiersze Herberta, Micińskiego, Staffa, Leśmiana, Wata, Wierzyńskiego i Brzozowskiego. Lubił poezję. Dobry wiersz daje impuls do myślenia i wzruszeń, ma w sobie tajemnicę lub odkrywa jakąś prawdę, albo przypomina filozoficzne rozważania. Po prawykonaniu widziałem przebłysk szczęścia na twarzy Wujka.

### **Sztuka jest jak drzewo**

Krzysztof Penderecki zaczynał jako awangardowy buntownik. Po Krakowie chodził jako nastolatek w kolorowych skarpetkach i przykrótkich spodniach, wzbudzając sporą sensację w szarych czasach komunizmu. A teraz mamy taką modę – siedemdziesiąt lat później! Wujek wyprzedzał swoją epokę, eksperymentując w studiu i komponując takie utwory, których grania odmawiali niektórzy muzycy, obawiając się o swoje instrumenty. Po eksperymentach muzycznych zaczął powracać do korzeni, wykorzystując jednak całą swoją wiedzę z okresu muzycznych poszukiwań i tworząc znakomity most między współczesnością i tradycją. Mówił: „Popatrzmy na drzewo: ono nas uczy, że dzieło sztuki musi być zakorzenione: w ziemi i na niebie”. Teraz pewnie dyryguje chórem aniołów, śpiewającym jego „Agnus Dei”.

### **Krzysztof Korwin-Piotrowski**

Dziennikarz i reżyser telewizyjny, krytyk teatralny, recenzent i komentator muzyczny, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego.

# Cmentarz w Ołomuńcu

WOJCIECH BEDNAREK

Ze szpitala na Klaszternim Hradisku do cmentarza w Czerno-  
wirze jedzie się ledwie parę minut. Najpierw w dół, w stro-  
nę rzeki, potem cały czas prosto wzdłuż porośniętych gęstym  
zielskiem brzegów Morawy, aż wreszcie mniej więcej na wy-  
sokości ruin husyckiego zboru w prawo. Najgorzej jest zimą,  
gdy napada dużo śniegu, albo wczesną wiosną, kiedy rzeka  
wystąpi z brzegów. Kiedy ładunek ciężki, koła grzęzną w bło-  
cie, a silnik samochodu rzezi i prycha, jak pan Jindra, gdy ko-  
piemy razem dół. Pan Jindra ma ciemne wąsy spod których  
często wystaje mu dymiąca fajka. Jest gruby i utyka na lewą  
nogę, więc rusza się powoli. Ma wielkie twarde łapy, który-  
mi czasem mnie dzielił przy robocie, ale szanuję go, bo zna  
się na swoim rzemiośle. Woził nieboszczyków jeszcze za-  
nim wojna się zaczęła. Pewnie i mnie wiozłby któregoś razu  
na skrzyni, gdyby nie matka, co łzami i modlitwą wyprosiła  
w niebiosach zlitowanie nade mną.

Kiedy granat wybuchł mi tuż nad głową, pięć dni leżałem  
w martwocie. Już ze mnie miarę na trumnę ściągali, kiedy  
się w końcu Pan Bóg zdecydował, że dusza moja licha do ni-  
czego mu nie jest potrzebna i pozwolił mi zostać wśród ży-  
wych. Kiedy się ocknąłem, przez dwa tygodnie nic pamię-  
tałem i nie potrafiłem gęby otworzyć. Leżałem i gapiłem się  
w sufit, a w uszach mi strasznie dzwoniło. Siostrzyczka mo-  
krą szmatą mi twarz obmywała, co ją całą we strzępach mia-  
łem, a lekarze wokół się radzili, że mi odłamek część czaszki  
uszkodził i pewnie trwale zdolność myślenia odebrał.

– Pożytek z niego żaden – zdecydował w końcu dowódca.  
– Karabinu do łap mu nie dam. Bystri nigdy nie był, a teraz  
jak kompletnie zidiociał, to nawet nie wiadomo, czy będzie  
wiedział, do których ma strzelać. Swoją mordą pokrzywioną  
będzie tylko wśród żołnierzy ducha walki psuć. Niech stare-  
mu Jindrze przy trupach pomaga. Tam krzywdy nikomu nie  
zrobi, a przynajmniej w oczy się rzucać nie będzie.

\*\*\*

Mgły unoszą się jeszcze nad miastem, gdy wjeżdżamy przez  
boczną bramę i stajemy przy wejściu do piwnic. Klasztorne  
lochy to dobre miejsce na szpitalną kostnicę. Grube ceglane  
stropy skutecznie opór dają hałasom i zapachom z góry. Nie  
słychać tu krzyków ani zawodzeń rannych żołnierzy, powie-  
trze wolne jest od woni lekarstw, brudu i gnijących ran. Pa-  
nuje mrok i chłód. Idealne warunki dla zmarłych, by odpo-  
cząć po trudach żywota i odprężyć się przed ostatnią ziem-  
ską podróżą. Zanim wsadzimy ciało do trumny i ułożymy  
na ciężarówce, pan Jindra zdejmuje nieboszczykom nie-  
wielkie kartki przywiązane do stóp. Są na nich informacje  
o zmarłym, które potem napiszemy na grobie – imię, na-  
zwisko, stopień wojskowy i data śmierci. Gdyby ktoś chciał  
się dowiedzieć więcej o nieboszczyku musi zajrzeć do ksiąg  
szpitalnych. Tam zapisują też datę urodzenia, skąd pochodził  
i na jaką chorobę zmarł. U nas w szpitalu najczęściej umiera  
się na tyfus, albo na gruźlicę. Spore żniwo zbiera też gangre-  
na z niedoleczonych ran. Czasem przywożą z frontu żołnie-  
rzy z kulą w głowie albo urwaną ręką. Jak się podczas opera-  
cji wykrwawia na śmierć, pisze się im w metryce „w wyniku  
odniesionych obrażeń”.

Z odjazdem na cmentarz czekamy, aż się skończy poranny  
obchód, bo a nuż po nocy jakiś nieboszczyk ukrył się wśród  
żywych. Trzeba czujnego oka pana doktora, by wypatrzeć  
prawdziwego trupa wśród tych, którzy tylko na trupy wy-  
glądają. Przy cmentarnej bramie pan Jindra mnie wysadza  
i każe przynieść krzyże z kaplicy. Jak kraj nasz długi i szeroki,  
i hojnie cmentarzami wojskowymi obsiany, wszędzie spo-

tką się ten sam wzór metalowych krzyży. Funduje je swym  
żołnierzom sam pan cesarz, jako prezent pożegnalny na tam-  
ten świat. Dla katolików i protestantów proste, z liliowymi za-  
kończeniami i owalną tabliczką pośrodku, czarne lub srebrne.  
Prawosławni mają podobne, tylko u nich jest jeszcze jed-  
na dodatkowa krzywa belka u dołu, na pamiątkę tego, gdzie  
zwiślały nogi Chrystusowe. Żydzi i muzułmanie, jak wiado-  
mo, krzyża się boją, nawet po śmierci, więc dla nich specjal-  
nie wyrabia się kamienne tablice z gwiazdą lub półksięży-  
cem. Na naszym cmentarzu jest porządek, bo każde wyznanie  
ma swój sektor – księżycy pod płotem z prawej strony, gwiazdy  
z lewej, a krzyże – tych jest najwięcej – po obu stronach  
bramy. Tym sposobem Jahwe, Jezus i Mahomet nie wchodzą  
sobie w drogę i każdy od razu wie, dokąd iść po swoich. Kie-  
dy do pochówku wszystko gotowe przychodzi ksiądz kape-  
lan, by pokropić wieko. Dyżurny oficer oddaje salut i trum-  
na powoli opuszcza się w dół.

\*\*\*

Pamiętam, gdy za szczeniaka matka prowadziła mnie spacer  
na wzgórze skąd jest dobry widok na klasztor. Gapiłem się jak  
oniemiały na tę budowlę, która przypominała mi pałac z baj-  
ki. Myślałem sobie wtedy, że właśnie tam mieszka sam pan  
cesarz, którego portret wisiał w naszym domu. Próbowałem  
więc dojrzeć, czy przypadkiem nie wspina się na najwyższą  
wieżę, by stamtąd doglądać i rządzić swoim krajem. Na każ-  
dej z czterech okalających wież ani chybi trzymał swoje wojs-  
ko, które na jedno jego skinienie ruszało do ataku na nie-  
przyjaciela, jeśli pojawił się w okolicy.

Kiedys opowiedziałem tę historię Panu Jindrze, a on się ze  
mnie śmiał, że głupi byłem.

– Przecie nasz cesarz to nie jakiś angielski król gołodu-  
piec czy republikańska cipa z Francji, tylko największy władca  
w Europie i w starym klasztorze pomieszkiwać nie musi.  
Ma swój pałac we Wiedniu, który jest cały ze złota i tak wielki,  
że życia by ci nie starczyło, gdybyś do każdej komnaty choć  
na chwilę chciał wepchnąć swój krzywy nochal.

Pan Jindra pewnie wie co mówi, bo to człowiek w świecie  
obyty. W młodości, bywało, jeździł z ojcem na handel do Brna,  
Ostrawy i Krakowa, a nawet raz był w Pradze. Ja jednak też  
swoje wiem, a historię klasztoru i jego przeznaczenie niegdyś  
dobrze poznałem.

\*\*\*

Było to dawno temu. Mnie jeszcze na świecie nie było, ani  
pana Jindry. Nawet moja babka-starowinka, co już wszystkie  
zęby wypluła i teraz tylko może pić mleko, jeszcze się nie zdą-  
żyła urodzić. Po wojnie, która trwała lat trzydzieści, w Ołomu-  
ńcu, jak i całych Morawach, kamień na kamieniu się nie  
ostał. Ludzie chodzili smutni, bo nie mieli gdzie mieszkać, ani  
co jeść. Żeby z tej zgrzyoty krnąbrny naród czeski nie zaczął  
znów wyznawać herezji husyckich, zapobiegliwy cesarz przy-  
słał na nasze ziemie braciszków zakonnych. Kazał im wznosić  
piękne budowle w zapyziałych czeskich miastach na chwałę  
swoją i Pana Boga. I tak oto u nas w Ołomuńcu, na ruinach  
starej budowli, co ją Szwedzi puścili z dymem, wyrósł nowy  
klasztorny gród. Umyślili sobie przy tym mnisi, by ściany po-  
kryć bielą, a wewnątrz złotem, a najwyższą z wież pociągnąć hen,  
hen wysoko ponad szczytami Beskidów, jakby do samej bramy  
niebiańskiej chcieli się po niej wspinać. Wzniesli grube mury,  
by nigdy żadnej kuli armatniej nie musieli się obawiać i kilka  
baszt dookoła, co i wyglądają okazale, i za fortyfikację służyć  
mogą. I siedzieli sobie tam w spokoju, modlili się, pracowali



li i nauczała, a jednocześnie z okien cały czas mieli baczenie na lud ołomuniecki, przy pobożnie żył i dobrze służył swemu władcy. Trwało to przeszło sto lat. A potem znów, za sprawą małego człowieka, zwanego Napoleonem, w Europie zaczęła się wojna. Nasz cesarz uznał, że do walki z antychrystem bardziej niż modłów i świętych ksiąg będzie potrzebował żołnierzy. Żołnierz jest przydatny wtedy, gdy zabija wroga. Jak nie zabija to znaczy, że albo sam jest zabity, albo ranny. Martwych zostawia się w polu, a rannych się leczy, by potem znów mogli walczyć i ginąć. Przyszedł więc rozkaz z Wiednia, że bracisz-kowie mają się wynosić, a klasztor przerobi się na szpital wojskowy. Odtąd zza murów nie było widać już czarnych habitów, jeno białe felczerskie fartuchy. Wojny to wybuchały, to się kończyły, a robota lekarska szła nieprzerwanie. Zawsze się znalazł jakiś schorzały wojak. Lekarze wyrwali zepsute zęby, odcinali ranne nogi, robili okłady, smarowali maściami, osłuchiwali, opukiwali i kazali odpoczywać. Ale nie zawsze pacjenci byli posłuszni i zdarzało się, że któryś, wbrew procedurom leczniczym, umierał. Rozkazów, gdzie chować umrzyków, nie było. Wtedy ktoś sobie przypomniał, że poblizu klasztoru jest osada zwana Czernowir. Brzydkie to i śmierdzące fajnem, ale mają tam od niedawna mały cmentarz parafialny. Nie godzi się jednak by oficer CK armii, a nawet jej zwykły szeregowy, między wiejskimi babami spoczywał. Uradzono więc postawić płot i tym sposobem wytyczyć nowy cmentarz, tylko dla wojskowych. Poszedł meldunek, Czernowir naniesiono na mapy sztabowe, jako punkt strategiczny i pozwolono, by powoli wypełniał się żołnierskimi mogiłami.

Do tego roku, kiedy pan Gawriło Princip strzelał do arcyksięcia Ferdynanda, o co potem pokłócili się ze sobą wszyscy cesarze i królowie w Europie, cmentarz w Czernowirze miał ledwie parędziesiąt metrów powierzchni i dużo wolnego miejsca.

– Wielka Wojna zaczęła się latem – wspominał Pan Jindra. – Na jesień ruszyły transporty rannych. Nim spadł pierwszy śnieg, miejsce na groby się skończyło. Kazali nam przesunąć płot. Potem jeszcze raz i jeszcze. Nasza niepokonana armia – pisali w gazetach – z każdym miesiącem zbliżała się do ostatecznego zwycięstwa. My tymczasem znów zbliżaliśmy się do płotu. W końcu przyszedł rozkaz ze sztabu: „Skończyć poszerzać cmentarz, kopać głębsze groby”.

\*\*\*

Niby nieboszczykom wszystko jedno, ale ja się czasem martwię, czy nie jest im ciasno tak leżeć jeden na drugim. We dwóch to jeszcze jakoś można się ułożyć, ale jak czterech czy pięciu na sobie chowamy, to już musi być wielka niewygodna. Spytałem kiedyś pana Jindrę, co on tym myśli. A on mi tylko dmuchnął w twarz dymem z fajki i powiedział, że to jednak prawda, co ludziska o mnie gadają, że mi całkiem olej z głowy wypłynął. Chodzę po zarastającym trawą alejkach i tak rozmyślam sobie o tych, co są pod moimi stopami. Pół biedy, jak w grobie jest jakiś oficer, to przynajmniej może wszystkimi dowodzić i zaprowadzić porządek.

– Ty tam na górze, nowy jesteś, to gadaj, co widzisz!

– Panie poruczniku, stan krypty: trzech, wszyscy obecni. Starszy strzelec Frantisek Rejza ze Zlina i działonowy Egon Kovac z Győr meldują się na rozkaz.

– Coś nas, kurwa, krzywo tu poskładali, partacze jedne. Niewygodnie jakoś. Zrobimy tak, na mój rozkaz, na lewy bok, zwrot! Dobrze! Spocznij! Eh, co ja mówię, my już wszyscy spocznij. W każdym razie tak teraz leżeć i niech mi się który ruszy!

– Gorzej jak sami szeregowcy, wtedy nie wiadomo, kto kogo ma słuchać. Ale może się jakoś dogadują. A jak się zbierze dobra kompania, to i nawet jakieś wesołe historie mogą sobie poopowiadać, by czas przyjemniej mijał. Wspomnienia frontowe, albo co kto robił przed wojną.

– Ja byłem kowalem, miałem swoją kuźnię pod Bańską Bystrzycą. Z samego Preszburga prowadzili mi konie podkuwać,

taki byłem fachowiec – zaczyna ten na samym dole, Słowak. – Grosz miałem odłożony, już miałem chatę stawiać, z widokiem na Fatre, żeby mi tam Eliszka obiady gotowała i synów rodziła, gdy przyszedł rozkaz do wymarszu. Wojowałem niedaleko, w Karpatach. Na początku to żeśmy łupnia dostali do kaczek i trzeba było spieprzać. Góral jestem to mnie marsz zbroczami niestraszny, nawet jak działo na plecach trzeba dźwigać. Ale całą jesień lało pieruńsko, a my ciągle w tym błocie i dziurawych butach. No to się przeziębiłem i zapalenie płuc przyszło. Jak mnie wieźli do szpitala nie pamiętam, w takiej gorączce byłem. Trzymali mnie jeszcze parę dni na korytarzu, choć mało kto się mną interesował. „Beznadziejny przypadek” – usłyszałam jak doktor mówił zanim zgasło światło.

– W Karpatach mój ziomek Vuko wojował, poznałeś go może? – odzywa się na to sąsiad, Chorwat. – To był dobry chłop. Mieliliśmy po wojnie razem kupić łódź i wozic nią bogate, znużone hrabianki, co z rodzicami przyjeżdżają na wakacje nad Adriatyk. Vuko wymyślił, że w sobie taką hrabiankę rozkocha i się z nią ożeni, i wtedy nie będzie już nic musiał robić. Tylko leżeć i pić rakiję. Nie chwalać się, najlepszą rakiję w całej Dalmacji robiłem ja. Szkoda, że się wcześniej nie poznaliśmy, to bym was zaprosił i poczęstował. A na za zagrychę ser i oliwki. Palce lizać!

U góry słysząc chichot dwóch Polaków.

– A, bo my właśnie się zgadaliśmy, że z tej samej okolicy pochodzimy, spod Ustronia – tłumaczy jeden z nich – i nawet do tej samej dziewczki smaliłymi cholewki. A ona i tak wolała innego, takie są te baby! Dziwacznie się złożyło, bo wcześniej ani Jędrus o mnie, ani ja o Jędrusiu nie słyszałem, mimo że razem w jednym pułku służyliśmy, tylko w innej brygadzie. I razem też nas w szpitalu pepiki leczyły. Mi się ostatecznie zmarło na gruźlicę, a Jędrus, jak bohater, dostał postrzał w szyję, gdy się z bagnetem na wroga zamierzał. No, i mimo że my krajanie, i razem pół Europy z wojskiem przeszli, to dopiero tu jest czas się spotkać i pogadać.

– Hej, Ruski, też coś powiedz. Co tak milczysz jak grób, obraziłeś się? – zachęcają tego piątego.

– Ja się do szpitala na leczenie nie prosiłem, w więzieniu dobrze mi było – w końcu odzywa się leżący pośrodku mężczyzna z brodą. – Wylizałbym się jakoś z tej gruźlicy, dosłużył jako jeniec do końca wojny i wrócił do Odessy. U was zimno jak cholera, pada i wieje. W szpitalu położyli mnie przy oknie, to się do końca załatwiłem. Mimo wszystko, miło było choć umrzeć na skrawku prześcieradła, a nie w więziennej celi. Wiecie co, bracisz-kowie, nawet was polubiłem, choć przez trzy lata na froncie mi do łba wbijali, żeście mi wrogowie. Czy w tej zaszrannej wojnie zwycięży wasz cesarz, czy nasz car, to jeden diabeł. Pies im obu mordę liżał. Byłoby mieć spokój na świecie i nie musieć ginąć jak kundel, gdzieś na obcej ziemi.

\*\*\*

Mam nadzieję, że tak sobie wesoło gawędzą i że im się nie przykrzy za domem. Miejskowych, Czechów, na naszym cmentarzu dużo mniej niż przyjezdnych. Zjechało się do Ołomuńca całe wielonarodowe imperium. Żyliśmy tyle lat w jednym państwie, a jakoś nie było okazji, żeby się spotkać w tak liczny gronie. Pewnie i tak byłoby ciężko się zrozumieć, bo każdy gadał po swojemu. A tutaj wszyscy milczą tą samą mową. Przed wojną każdemu do kapsy i w metrykę zagląдали, żeby sprawdzić czy bogaty i szlachetny. Jak miałeś pieniądze i błękitną krew, mogłeś w pałacach pracować, albo oficerskie galony nosić. Chudaków jak bydło do najcięższej roboty się brało, bo też ich żywot z bydlęcym miał wiele wspólnego. Tutaj w grobie chłop tyłkiem na szlachcicu leży, a szeregowy zasnął na wieczność ramię w ramię z kapitanem. Chorwat koło Serba, Słowak z Madziarem. I nikt o miedzę kłócić się nie musi, bo miejsce się znajdzie dla wszystkich. Równość i jedność w Imperium Habsburgów nastąpiła, na tym małym skrawku czeskiej ziemi. Pan cesarz byłby zadowolony.

8 grudnia 2021 roku minie 150 lat odkąd papież, błogosławiony Pius IX, ogłosił świętego Józefa patronem Kościoła Powszechnego. W roku 1871 Europa była w stanie rewolucji przemysłowej, niezdolna dostrzec pozautylnego sensu następujących przemian. Łudziła mirażem rozwoju ekonomicznego, za który wysoką cenę płacili prości ludzie – robotnicy. W dobie niełatwych wyzwań społecznych, Kościół w drugiej połowie XIX wieku borykał się z uprzedzeniami, a często i wrogością rządów. Papież pozbawiony praw i własnego terytorium stał się *więźniem Watykanu*. Wobec tak poważnych trudności Pius IX postanowił uciec się do nadprzyrodzonego środka, jakim było ogłoszenie Świętego Józefa patronem Kościoła Powszechnego. Tym bardziej, że przynaglali go do tego kardynałowie i biskupi zebrani na Soborze Watykańskim I. W 150 rocznicę tych wydarzeń Papież Franciszek ustanowił trudny – nie tylko dla Kościoła – rok 2021, rokiem jubileuszowym, oddając jak niegdyś Świat i Kościół opiece świętego Józefa. „Józefowiec” to ludna dzielnica mieszkaniowa Katowic, zabudowana wokół kościoła pw. świętego Józefa. W Archidiecezji Katowickiej szesnaście miejsc kultu religijnego poświęconych jest temu świętemu. W tej liczbie, kościół świętego Józefa w Rudzie Śląskiej jest diecezjalnym sanktuarium Obrońcy Dzieła Bożego.

Najstarsze świadectwa kultu świętego Józefa przywołuje ogłoszona 15 sierpnia 1989 r. adhortacja Jana Pawła II „Redemptoris Custos”. Ojciec Święty przypomina w tym dokumencie wypowiedzi Ojców Kościoła, którzy w pierwszych wiekach podkreślali związek świętego Józefa z Tajemnicą Wcielenia. Powołując się na świętego Ireneusza pisze papież: „święty Józef z miłością opiekował się Maryją i z radością poświęcił się wychowaniu Jezusa Chrystusa. Także dziś strzeże on i osłania mistyczne Ciało Odkupiciela, Kościół, którego figurą i wzorem jest Najświętsza Dziewica”.

Ojcowie Kościoła i wielcy scholastycy niewiele jednak miejsca poświęcają postaci, którą Roman Brandstatter nazywa „cieniem Ojca”. Kult świętego Józefa rośnie od czasów świętego Bernarda z Clairvaux. Święty Józef – milczący święty, mistrz życia kontemplatywnego, pojawia się zawsze w bezpośrednim związku z posłannictwem Maryi. Święty Bernard – piewca Matki Bożej, a po nim wybitny filozof średniowiecza Jan Gerson propagujący naukę o Niepokalanym Poczęciu NMP, poświęcają wiele uwagi świętemu Józefowi. Jan Gerson, kanclerz uniwersytetu paryskiego czynny na soborze w Konstancji uważał, że święty Józef, obcując

# Cień ojca

Ks. HENRYK PYKA

na co dzień pod swoim dachem z Tajemnicą „od wieków ukrytą w Bogu”, osiągnął w końcu to, co jest celem teologii. Nauka ta posługując się dociekaniem rozumowym opartym na Objawieniu powinna według Gersona prowadzić do kontemplacji. W postawie kontemplacji dokonuje się zjednoczenie duszy z Bogiem w miłości i zgodności woli człowieka z wolą Bożą.

Ta właśnie logika szukania Boga w milczeniu i przyłgnięcia do niego sercem spowodowała, że już w czasach nowożytnych promotorami kultu świętego Józefa będą wielcy święci. Dzięki świętej Teresie z Avila kult świętego Józefa wspominanego w brewiarzu rzymskim dopiero od roku 1479 bardzo się rozwijał w środowisku karmelitańskim. Wszystkie swoje klasztory fundowała święta Teresa pod imieniem świętego Józefa. Karmelici to zakon nastawiony dzięki wielkim jego reformatorom na życie kontemplatywne. Józef z Nazaretu, którego codziennoscą wpływała w stałym towarzystwie Jezusa, fascynował świętego Ignacego Loyolę. Towarzystwo Jezusowe, czyli jezuita, ukształtowali pogląd, że Bóg objawiony nam w tajemnicy Trójcy Przenajświętszej „przeogląda” się jak w zwierciadle w ziemskiej Trójcy: Jezusa, Maryi i Józefa. Jan Paweł II jakby nawiązując do tego obrazu – jak mówiono później – „jezuickiej trójcy”, napisze w swoim dokumencie poświęconym świętemu Józefowi, „Bóg napełnił Józefa miłością ojcowską, która ma źródło w Bogu” / por. Ef. 3,15/. Święty Franciszek Salezy, autor powiedzenia: „więcej much się żapie na łyżkę miodu, niż na bezkę octu” właśnie w świętym Józefie widział obraz pokornej i cierplivej miłości niezbędnej w pracy wychowawczej. W klimacie duchowości świętego Franciszka Salezego powstało wiele zakładów wychowawczych i ochronek, które świętego Józefa wzięły sobie za opiekuna.

Bez tych świętych trudno zrozumieć gwałtowny rozrost kultu świętego Józefa w okresie potrydenckim, szczególnie zaś w XIX i XX wieku. Święci ci zrozumieniem istoty nabożeństwa do świętego Józefa wyprzedzili oficjalne orzeczenia Kościoła: naznaczenie przez papieża Grzegorza XV w roku 1621 dnia 19 marca świętem ku czci św. Józefa, ogłoszenie go przez Piusa IX w roku 1871 patronem Kościoła Powszechnego. Leon XIII, inicjator

społecznej nauki Kościoła, poświęcił świętemu Józefowi encyklikę. Pius XII ogłosił go patronem robotników, Jan XXIII powierzył mu posoborową odnowę Kościoła i wprowadził jego imię do pierwszego kanonu mszy świętej.

Refleksja biblijna i teologiczna inspirowana artystę. Pierwotnie święty Józef w obrazowaniu, jest figurą towarzyszącą scenom z życia Maryi i historii dzieciństwa Jezusowego. Sztuka pełni więc funkcję ilustratorską przedstawiając wydarzenia opisane w Ewangelii. W bazylice Santa Maria Maggiore w Rzymie – jednym z najwcześniejszych kościołów poświęconych Matce Bożej (432–440), pojawiają się wątki ilustracyjne związane ze świętym Józefem. Jego obraz widzimy na łuku apsydy tego kościoła w scenach zwiastowania, ofiarowania Jezusa w świątyni i ucieczki do Egiptu. Do wczesnych wyobrażeń należą motywy snu Józefa i szereg przedstawień mających swoje źródło w apokryfach. Zajmowała się nimi szczególnie sztuka bizantyjska i koptyjska (Egipt), przedstawiając zaślubiny Józefa z Maryją, próbę z gorzką wodą w której, podług legend, doświadczano jej dziewictwa, czy cud z laską, wyróżniający cieślę Józefa spośród innych mieszkańców Nazaretu. Śladem wątku apokryficznego w sztuce zachodniej jest bardzo rzadkie przedstawienie świętego Józefa na XIII-wiecznej polichromii w katedrze w Limburgu (Niemcy) jako mistycznego ogrodnika uprawiającego winorośl. Z tego też kręgu pochodzi pierwszy współcześnie udokumentowany ślad kultu świętego w Kościele Zachodnim z roku 850, zapisany w martyrologium z Reihnu (kanton Zurych). Wczesny wizerunek wotywny, związany z tym kultem, znajduje się w kościele Santa Croce w Florencji. Jest to dzieło ucznia Giotta, Taddeo Gaddi powstałe w latach 1332–37.

Refleksja teologiczna ukazująca miejsce świętego Józefa w Historii Zbawienia pojawia się u schyłku średniowiecza. Przedstawiano wtedy chętnie wielką rodzinę Maryi Panny i świętą Annę Samotrzecią z Maryją i Jezusem na kolanach. Te grupy figuralne wskazywały na ludzką naturę Jezusa wywodzącego się z królewskiego rodu dawidowego, któremu zostały przekazane mesjańskie obietnice. Maryja i święty Józef należą do tego szlacheckiego rodu. Z refleksji nad Ewangelią wyprowadzo-

ny został wniosek, że to właśnie Józef z Nazaretu jest tym „mężem sprawiedliwym”, który spośród całego Izraela rozpoznał „pełnię czasu” i przyjął do swojego domu Maryję i oczekiwanego Dziecię. Józef ratuje honor Domu Dawida. Zna sens imienia Jezus, bo zostało mu ono objawione. Józef wpisze to imię do ksiąg cesarskiej prowincji, sam stawszy się najpierw pierwszym świadkiem narodzenia się Tego, w którym spełniło się całe oczekiwanie Izraela. Tę refleksję najpełniej przedstawiła plastyka w licznych, pojawiających się już w sztuce romańskiej wyobrażeniach drzewa Jessego, ojca Dawida. Znajdujemy takie drzewo w predelli, czyli podstawie ołtarza mariackiego w Krakowie. Wszystkie te obrazy wskazują na funkcję tradycji, przekazującej z pokolenia na pokolenie ludzkie doświadczenie Bożego Miłosierdzia. W Kościele Mariackim warto także odszukać we wczesnobarokowych stallach inny obraz tego drzewa, bowiem przedstawiono na nim w symetrycznym układzie „gałęzie” pokoleń Narodu Wybranego. Wieńczą je postacie Józefa i Maryi. Tu właśnie pojawia się owa „ziemska Trójca”. Mały Jezus jakby przewidując swój ziemski koniec, stojący między Maryją i Józefem trzyma krzyż – narzędzie Miłosierdzia.

Sztuka baroku przyniosła najwięcej przedstawień świętego Józefa. „Śląski Apelles” – Michał Willmann we włoskiej manierze od roku 1692 realizuje w Krzeszowie monumentalny cykl malowideł ilustrujących radości i smutki świętego Józefa w kościele poświęconym świętej Rodzinie. Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej tych smutków na Śląsku było wiele. Śląsk był zniszczony. Upadł gospodarczo i moralnie. Zginęło 30 procent jego mieszkańców. Fundator kościoła, opat krzeszowski Bernard Rosa, zakłada bractwo świętego Józefa. Dostrzeża bowiem, że odrodzenie Śląska może dokonać się tylko dzięki rodzinie – świętej rodzinie. Klimat takiej rodziny zawiera Willmann w rzadkim przedstawieniu „Pocałunek świętego Józefa” chętnie zamawianym u artysty przez śląską arystokrację. Kraje Habsburgów w tym czasie objerają świętego Józefa za swojego patrona (1675), a kult jego, za sprawą jezuitów rozszerza się w całej Europie. Chętnie maluje świętego Józefa Murillo. W Polsce święty Józef od XVII w. doznaje szczególnej czci w Kaliszu, gdzie jezuita posiadają własne kolegium. Jako obrońca chrześcijańskiej cywilizacji pojawia się on w malowidłach Jana Henryka Rosena na Kahlenbergu pod Wiedniem. Ten cykl malowideł powstałych w roku 1930 dla znajdującego się tam kościoła poświęconego świętemu Józefowi, jest reminiscencją



Michael Willmann: Pocałunek św. Józefa (ok. 1675), Muzeum Narodowe we Wrocławiu

scencją roku 1683 i wielkiego hołdu, jaki cesarz Leopold I złożył świętemu Józefowi, powierzając mu losy chrześcijańskiej Europy. Barok wprowadził do ikonografii Kościoła wyobrażenie śmierci świętego Józefa jako patrona dobrej śmierci. Jest to dlatego dobra śmierć, bo Jezus staje u wezglowia umierającego Józefa. On też koronuje Józefa w niebieskiej chwale, co przedstawiają inne malowidła tego okresu. Obraz świętej rodziny, historyczno-rodzajowa konwencja zalecana przez sobór trydencki wyróżnia świętego Józefa spośród innych świętych. Pojawia się też temat ulubiony w XVII/XVIII wieku: w malarstwie Szymona Czechowicza święty Józef z kwiatem lilii trzymający Dzieciątka Jezus na ramieniu. Józef jako rzemieślnik, cieśla stanie się głównym tematem obrazów w XIX wieku afirmujących godność pracy i jej służebny charakter w stosunku do rodziny.

W adhortacji ogłoszonej ku czci świętego Józefa, Jan Paweł II miał na uwadze wizerunek „męża sprawiedliwego”, ukazującego drogi ocalenia na progu nowego tysiąclecia. Święty Józef nosząc w sobie całe dziedzictwo Starego Przymierza prowadzi Kościół ku „pełni czasu” związanej z niewysłowioną tajemnicą Wcielenia Słowa. Utylitarne aktywizm, wyrażający się podbojem świata i kultem tego, co użyteczne, zadusił dzisiaj w człowieku ducha kontemplacji i milczącego podziwu wobec wielkości i piękna Dzieła Stworzenia. Bóg milczący wśród swoich dzieł został wyparty zgiełkiem. Człowiek używając świata i agresywnie wykorzystując jego energię, niezdolny, by go zrozumieć, stacza się po równi pochyłej ku jakiejś przerażającej otchłani. Nie jest to zatem czcze nabożeństwo pochylić się wraz z Józefem w adoracji i milczeniu nad Darem, ofiarowanym nam jako źródło ocalenia.

# Człowiek mojego życia

Z ks. abp seniorem **DAMIANEM ZIMONIEM** rozmawia PIOTR SKOWRONEK

### **Kiedy po raz pierwszy Ksiądz Arcybiskup spotkał Jana Pawła II?**

Matura w rybnickim liceum w 1952 roku była dobrą przepustką do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie i na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. To tradycyjny szlak śląskiej młodzieży po naukę do dawnej stolicy państwa polskiego. Pierwszy biskup katowicki August Hlond umieścił swoje Seminarium Duchowne w Krakowie, by młodej diecezji śląskiej zapewnić dobrą formację swego duchowieństwa. Nowa diecezja została przypisana w roku 1925 do metropolii krakowskiej. Trzeba było odejść od Wrocławia. Powstania Śląskie przyczyniły się do wytyczenia zachodniej granicy państwowej. Decyzja Piusa XI utrwaliła tę sytuację.

W czasie drugiej wojny światowej Kraków się ostał. Nadal blyszczała niezliczoną ilością kościołów. Tysiącletnie biskupstwo miało swoich świętych, wieszczów, poetów, malarzy, rzeźbiarzy. Wawel z historią jagiellońską, a nie tylko piastowską, był symbolem trwałości państwa polskiego. To dla młodego człowieka ze Śląska miało swoją wymowę duchową. Tym bardziej było to ważne gdy we wrześniu 1952 roku, biskupi rodzimej diecezji zostali wygnani z Katowic. Władze komunistyczne preferowały system socjalistyczny, a Kościół był temu przeciwny.

Seminarium katowickie zbudowane co dopiero przy Alei Mickiewicza 3 w Krakowie, znajdowało się na terenie parafii św. Anny. Był to kościół uniwersytecki z grobem św. Jana z Kęt, profesora tej uczelni.

Tam po raz pierwszy klerycy śląscy spotykali się z Kościołem krakowskim, tam duszpasterzem był Sługa Boży ks. Jan Pietraszko, a rekolekcje prowadził dla studentów młody ks. Karol Wojtyła. Tam zetknąłem się z jego słowem wygłoszonym do ludzi kultury.

W latach 1956–1957 słuchałem wykładów ks. prof. Karola z etyki społecznej. Te wykłady dla dwóch roczników z dziesięciu seminariów odbywały się w auli naszego Seminarium przy Alei Mickiewicza 3. Była zbudowana nowoczesnie, mogła pomieścić więcej słuchaczy. Ks. Wojtyła był dostępny dla studentów, życzliwy. Odpowiadał na pytania słuchaczy. Traktował poważnie nasze wąt-

pliwości. Ktoś postawił pytanie dosyć obrazoburcze, koledzy radzili je przemilczeć. Ks. Wojtyła zanim na nie odpowiedział – zaznaczył – „Widzę, że zaczynacie myśleć teologicznie”. Tego rodzaju dialog wzbudzał zaufanie do wykładowcy, choć same wykłady nie były łatwe. Posługiwał się językiem filozoficznym.

W marcu 1956 roku ks. prof. Wojtyła wygłaszał rekolekcje dla młodzieży akademickiej w kościele św. Floryana. Postanowiłem wziąć w nich udział. Nie były przeznaczone dla kleryków i trzeba się było wystarać o pozwolenie rektora Jerzego Stroby. Chętnie go udzielił. Siadywałem w sutannie na chórze i skrzętnie robiłem notatki. Zostały później wydrukowane w książce „Historia Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego” zredagowanej przez ks. rektora Józefa Kupnego. Nie wspomina się o tych rekolekcjach w żadnym kalendarium życia ks. Karola Wojtyły.

Rekolekcjonista mówił o Bogu w życiu młodego człowieka, o Bogu obecnym w myślach, woli, uczuciach. Mówił o Kościele, który wytycza cel ludzkiemu życiu, dynamizuje życie człowieka. Potem mówił jeszcze o spowiedzi i modlitwie. Do dziś korzystam z tych przemyśleń swojego profesora. U niego zdawałem egzaminy przez dwa lata. Mam jego podpis w indeksie. Mogę stwierdzić, że moje kapłaństwo wzrastało w cieniu profesora Karola Wojtyły. Byli też inni wykładowcy i wychowawcy. Opatrzność Boża w czasach narzuconej ideologii materialistycznej ukazywała wyraźne drogowskazy. Profesor Kazimierz Kłósak skutecznie rozprawiał się z filozofią Adama Schaffa.

Ks. prof. Ignacy Różycki pewnie przedstawiał objawione Boże prawdy jako dogmaty Kościoła katolickiego. Uczył Tomaszowego logicznego myślenia. Nie było łatwo u niego na egzaminie. Ks. Aleksy Klawek był biblistą i jego wykłady w największej sali Collegium Novum były komentarzem do biblijnego opisu stworzenia świata. Historię wykładał ks. prof. Tadeusz Glemma, apologetykę ks. prof. Marian Michalski.

Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego istniejący od czasów św. Królowej Jadwigi został zli-

kwidowany w roku 1954 przez władzę państwową. Potem jego studenci byli słuchaczami na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie. Nikt nie mógł przewidzieć, że później powstanie Uniwersytet Papieski im. Jana Pawła II w Krakowie z kilkoma tysiącami studentów z południowej Polski.

### **Wspomina Ksiądz Arcybiskup czasy studenckie, a jak „wasze” losy potoczyły się potem. Przyjął Ksiądz święcenia prezbiteratu 21 grudnia 1957 roku w Katowicach i rozpoczęła się posługa wikariatu m.in. w parafiach św. Marii Magdaleny w Tychach oraz Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Pszowie. Kiedy spotkaliście się ponownie?**

Drugi raz kard. Wojtyła wszedł w moje życie w latach 1969–1975. Pełniłem wtedy funkcję wicerektora Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Rektorem był ks. Stanisław Szymancki. Razem reprezentowaliśmy diecezję katowicką u swego metropolity. Na ul. Franciszkańskiej odbywały się ciekawe spotkania. Poznawałem metody pracy kolegalnej w Kościele, które wypracowywano na pierwszych sesjach Soboru Watykańskiego. Jego aktywnym uczestnikiem był kard. Wojtyła. Uczyłem się odpowiedzialności za Kościół Powszechny. Rozszerzały się moje horyzonty.

### **Jak doszło do mianowania piątego biskupa katowickiego i metropolity górnośląskiego?**

Piekary z cudownym obrazem Matki Bożej od lat gromadziły pielgrzymów na pobliskim wzgórzu. Po drugiej wojnie światowej pojawiła się osobna pielgrzymka męska w maju, a dla kobiet w sierpniu. Ten zwyczaj wywodził się z nauk stanowych w czasie rekolekcji parafialnych. Biskup Herbert Bednorz dobrze odczytał znaki czasu i nadał pielgrzymce świata męskiego specjalne znaczenie. Zapraszał metropolitę krakowskiego, kardynała Wojtyłę corocznie ze słowem Bożym w latach 1965–1978. To było wielkie święto, gdy bp Bednorz wygłaszał słowo wstępne, a kardynał krakowski homilię.

Piekary były śląską agorą, gdzie przybywały pielgrzymki, żeby doświadczyć społecznej siły wiary (prof.

Adam Biela). W czasach komunistycznych miało to wielkie znaczenie, dlatego też pielgrzymkom przeszkadzano.

Jan Paweł II spotkał się z wiernymi z Górnego Śląska i Zagłębia w czasie swojej pierwszej pielgrzymki do Polski w 1979 roku na Jasnej Górze. Powiedział wtedy znamienne słowa: „Zawsze byłem sercem bliski Kościołowi katowickiemu i temu całemu Kościołowi, który «siedzi na węglu» i mieszka wśród fabryk, hut. Temu Kościołowi, który w całości kształt życia katolickiego w Polsce wnosi szczególnie doświadczenia oraz szczególnie wartości”.

Do historycznego spotkania Jana Pawła II z wiernymi Górnego Śląska doszło w 1983 roku na lotnisku Muchowiec w Katowicach. Ponad milionowa rzesza wiernych wysłuchała przemówienia dotyczących pracy ludzkiej, jakże ważnego w okresie przemian ustrojowych. Przejsie od gospodarki sterowanej do gospodarki rynkowej dokonywało się na wielką skalę. Wszyscy szukali światła i mądrości w przemówieniach Papieża, który co dopiero wydał encyklikę *Laborem exercens* w 1981 roku.

W Katowicach Papież odniósł najpierw ludzką pracę do Boga Stwórcy. Bóg, stwarzając człowieka na swój obraz i podobieństwo, polecił mu czynić sobie ziemię poddaną. Życie Odkupiciela było poświęcone pracy przy warsztacie u boku Józefa z Nazaretu. Człowiek pracy wezwany jest do tego, aby pełniej odczytywał odkupieńczą treść ewangelii pracy. Praca ludzka stoi pośrodku całego życia społecznego. Przez nią kształtuje się sprawiedliwość i miłość społeczna jeśli całą dziedziną pracy rządzi właściwy ład moralny. Zaznaczył, że w wydarzeniach, jakie miały miejsce w Polsce od sierpnia 1980, chodziło przede wszystkim o taki moralny ład, a nie tylko o podwyższenie zapłaty za nią. I te wydarzenia polskiego świata pracy nosiły na sobie wyraźnie znamię religijne.

Praca jest powinnością człowieka zarówno wobec Boga jak i też wobec ludzi, zarówno wobec własnej rodziny jak też wobec narodu. Tej powinności odpowiadają też uprawnienia człowieka pracy. Jest to prawo do sprawiedliwej zapłaty, prawo do zabezpieczenia w razie wypadków związanych z pracą, prawo do wypoczynku zwłaszcza w wolną niedzielę i przede wszystkim prawo do Związków Zawodowych. Mówił również o rodzinie i miłości do Ojczyzny.

Ewangelia pracy z Muchowca jest nadal aktualna. Czeką na zrealizowanie przez kolejne pokolenie ludzi pracy. Papież, który doznał trudu pracy w kamieniołomach w czasie okupacji, jest wiarygodnym świadkiem ewangelii.



Joł. arch.

Ksiądz Karol Wojtyła, 1948 r.

W atmosferze bliskości Jana Pawła II do Kościoła śląskiego doszło do nominacji nowego biskupa katowickiego w 1985 roku i do ustanowienia metropolity górnośląskiego w 1992 roku. Odtąd archidiecezja katowicka, diecezja opolska i diecezja gliwicka stanowią nową jednostkę kościelną. W ten sposób Jan Paweł II nawiązał do 1922 roku, gdy wcześniej te tereny były pod jurysdykcją biskupów wrocławskich. W Wyższym Seminarium we Wrocławiu wychowywali się męczennicy z czasów drugiej wojny światowej: bł. Emil Szramek i bł. Józef Czempiel. Kościół wrocławski cieszył się społecznym zaangażowaniem i mądrością kleru wykształconego na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. To budowało fundamenty Kościoła górnośląskiego, który Jan Paweł II nazwał Kościołem wielkiej pracy i wielkiej modlitwy.

### **Od wieków panuje zwyczaj wizyt biskupów *ad limina apostolorum*. Co pięć lat biskup diecezjalny udaje się do Rzymu. Jak te wizyty wyglądają u księdza Arcybiskupa?**

Po raz pierwszy odbyłem taką wizytę w 1987 roku. Pod przewodnictwem kardynała Franciszka Macharskiego, metropolity krakowskiego, udałem się do Watykanu razem z biskupami z Częstochowy, Tarnowa i Kielc. Celem tych wizyt jest sprawozdanie o stanie powierzonej sobie diecezji według for-

my i w czasie określonym przez Stolicę Apostolską (kanon 399). Zamieszkaliśmy wszyscy w Kolegium Polskim. Stamtąd wyjeżdżaliśmy samochodem na różne spotkania z pracownikami Watykanu, a w końcu z samym Papieżem.

W Kongregacji Świętych prefektem był życzliwy kard. Pietro Palazzini. Bp Jerzy Ablewicz z Tarnowa był członkiem tej kongregacji. Było to spotkanie w sprawie procesów kanonizacyjnych polskich kandydatów na ołtarze. Czasem trwają one kilka czy kilkanaście lat. W Kongregacji Wychowania Katolickiego prefektem był kard. William Baum, który przypomniawszy sobie swój pobyt na pielgrzymce mężczyzn w Piekarach Śląskich i prosił, aby pozdrowić emerytowanego biskupa katowickiego Herberta Bednorza.

Ważna była również wizyta w Kongregacji Duchowieństwa. Poruszono problemy związane ze stałą formacją duchowieństwa, z zabezpieczeniem ich starości. Było jeszcze spotkanie z kard. Bernardinem Gantinem z Afryki, z kard. Eduardo Pironio z Argentyny, z kard. Rogerem Etchegaray z Francji.

W wspomnienie św. Jozafata, 12 listopada, koncelebrowaliśmy Eucharystię z Janem Pawłem II w jego prywatnej kaplicy. Potem w bibliotece serdeczne spotkanie, słowa powitania, krótkie rozmowy. W południe tego dnia biskupi diecezji katowickiej mieli wyznaczoną audiencję prywatną z Papieżem. Trwała około 20 minut. Biskup Czesław Do-



Biskup Karol Wojtyła, ok. 1960 r.

min dawał relację z pracy charytatywnej w całej Polsce. Papież słuchał z uwagą. Był też obecny bp Janusz Zimniak. Wszystko w atmosferze nowości odczytywania łaski polskiego pontyfikatu.

Poza spotkaniami oficjalnymi były spotkania nieoficjalne. W Rzymie od czasów powojennych przebywał bp Szczepan Wesoły, opiekun polskiej emigracji. Urodził się w Katowicach i po latach został pochowany w rodzinnym mieście w kościele świętych Piotra i Pawła. Przy kościele św. Stanisława była jego rezydencja i tam przyjmował nas z polską gościnnością. Były też odwiedziny w domach generalnych sióstr Elżbietanek czy Służebniczek NMP. Była wizyta w Radiu Watykańskim, w Sekcji Polskiej, którą prowadzili jezuiti.

Wizyta w Rzymie trwała od 9 do 19 listopada 1987 roku. Przybyliśmy do kraju pełnym społecznych napięć, ale ze świadomością, że od tysiąca lat jesteśmy związani z Kościołem Powszechnym. Inne kraje także przeżywały trudne okresy. Przybywaliśmy z nowymi motywami życia i nadziei do powierzonych diecezji. Przybywaliśmy umocnieni błogosławieństwem papieża Jana Pawła II.

Drugą wizytę *ad limina* odbyłem w styczniu 1993 roku. Znow w gronie biskupów, którym przewodniczył kard. Macharski. Było to po reorganizacji struktur terytorialnych w Polsce. Powstały nowe diecezje i metropolie. Metropolia Górnośląska powstała na wyraźne życzenie Papieża. Paliusz metropolity odebrałem 29 czerwca 1992 razem z innymi metropolitami na Watykanie. Wizyty w ustalonych terminach odbywały się w poszczególnych kongregacjach.

Kard. Pio Laghi, od wychowania katolickiego, dziękował za przeprowadzenie wizytacji apostolskich w seminariach duchownych w Polsce. Zwrócił uwagę na potrzebę pogłębiania nauczania filozofii w seminariach. Papież

pozytywnie ocenił powrót katechizacji do szkół.

W bezpośrednich spotkaniach Papież pytał o pielgrzymkę mężczyzn do Piekar, której każdego roku przesyłał pozdrowienia z Watykanu. Na zakończenie dla całej grupy biskupów odprawił Mszę świętą w kaplicy Redemptoris Mater ozdobionej nowymi mozaikami.

Trzecia wizyta *ad limina* za czasów Jana Pawła II odbyła się we wrześniu 1998 roku. W czasie tej wizyty przybyła do Rzymu studwudziestoosobowa pielgrzymka redakcji „Gościa Niedzielnego”. Ks. Stanisław Tkocz, redaktor naczelny, chciał razem ze swymi współpracownikami podziękować Bogu za siedemdziesięcioletnie istnienie tygodnika katolickiego. Jan Paweł II z radością udzielił im swego błogosławieństwa i zachęcał do dalszej pracy.

W Kongregacji Wychowania Katolickiego odbyły się rozmowy dotyczące powołania Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie Śląskim. Ojciec Święty błogosławił tej inicjatywie i sprawa posuwała się do przodu.

Biskup tarnowski Wiktor Skworec i biskup Piotr Libera jako sekretarz Episkopatu brali też udział w tej wizycie.

### **Kiedy Jan Paweł II erygował Wydział Teologiczny w Katowicach?**

Uniwersytet Śląski w Katowicach został powołany w 1968 roku. Jest jedną z najmłodszych wyższych uczelni w Polsce. Inicjatywa utworzenia Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego pojawiła się w 1981 roku, jednakże późniejsze wydarzenia społeczne sprawiły, że do tego zamysłu powrócono dopiero w roku 1998. W lipcu 2000 roku Stolica Apostolska zatwierdziła przygotowaną dokumentację, a w listopadzie tego roku odbyło się głosowanie Senatu Uniwersytetu Śląskiego, powołujące do istnienia Wydział

Teologiczny w Katowicach. Głosowanie było jednomyślne.

9 grudnia 2000 roku Watykańska Kongregacja do spraw Wychowania Katolickiego wydała dekret kanoniczny erygujący kościelny Wydział Teologiczny, włączony do Uniwersytetu Śląskiego. Następnie Prymas Polski kardynał Józef Glemp, jako przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, minister edukacji narodowej Edmund Wittbrodt, rektor Uniwersytetu Śląskiego profesor Tadeusz Sławek i ja, jako metropolita górnośląski, podpisaliśmy 6 grudnia 2000 roku w Nuncjaturze Apostolskiej w Warszawie umowę określającą konkretne warunki jego funkcjonowania. Wydział Teologiczny w Katowicach z dniem 1 października 2001 roku rozpoczął spełnianie swych naukowych i dydaktycznych obowiązków. Cztery lata później, 13 stycznia 2005 roku, delegacja Uniwersytetu Śląskiego z prezydentem Katowic dziękowała Janowi Pawłowi II na Watykanie za powołanie tego wydziału. W czasie audiencji, już bardzo chory, Papież powiedział: „Obecność nauk teologicznych pośród innych dziedzin zgłębianych na uniwersytecie, stwarza możliwość cennej wymiany myśli. *Fides et ratio* spotykają się w poszukiwaniu mądrości. Posługują się innymi narzędziami i metodami, ale ubogacają się wzajemnie na drodze odkrywania wielorakich wymiarów prawdy”. Papież życzył, aby Uniwersytet Śląski mógł cieszyć się obfitymi owocami tej współpracy, która rozpoczęła się przed czterema laty. Przekazał pozdrowienia i błogosławieństwo dla profesorów i studentów.

Światłość i mądrość Papieża Jana Pawła II jest wielkim wyzwaniem dla Kościoła Powszechnego, dla naszej Ojczyzny i całego świata. W czasach zamętu Opatrzność Boża posyła nam mężów Bożych na miarę stuleci. Obyśmy potrafili odczytać orędzie, które nam głoszą.

Wydaje się, że znaczne ożywienie wiary i chrześcijańskiego świadectwa w Kościele Powszechnym dokonało się z okazji obchodów Wielkiego Jubileuszu dwóch tysięcy lat od narodzenia Jezusa Chrystusa. Rok 2000 był w koncepcji duszpasterskiej Jana Pawła II punktem centralnym (Odkupiciel człowieka według jego pierwszej encykliki *Redemptor hominis* z roku 1979).

Trzeba, aby Jezus Chrystus był lepiej poznawany, kochany i naśladowany. Ewangelia głoszona, celebrowana i przeżywana jako służba prowadzi, według Jana Pawła II, do nowej nadziei.

**Bardzo serdecznie dziękuje za rozmowę. ■**

# Myśląc Ojczyzna O medytacji Karola Wojtyły

MARIAN KISIEL

**1** Wiesław Paweł Szymański napisał, że „wszystko, co dzieje się w poezji Karola Wojtyły, dzieje się po stronie wybranej”. Kategoryczność tego sformułowania nakazuje zatrzymać się przy nim dłużej. Niepokoi zwłaszcza słowo „wszystko”, które ma niezwykłą potencję zawłaszczania, ponieważ jest dyktatorskie, nie znosi sprzeciwu i nie daje szansy na dialog. A to „wszystko” – mówi krytyk – czyli świat z jego ontologią, filozofią poznania i wartości, pięknem oraz demonami duszy – jest „po stronie wybranej”. Nie, nie jest; „dzieje się”. I ten zwrot – „dzieje się” – jest zasadniczy. „Dziejąc się” – jesteśmy w procesie, nie zatrzymujemy się, do czegoś dążymy, czemuś (w stałej gotowości) przeciwstawiamy się. „Dziejąc się” – jesteśmy również w każdym „centrum”. Czym jest to „centrum”? Szymański odwołał się do słów-kluczy, czyli najczęściej występujących w poezji Wojtyły pojęć: „drzewo, ziemia, historia, ojczyzna, kościół”.

Słowa-klucze to pożyczka z francuskiego: *mots-clés*. Po raz pierwszy użył tego terminu do badań semantyki poetyckiej Pierre Guiraud, a na gruncie polskim spopularyzował Kazimierz Wyka. Termin odnosi się do statystyki językowej, czyli listy frekwencyjnej najczęściej używanych słów, które, przeniesione na grunt semantyki, stają się bodaj najważniejszym sposobem badania wyobraźni, a tym samym światopoglądu poetyckiego.

To przypomnienie jest po to, by zrozumieć, co Szymański miał na myśli, przywołując trwale zespolony z poetyką wiersza termin. A miał na myśli to, że wymienione słowa-klucze są „dowodem integralności wszystkiego, co odnajdziemy w poezji Wojtyły”. To znaczy, że są rozumiane jako bycie bytu, istota poezji (tej właśnie, konkretnie tej) w jej nieusuwalnym, podmiotowym kształcie.

**2** Tytuł poematu (medytacji) *Myśląc Ojczyzna* jest ujęty w składni nominatywnej. Myśli się nie o „kim, czym”, ale myśli „kto, co”. Gdyby po imiesłowiu poeta postawił dwukropkę, nic nie zakłócałoby składni logicznej. Ale dwukropka

– zawsze otwierającego na jakieś znaczenie – nie ma. Imiesłów przysłówkowy współczesny jest zespolony z czynnością, która trwa, nie jest zakończona. Dlatego „myśląc”, jestem „tu i teraz” i „zawsze”; a „myśląc” konkretne słowo, nadaję mu szczególne znaczenie pojawiania się, stwarzania. Słowo „ojczyzna” jest więc w tym kontekście specjalnie nacechowane. Najpierw przez niebywale mocną pozycję w tytule, później przez indywidualne (pozatekstowe) rozumienie jego sensu. A ponieważ słowo „Ojczyzna” zostało zapisane wielką literą, jego semantyka mieści się także w kategoriach wzniosłości czy patosu. Tak – zawsze – uzeńtrznia się mowa wielkich emocji.

**3** Autora poematu można by zapytać, o jakiej ojczyźnie „myślał”, ale nie ma powodu, żeby zadawać mu pytania zbędne. Bo jaką odpowiedź chcielibyśmy usłyszeć? Chyba tylko twierdzącą. A skoro interesuje nas wyłącznie potwierdzenie własnego sądu, to po co angażować tu poetę? Poezja nie jest wykładnią spraw prostych, nie dąży do alegoryzacji, ale przenosi na inny poziom to, co w każdym języku spekulatywnym zostaje wyrażone dosadniej lub bardziej okrutnie. Niektórzy nazywają to symbolizacją, inni metaforyzacją rzeczywistości. W każdym wypadku chodzi o odjęcie wizji poetyckiej widzenia naiwnego.

Dając swojej medytacji tytuł *Myśląc Ojczyzna*, Wojtyła zastosował znaczeniowy ekwiwalent; *Myśląc Polska* byłoby zwrotem zbyt jednoznacznie, zawężająco kierującym nas w stronę poetyckiej semantyki. „Polska” jest słowem konkretnym, odniesionym bezpośrednio do kraju i przeniesione do miejsca, a także do ludzi manifestujących swój narodowy charakter; „Ojczyzna” w swoim polu zawiera treści i partykularne, i uniwersalne – jest więc miejscem, krajem, okolicą, siedliskiem, kolebką, a więc tym, co dodatkowo wzbogacone zostało o aspekt emocjonalny. Dlatego w strofie otwierającej poemat, przeczytamy (II 153): Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam, mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega ku innym, [...]”.

Przy słowie „Ojczyzna” najbliższą czasowniki zwrotne: „wyrażam siebie”, „zakorzeniam [siebie]”. Nacisk najpierw położono na „wyrażenie” i „zakorzenienie”, a więc na ekspresję „sobości” i jej związanie z miejscem. Poeta sferę *ratio* („kiedy myślę”) zespolił ze sferą *cor* („mówi mi o tym serce”), ustanawiając w ten sposób „ukrytą granicę”, która nie dzieli, ale „przebiega ku innym”, „wszystkich ogarnia”. Jest to granica prowadząca w „przeszłość dawniejszą niż każdy z nas”; każdy z tej przeszłości „się wyłania”. Stąd: „[...] gdy myślę Ojczyzna – by zamknąć ją w sobie jak skarb. / Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń, którą wypełnia”.

**4** Czujemy w strofie wstępnej medytacji Karola Wojtyły jakąś niezdarność wysłowienia, jakąś notatkowość; jakby myśl nie rozwijała się płynnie, ale była szkicem myśli; jakby jeszcze nie znalazła dla siebie ujścia, ale dopiero się kształtowała; jakby słowa z sobą walczyły, rozum eliminował uczucie, a uczucie starało się ukryć w formule uogólniającej. Często się tak zdarza w zapisie brulionowym, gdzie nadpisuje się nad jednym słowem inne słowa, albo gubi się końcówki wyrazów i znaki przestankowe, ponieważ krnąbrna myśl wciąż nie daje się ująć w ryzy. To zmaganie z formą stało się ważną częścią medytacji *Profile Cyreneńczyka*. Na zaklęcie (przecież każdy poeta zaklina tworzywo): „Weź myśl – jeśli potrafisz – weź myśl [...]” (II 70), reakcją nie jest odpowiedź na „potrafisz”, ale na „weź”. Nie wątpliwość, ale postanowienie staje się istotą poetyckiej czynności: „Weź myśl i dokończ człowieka / lub też mu pozwól rozpoznać siebie samego na nowo / lub też inaczej: niech on Ci tylko pomaga, / a Ty go prowadź” (II 70).

Honoryfikatywne – pisane wielką literą – zaimki „Ci”, „Ty” kierują w stronę godności, która jest w zbiorze wartości najwyższych. (Wcześniej poeta trzykrotnie napisał wielką literą słowo „Człowiek”). Tak samo, jak – wracamy już do *Myśląc Ojczyzna* – owa wartość, którą można „zamknąć [...] w sobie jak skarb” (II 153); to znaczy – miłość do Ojczyzny.

W swojej medytacji Karol Wojtyła jest meandryczny. Nie prowadzi myśli prostą drogą i nie dba o retoryczne zalecenie, by czynić myśli zrozumiałymi. Jakby było mu obojętne zarówno *elocutio*, jak i to, czy zostajemy zaproszeni do jego „myślenia”. A nawet to, czy chce on swoje „myślenie” uczynić naszym własnym. Dlatego znajdujemy się w różnych kręgach spraw, na siebie nachodzących. Nie tyle, jak chciałby Szymański, słowa nacechowane: „drzewo, ziemia, historia, ojczyzna, kościół” mają odsłonić bycie bytu, ale „język” rozumiany nie jako *langue*, lecz jako *parole*. System, mówi Wojtyła, zależy od konkretnej obecności. Dlatego w sekwencji *Gdy dokoła mówią językami...* (II 153–154), w sposób oczywisty odwołującej się swoim tytułem do hymnu św. Pawła o miłości (1 Kor 13), przeczytamy (II 153–154):

„Gdy dokoła mówią językami, słyszę, jak narastały pokolenia, wznośząc do skarba swej ziemi rzeczy stare i nowe – [...]

Gdy dokoła mówią językami, dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. Zagłębia się w myśli pokoleń i ziemię naszą opływa i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem –

poza nim dźwięczy rzadko –

(w grupach ludzi, którzy mówią wkoło, jakby wyspy opłynięte oceanem powszechnej ludzkiej mowy, nie odnajdując własnej fali) – [...]

nie podjęły mowy moich ojców języki narodów, tłumacząc „za trudna” lub „zbędna” –

na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem. Język własny zamyka nas w sobie: zwierza, a nie otwiera”.

Powtórzmy jeszcze raz dla dokładniejszego zrozumienia: „Język własny zamyka nas w sobie: zwierza, a nie otwiera” (II 154). W owym wyznaniu miłości do plemienia, jego dziejów oraz miejsca jako kolebki i siedliska dla przychodzących po sobie pokoleń, ukryte jest jednocześnie pytanie o to, co pozostaje tajemnicą. Nie chodzi o to, że miłość do „języka własnego” jest dumą z jego posiadania. Poeta powie, że język, który ludzi łączy („zamyka nas w sobie”, „zwierza”), jednoczy – jest jednocześnie przeskodą na drodze do pełnej wspólnoty, ponieważ „zamyka nas w sobie”, „zwierza” (czyli: zaciska i szczepia), „a nie otwiera” (II 154):

„Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb naszych własnych korzeni, czekając na owoc dojrzewania i przesilenia.

Ogarnięci na co dzień pięknem własnej mowy, nie czujemy goryczy, chociaż na rynkach świata nie kupują naszej myśli z powodu drożyzny słów.

Czyż nie żyjemy pragnienia głębszej jeszcze wymiany?”

Lud żyjący w sercu własnej mowy pozostaje poprzez pokolenia tajemnicą myśli nieprzejranej do końca”.

To samo może mieć nie tę samą interpretację; dwuznaczność językowych zwrotów jest tutaj unaocznieniem rozłączności we wspólnocie. Ktoś usłyszy w słowach Wojtyły nie meandryczność emocji, ale dumę z „własnych korzeni”, „piękną mowę”, „własnej mowy”, „tajemnicę myśli nieprzejranej do końca”. Ale ktoś inny nie znajdzie w nich potwierdzenia własnych pragnień, lecz pęknięcie w porządku syntagmy. Przeczytamy: „Poza mową otwiera się przepaść” (II 154). W owym „poza”, które jest przejściem na drugą stronę wspólnotowego paradygmatu, „docieram do serca dramatu...” (tak brzmi tytuł trzeciej, nienumerowanej sekwencji medytacji). Otwarcie na przepaść jest dramatem wysłowienia.

## 6

Jest to, przede wszystkim, dramat wysłowienia wolności.

Poeta najpierw pyta retorycznie: „Czy jest to niewiadoma słabości, jakiej doświadczyliśmy w ojcach naszych i dziedziczymy w sobie?” (II 154). Pytanie o wolność – jako „słabość” i jako jej „dziedziczenie” – jest „niewiadomą”, którego rozwiązanie (w medytacji) może stać się jakimś wytłumaczeniem historii, losu, przeznaczenia pokoleń zamkniętych w „mowie”. Prawdy moralne, którymi poeta nas obdarza, są mniej istotne od pytań, jakie nam zadaje. Ten, który naucza, jest jak bohater tragiczny Kierkegarda; mówi to, co etycznie niepodważalne:

„Wolność stale trzeba zdobywać, nie można jej tylko posiadać! Przychodzi jako dar, utrzymuje się poprzez zmaganie. Dar i zmaganie wpisują się w karty ukryte, a przecież jawne.

Całym sobą płacisz za wolność – więc to wolnością nazywaj, że możesz płacąc ciągle na nowo siebie posiadać” (II 154).

Wolność rozumiana jako „dar” i jako „zmaganie”; czyli jako wartość, której zachowanie wymaga wielu jednostkowych i zbiorowych starań; zostanie zderzona z „zapłatą”, czyli ofiarą, jaką się ponosi za posiadanie „daru”. Jest to ofiara bez możliwości uniku: „całym sobą płacisz za wolność”, „możesz płacąc ciągle na nowo siebie posiadać”.

Ów moralny maksymalizm jest w jakimś sensie nawiązaniem do przymierza, jakie Mojżesz zawarł z Bogiem. Czy to przymierze było potrzebne Bogu? Nie; było ono potrzebne narodowi, albowiem naród jako „szczególna [...] własność [Boga] pośród wszystkich narodów” (Wj 19,5) wstępował w porządek historii i kultury. Poeta napisał: „Tą zapłatą wchodzimy w historię i dotykamy jej epok” (II 155). Wojtyła nie chodziło rzecz jasna o mesjanistyczną interpretację przymierza (oto został wybra-

ny naród), ale o wzajemną odpowiedzialność, jaką biorą na siebie współplemieńcy (związanie przymierzem).

Pytanie: „Czy ciężarów historii nie dźwigamy jak filar, którego pęknięcie nie zabiłoby się dotąd?” (II 155), stanie się początkiem rozważań zasadniczych, wyznaczonych innym pytaniem: „Czy możemy mierzyć naszą wolność wolnością innych?” (II 155). „Zmaganie” i „dar”, o których była mowa wcześniej, stają się w ten sposób niezwykle rachunkiem sumienia przedstawiciela etnicznie pojmanego narodu. W sekwencji *Docieram do serca dramatu...* przeczytamy: „Wy, co wolność waszą związaście z naszą, przebaczenie! / I patrzcie! – że wolność naszą i waszą odkrywamy ciągle na nowo jako dar, który przychodzi, i zmaganie, którego wciąż nie dosyć” (II 155).

Natomiast w sekwencji *Myśląc Ojczyzna, powracam w stronę drzewa...*:

„Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień. W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki. Historia ich nie pokrywa, lecz wyudatnia... / Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?” (II 156).

Dramat wysłowienia staje się w ten sposób dramatem sumienia jednostek, a tym samym – narodu. „Którędy przebiega dział pokoleń między tymi, co nie dopłacili, a tymi, co musieli nadpłacać? Po której jesteśmy stronie?” (II 155).

## 7

Dwudziestowieczna narodowa etniczność jest w medytacji Karola Wojtyły widziana jako następstwo polskość piastowskiej (wspólnoty krwi) i jagiellońskiej (wspólnoty religii i kultur). Historia („śpiew dziejów”), pisze poeta, spełniła się przez czyny i „dojrzałość samostanowienia”; „na ołtarzu samostanowienia płonęły ofiary pokoleń – przejmujące wołanie wolności silniejszej niż śmierć” (II 155). Wyroki historii były niełaskawe, a mimo to „osądziliśmy wolność naszą sprawiedliwiej niż inni” (II 155).

„Tajemnica myśli nieprzejranej do końca” (II 154), „tajemnica dziejów” – „podnosiła swój głos” (II 155). W sekwencji zamykającej medytację „głos”, będący wyrażeniem „myśli”, jak napisze poeta: „powraca w stronę drzewa” (II 156). Najpierw – w stronę drzewa wiadomości dobrego i złego:

„Drzewo wiadomości dobrego i złego wyrastało nad brzegami rzek naszej ziemi, wyrastało wraz z nami przez wieki, wyrastało w Kościół korzenia mi sumień.

Nieśliśmy owoce, które ciążą i które wzbogacają. Czuliśmy jak głęboko rozszczepia się pień, choć korzenie wrastają w jeden grunt...”.



Tytuł ostatniej sekwencji medytacji Karola Wojtyły brzmi jednoznacznie: *Mysiąc Ojczyzna, powracam w stronę drzewa...* „Drzewo wiadomości nie zna granic” (II 156), jego korzenie „wra- stają” w grunt, a jego „pień” „głęboko rozszczepia się”. Poeta pyta: „W którą stronę rozgałęził się pień? W którą stronę podążają sumienia? W którą stronę narasta historia naszej ziemi?” (II 156). „Rozgałęzienie”, „rozszczepianie”, „narastanie” jest czynnością bezustanną, niedokonaniem, procesem. „Drzewo wiadomości nie zna granic”, aktu „wyrastania” i „wrastania” nie da się opanować:

„Granica jest tylko Przyjście, które zmagania sumień i tajemnice dziejów połączy w jednym Ciele – i drzewo wiadomości zamieni się w Źródło Życia wciąż wzbierające.

Lecz dotąd dzień każdy przynosi to samo rozszczepienie w każdej myśli i czynie, z którego Kościół sumień rośnie w korzeniach historii”.

Zwracają uwagę wielkie litery w słowach: „Przyjście”, „Ciało”, „Źródło Życia”, „Kościół”. To inne słowa-klucze od tych, jakie wymieniał wcześniej Wiesław Paweł Szymański. Tamte organizowały wyobraźnię poetyką Karola Wojtyły w planie, by tak rzec, alegorycznym; te kierują nas w stronę symboliki biblijnej. Przemiana drzewa poznania w drzewo nieśmiertelności jest przemianą szczególnego rodzaju; oznacza wejście w nowe przymierze, o jakim czytamy w Liście św. Pawła do Hebrajczyków (8,8–12). Wojtyła napisze: „Oto liturgia dziejów. Czuwanie jest słowem Pana i słowem Ludu, które będziemy przyjmować ciągle na nowo. Godziny przechodzą w psalm nieustających nawróceń: Idziemy uczestniczyć w Eucharystii światów” (II 157).

Metafora „liturgii dziejów”, użyta w mocnej pozycji inicjalnej quasi-zwrotki, zdaniem Krzysztofa Dybciaka, „ma oznaczać, że historia może stać się znakiem niewidzialnej, boskiej rzeczywistości” (II 273, komentarz do poematu). Trudno ją jednakże oddzielić od innej: „Eucharystia światów”. Obie są potwierdzeniem głównej idei religijnej w poezji Karola Wojtyły, którą Jan Błoński określił jako akt skupienia nad „misterium przejścia, narodzinami wiary”.

Medytacja *Mysiąc Ojczyzna* jest albowiem próbą związania ziemskiej ojczyzny, „częstki naszego czasu” z ojczyzną niebiańską; ziemi ojców z ziemią Ojca. Związanie to może się dokonać jedynie na drodze przejścia. Poeta napisze: „schodzimy ku tobie ziemio, by poszerzyć cię we wszystkich ludziach – ziemio naszych upadków i zwycięstw, która wznosisz się we wszystkich sercach tajemnicą paschalną”. Prawdziwość przejścia – do-



powiedzmy – układa się „w psalm nieustających nawróceń” za sprawą „Kościola sumień”, który „rośnie w korzeniach historii” (II, 157).

## 8

Znakomicie rozpoznał to Jan Błoński. Zakończmy zatem ten rozbiór dłuższym z niego cytatem: „Historia jest także epifanią Boga. Praca wkorzenia, obejmująca całość człowieka, będącego »duszą, sercem, pragnieniem, cierpieniem i wolą« – zdaje się zapowiedzią eschatologicznego pojednania: »drzewo wiadomości nie zna granic« [...]. Stąd myśl, że każdy kraj, społeczeństwo, naród uczestniczy w przygotowaniu owego pojednania: »słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją klęską, gdy zapomina, że został posłany, by czuwać, aż przyjdzie jego godzina [...]. Oto liturgia dziejów«. Tak historia staje się rytuałem,

liturgicznym oczekiwaniem, ludy zaś, niczym panny mądre, czekają na nadejście Chrystusa. Odsyła to polskiego czytelnika do romantycznego providencjalizmu, który naznaczył Karola Wojtyłę za pośrednictwem wielkich poetów XIX wieku.”

W szkicu odwołano się do prac Jana Błońskiego: *Poezja nawrócenia* oraz Wiesława Pawła Szymańskiego: *Zakorzenie (fragmenty)*, pomieszczonych w zbiorze *Pisarstwo Karola Wojtyły – Jana Pawła II w oczach krytyków i uczonych. Antologia*, oprac. K. Dybciak, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019; fragmenty medytacji *Mysiąc Ojczyzna* przytoczono za edycją: K. Wojtyła – Jan Paweł II, *Dzieła literackie i teatralne*, t. 2, *Utwory poetyckie (1946–2003)*, red. Z. Zarebianka, Znak, Kraków 2020 (w tekście głównym oznaczono cyfrą rzymską tom, arabską – stronę).

# Doktor Bogusław Parczewski

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Latem 1898 roku złożył egzaminy wienające specjalizację w klinice ginekologicznej profesora Pavlika na Uniwersytecie Karola w Pradze; w grudniu mieszkał już w Bytomiu przy ulicy Gliwitzerstrasse 20 (obecnie Gliwickiej). Jego gabinet znajdował się w eleganckiej kamienicy pod adresem Rynek 11.

W tym mieście był bardzo potrzebny. Prócz niego w wielkomięjskim Bytomiu praktykowało tylko trzech polskich lekarzy.

Urodził się na Pomorzu, studiował we Wrocławiu, Dreźnie i Pradze. Najpiękniejsze lata życia spędził jednak w Bytomiu. Dlaczego? Co go tak zaferowało?

Odpowiedź na to pytanie, zupełnie przypadkowo, znalazłem w lapidarnym haselku prof. Eugeniusza Romera, zamieszczonym „Encyklopedii Macierzy Polskiej” wydanej w kresowym Lwowie i akurata w roku 1898:

„Bytom, miasto w Górnym Szląsku, nieopodal granicy galicyjskiej, liczy 25.000 mieszkańców. Położone jest w środku obszaru górniczego; w pobliżu są kopalnie węgla kamiennego i cynku, hut żelaza i cynku. Bogaty wskutek przemysłu, jest Bytom zarazem głównym ogniskiem narodowego ruchu Polaków, mieszkających w Szląsku pruskim. Wychodzi tam pismo ludowe »Katolik«, liczące około 15.000 prenumeratorów”.

Dla Bogusława – polskiego patrioty, rodem z Belna w powiecie świeckim na Pomorzu Nadwiślańskim, istotne było to, że Bytom od dawna cieszył się sławą: „głównego ogniska narodowego ruchu Polaków, mieszkających w Szląsku pruskim”, ale jeszcze większe znaczenie miało, że tutaj już 2 lata wcześniej zamieszkał serdeczny kolega Kazik Czaplą – również z nadwiślańskiego Chelma. Leżało co prawda na przeciwnym brzegu Wisły, ale od Belna dzieliło je tylko 12 km.

Zaprzyjaźnili się w czasie studiów we Wrocławiu. Byli komilitonami Stowarzyszenia Studentów Wielkopolskich „Concordia”, a do tego rówieśnikami (Kazimierz był o miesiąc starszy od Bogusława urodzonego pod znakiem zodiakalnego Lwa). Łączyły ich nie tylko dawne znajomości, ale także zainteresowania: Bogusław rozczytywał się w literaturze ojczyznej, a Kazimierza – debiutującego adwokata prócz teatru i literatury pociągał także śpiew. Od czasu do czasu robili wypadki do Krakowa, który atrakcyjnością polskich pamiątek przyciągał rodaków ze wszystkich zaborów.

Dla Bogusława liczącego 28 wiosen, z dnia na dzień magnelem, matczynikiem i nową polską rodziną, stawali się bytomscy polonusi, redakcyjni koledzy z „Katolika” i Polskiego Towarzystwa Ludowego, a z biegiem lat coraz liczniejsza rzesza pacjentek znajdujących pomoc i poradę w jego gabinecie.

## Bogusława portrety słowem malowane

W Bytomiu miał kolegów z lat gimnazjalnych i akademickich. W staroświeckich albumach, wspomnieniach i pamiątkach przetrwały mniej lub bardziej kompletne jego wizerunki.

Ze stuletnich fotografii spogląda na nas mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy i przyjaznym spojrzeniu, według bliskich i współpracowników „surowy dla siebie, pobłażliwy dla innych”.

Jego dozgonny druh, mecenas Stanisław Kobyliński, senator ERP, zapamiętał: „Charakter i życie śp. dra Bogusława Parczewskiego pozbawione były cech błyskotliwych, chęci wybicia się nad innych, imponowania wiedzą lub zaletami, był to raczej człowiek skromny. Jednak nie lękając zaszczytów, nie dążąc do sławy, wyjątkową cieszył się opinią człowieka prawego, gentlemana bez skazy o kryształowym sercu, o spiszowym charakterze. Albowiem miał wybitnie wyrobione poczucie obowiązku”.

Jego sposób bycia cechowała dostoja i życzliwość, swoboda i pewność siebie. Zawsze elegancki, ubrany stosownie do okoliczności – z białą chusteczką w butonierce, muchą do fraku lub krawatem do garnituru – miał prezencję przystojnego młodzieńca o życzliwym spojrzeniu i nienaganych manierach. Ujmująco uśmiechniętą twarz zdobił krótko strzyżoną brodą i starannie wymodelowanym wąsem – również krótko przyciętym i wywiniełym ku górze. Z brody zrezygnował dopiero, gdy był już dystyngowanym panem pod sześćdziesiątkę, któremu po 1928 roku, w Radzie Miejskiej Katowic, przypadła rola nestora.



Dr Bogusław Parczewski, fotoportret, Śląska Gazeta Lekarska nr 6-8 czerwiec-sierpień 1947

W pamięci pacjentek pozostał jako budzący zaufanie, opiekuńczy i dobry człowiek. Zawsze skłonny do pomocy, szczególnie gdy napotykał biedę i bezsilność. W białym lekarskim fartuchu z fonendoskopem w dłoni przypominał Anioła zsuwającego nad dziecięcą kołyską. Jego bytomski gabinet był czynny 3 godziny przed południem i 2 godziny po przerwie obiadowej. Telefony dr Parczewski odbierał o każdej porze dnia i nocy.

„Bez różnicy stanu, bez względów na honorarium, dr Parczewski traktował każdy przypadek

indywidualnie, do każdego przypadku wnosił nie tylko całą swą wiedzę fachową, lecz poza tym upartą chęć pomocy za wszelką cenę. Zalety te do ostatnich zachował chwil. Wiek poważny, szwankujące pod koniec zdrowie, nocna spóźniona pora, słońca i niepogoda nie wchodziły dlań w rachubę, gdy rozchodziło się o niesienie pomocy lekarskiej” – wspominał przyjaciel Bogusława – Staszek Kobyliński, którego nieprzemijająca przyjaźń łączyła także z Kazimierzem Czaplą.

W gabinetach prominentów i na salonach gawędził i żartował z wdziękiem Europejczyka i obywatela, ale znacznie mocniejszą jego pasją było wędrowanie po Tatrach i Beskidach. Najczęściej można go było spotkać w schroniskach pod Baranią Górą i na Równicy, którym wtedy patronowało Towarzystwo Tatrzańskie. W pumpach, z góralskim kapeluszem na głowie i podhalańską laską w dłoni, również i wtedy imponował wysmukłą sylwetką sportowca – śmigłego pogromcy górskich wierchów.

## Amicus librorum

Był także namiętnym bibliofilem rozmiłowanym w książkach i lekturze. Miał tą skłonność od dzieciństwa i jako gimnazjalista. Na półkach swego bytomskiego, a potem katowickiego mieszkania przy Teatralnej 12 zgromadził kilka tysięcy tomów. Wiele spośród nich jako dar trafiło do przyjaciół i bibliomanów. Był zaprzyjaźniony z działaczami Towarzystwa Czytelnia Ludowych. Pracując w radzie nadzorczej Polskiego Banku Ludowego w Bytomiu, przyznał się ze sławnym miłośnikiem polszczyzny Leopoldem Skowrońskim, jako ekonomista zatrudnionym w PBL i w redakcji „Katolika”. Zawsze mieli sobie wiele do powiedzenia, szczególnie o literaturze. O panu Leopoldzie i jego kolegach zachowało się sympatyczne wspomnienie polskich gimnazjalistów tamtych lat. Po drodze ze szkoły do konwiktu przechodzili obok ekspedycji „Katolika” przy obecnej ulicy Strzelców Bytomskich 24.

„Dr Skowroński, stary kawaler, gościł nas kawą przy swoim biurku. Tylko w godzinach urzędowych był ekonomistą. Poza służbą ducha jego uniósł się w sferę klasycznej filologii. Rozkoszował się pięknoscią myśli i formy klasyków. Dumny był z tego, że sam jeden posiadał wszystkie roczniki »Katolika« w komplecie. Myśmy się starali o to, żeby wszystkie roczniki były w porządku układane. Dla Skowrońskiego podłożem wszystkiego, co polskie, było piękno klasyków. Z największą ostrożnością wypuszczał nas tylnym wyjściem na tzw. ulicę Różaną. U państwa Retzlaffów najwięcej pielęgnowano pieśń polską. U państwa Eckertów wpajano nam literaturę polską. Wizyty te były bardzo niebezpieczne i w razie wykrycia czekał nas wilczy билет”.

Zadomowiony w Bytomiu, a potem w Katowicach, dr Parczewski jako Pomorzanie z urodzenia, część swoich zbiorów przekazywał zaprzyjaźnionym Polakom mieszkającym w Gdańsku. Pod koniec życia to, co najcenniejsze, „ukocho-

na swą bibliotekę” podzielił na dwoje; częścią literatury medycznej obdarował Towarzystwo Lekarzy Polaków w Śląsku, a resztą Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

## Z Belna w świat. Sekrety domowe i nie tylko

Dawne Belno Wolszegierów i Parczewskich, dziś przez miejscowych nazywane Starym Belnem, leży nad malowniczo meandrującą rzeką Wdą, lewym dopływem Wisły, kilka kilometrów od jej ujścia w pobliżu powiatowego Świecia. Okolice tego zakątka południowego Pomorza, tak jak dawniej noszą nazwę Kociewia.

Tutaj w 1864 roku Tekla i Erazm Parczewscy uwiili rodzinne gniazdo, w którym przyszło na świat ich pięciu synów. Najstarszym był Wojciech (1867), a drugim według kalendarza późniejszy lekarz Bogusław (1869), który imię odziedziczył po dziadku Parczewskim, właścicielu Obudna w powiecie Odolanowskim, a w czasie kampanii napoleońskiej (1806–1812) oficerze Wojsk Polskich.

Dom Parczewskich otaczały kępy wysokich malwowych łodyg – sztywnych i dostojnych jak arystokratki. Latem – około 14 sierpnia, w okolicy urodzin Bogusława – wypuszczały nieopornie pączki, które z dnia na dzień przeobrażały się okazałe kielichy o barwie różowej lub ciemniejącej jak smocza krew. Rezydencja Parczewskich uchodziła za ozdobę miejscowego krajobrazu. Istniała jeszcze w okresie międzywojennym.

Przodkowie imię Erazma, herbu Nałęcz, mieli dobrą w okolicach Kalisza. Tekla z Wolszegierów herbu Groty, była córką spolonizowanych niemieckich posesjonatów z Ziemi Chojnickiej.

Jej mąż jako gimnazjalista walczył w Powstaniu Wielkopolskim 1848 roku, za co (jeszcze przed ożenkiem) odpokutował karą więzienia w ponurej, pruskiej twierdzy Kostrzyn. Studiował prawo na Uniwersytecie we Wrocławiu. Potem jako asystent pracował w sądzie, ale przypadkowo odkrył zamiłowanie do gospodarowania majątkiem ziemskim. Przez kilkanaście lat zarządzał posiadłością Lewków opodal Krotoszyna. Gdy osiadł w dobrach Belno, przystąpił do Towarzystwa Rolniczego Ziemi Południowo-Pomorskiej. Zrzęszając ziemian powiatów świeckiego i chojnickiego.

Po 1864 roku Erazm Parczewski do historii przeszedł jako prawnik i ekonomista. Swoją energię i talenty przeznaczył na obronę Polaków germanizowanych przez pruskich zaborców. Jako poseł i stanowczy ich orędownik występował w Kole Polskim na forum parlamentu Rzeszy. Dzięki niemu Belno uchodziło za ostoję Polakości nadwiślańskiego Pomorza. Zmarł w 1915 roku. Groby rodzinne Erazma i Tekli Parczewskich oraz ich synów znajdują się na przykościelnym cmentarzu parafii Trójcy Świętej w pobliskim Jeżewie.

Lasy i łąki nad brzegami rzeki, okoliczne jeziora i tajemnicze zakamarki nad Wisłą były krainą chłopięcych eskapad i wycieczek Bogusława z rodzicami. Latem Erazm Parczewski ekwipował bryczkę, aby wraz z żoną Teklą i piątką synów wyruszyć na całodzienną wyprawę do pachnących żywicy, sosnowych Borów w okolicach Tucholi. Jechali w pobliżu urwistych, głębokich kanionów – zakolami wijącej się Wdy. Podglądali bobry, hałasujące przy budowie żeremi, a wychodząc na polany i duktę leśnych ostępu podziwiali majestatyczne kormorany i tokujące cietrzewie. U boku ojca jego

nastoletni synowie odbywali piesze wycieczki nad Wisłę i nad brzegi malowniczo rozlewisk Pojezierza Południowopomorskiego.

Krajoznawstwo seniora Parczewskiego stało się jego drugą naturą, czy też namiętnością. Chciał zwiedzać i poznawać nie tylko Pomorze i Wielkopolskę, ale także polskie góry. W 1878 roku (miał wtedy 52 lata) wstąpił do Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie. Od tej pory państwo Parczewscy wraz z synami zaczęli bywać na Skalnym Podhalu i w Zakopanem.

Po latach wspomnienie tamtych wycieczek odrodziło się także w pomysłach na życie juniora – doktora Bogusława Parczewskiego. Mieszkając już w Bytomiu zaczął się angażować w organizację krajoznawstwa na Śląsku. Na początku XX stulecia współuczestniczył w powołaniu Towarzystwa Turystycznego „Beskid” w Cieszynie, a w 1923 roku Górnośląskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Katowicach, gdzie przez kilka kadencji był prezesem. Do dziś w annałach tej organizacji jest wymieniany wśród członków honorowych.

Po ukończeniu progimnazjum w Świeciu, nastoletni Bogusław rozwinął skrzydła i jak młody orzeł wyfrunął do Poznania. Został elewem sławnego gimnazjum św. Magdaleny. Tam, wiosną 1888 r. otrzymał świadectwo dojrzałości, a w październiku wpisał się na listę słuchaczy fakultetu medycznego uniwersytetu we Wrocławiu. Studia kontynuował na uniwersytecie w Lipsku, gdzie w 1894 r. obronił dysertację i złożył egzamin państwowy, a w lipcu 1894 r. uzyskał stopień doktora medycyny. Pierwsze praktyki lekarskie odbywał w szpitalach ginekologicznych Poznania.

## Na czele GTL i TPN

W roku 1902 redaktorzy „Katolika” ich przyjaciele i czytelnicy świętowali 35 narodziny czasopisma. To stało się pobudką do ożywienia działalności wszystkich stowarzyszeń związanych z prasowym imperium Adama Napieralskiego, a szczególnie Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.

W styczniu 1902 podczas walnego zebrania członkowie GTL wybrali nowy zarząd: prezesurę powierzyli dr. Bogusławowi Parczewskiemu, prowadzenie biblioteki Tadeuszowi Palaczowi, sekretarzem i wiceprezesem Kazimierzowi Czapl, który wzywał nie do obowiązków również w poprzedniej kadencji.

„1. Celem Towarzystwa jest wydawać dobre książki, zbierać materiały, tyżące się dziejów, literatury, zwyczajów ludu itd., utrzymywać bibliotekę większą, zakładać biblioteczki dla ludu”. Tak zadania GTL charakteryzował statut stowarzyszenia zapisany w roku 1892; do historii przeszło jako najstarsza księżnica polska na nowożytnym Górnym Śląsku.

W praktyce bytomska biblioteka GTL sprawdziła się jako czytelnia inteligencji górnośląskiej. W roku 1905 – za prezesury dra Parczewskiego – na jej regały trafiło 9 tomów nowych książek zakupionych z funduszy GTL. W Domu Polskim „UL” na bytomskim Rozbarku, członkowie jej zarządu wygłaszali odczyty i prelekcje. Już przed wybuchem wielkiej wojny GTL wypożyczał książki polskim rzemieślnikom i robotnikom.

Ks. Emil Szramek, w kronikach TPN odnotował, że w pierwszym roku prezesury dr Parczewskiego „rozpisano szereg zaproszeń do osób z in-

teligencji, aby przystąpiły do Towarzystwa i w ten sposób pozyskano około 20 nowych członków; dalej zakupiono nowe książki dla biblioteki (ogółem 152 tomy), wydrukowano nowy katalog” (tpn Roczniki tom I 1929).

„Nowy katalog” inwentaryzujący kolekcję o nazwie „biblioteka rumuńska”, opublikowany na kilkuset stronach, uchodzi za najbardziej staranną charakterystykę historycznego księgozbioru. Jest jedną z ważniejszych publikacji tamtych lat. Dr Magdalena Skóra, wnikliwa badaczka kolekcji, pisze: „Ogólnie Biblioteka stanowi zbiór niezwykle różnorodny treściowo, obejmujący niemal wszystkie dziedziny wiedzy, choć z wyjątkiem przewagą historii, beletrystyki i literatury popularnonaukowej i przeznaczony dla różnych kręgów czytelniczych. W większości są to książki i czasopisma z lat 1850–1892, chociaż trafiają się także wcześniejsze (najstarsza pozycja prawdopodobnie z 1802 r.)”.

Inwentarz bytomski z 1902 roku prezentuje kilka tysięcy tytułów, autorów i wydawców. Pozwala się zorientować, co zawierał legendarny księgozbiór „rumuński” dra Juliana Łukaszewskiego, pierwotnie skompletowany w Jassach na Bałkanach. Wraz z tysiącami publikacji pozostaje historyczną pamiątką przypominającą dar serca przez rodaków na emigracji, dedykowany polskim Górnoślązkom pod pruskim zaborem.

Jest dostępny w internecie: <https://www.sbc.org.pl/dlibra/publication/60485/edition/56942/content>

W latach 1914 i 1915 Towarzystwo zakupiło 126 dzieł w 142 tomach.

Po walnym zebraniu GTL w roku 1914, do zarządu pod nieustającą prezesurą dra Parczewskiego weszły takie osobistości jak: redaktor naczelny „Katolika” Adam Napieralski (wiceprezes) oraz adwokat Brunon Kudara (sekretarz).

GTL zasłynęło wtedy jako organizator otwartych zebrań członkowskich z udziałem szerszego ogółu. W marcu z popularno-naukowymi referatami przed stuosobowym audytorium wystąpili: Artur Gruszecki z Krakowa *O powieściopisarstwie polskiem w ostatnich dziesięciu latach*; Konstanty Prus *O dziejopisarstwie śląskiem*; ks. dr Emil Szramek *O zbiorach pieśni ludowych na Górnym Śląsku*.

Znaczne kwoty zarząd wyasygnował na zakup nowych książek, ich naprawę lub oprawę, a także na propagowanie inicjatyw GTL.

## Wojna, powstania i plebiscyt

W sierpniu 1915 roku o lekarzu i poruczniku Parczewskim przypomniła sobie Reichswehra. Najpierw jako lekarz pospolitego ruszenia przez trzy lata odbywał służbę w kraju. Potem został wysłany do Rumunii, gdzie nabrał się tyfusu plamistego. Jego skutki odczuwał do końca życia. W maju 1918 już jako cywil wrócił do Bytomia i do lekarskich obowiązków. Zgłosił się do władz powstańczych, a potem do plebiscytowych. Insurgenci powierzyli mu stanowisko lekarza zaufania polskiej „Władzy Naczelnej”.

W III powstaniu śląskim był lekarzem w punkcie opatrunkowym w Rozbarku oraz komendantem szpitali powstańczych w Szarleju i Miechowicach.

„W czasie powstań i plebiscytu dr Parczewski raczej służył radą, kieszenią i wiedzą fachową, aniżeli się sięgał po stanowiska kierownicze” – zapewnia świadek tamtych dni mecenas Kobylński.

## Na krawędzi epok

W atmosferze hakatystycznych prowokacji i powstańczych kontrataków wiosną 1920 roku członkowie GTL spotkali się na kolejnym walnym zebraniu – pierwszym po zakończeniu wielkiej wojny. Odbyło się w bytomskim hotelu „Reichshof” przy ulicy Dworcowej. Obradowało 28 członków GTL.

„Górnośląskie Towarzystwo Literackie” postanowili przekształcić na „Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku”. Uchwalili nowy statut i program działania. Wybrali nowy zarząd. Doktorowi Parczewskiemu, wkraczającemu w wiek Abrahamy, powierzyli godność wiceprezesa. Prezesem wybrano dotychczasowego sekretarza GTL, adwokata Brunona Kudere. Do zarządu wszedł też młody ks. dr Emil Szramek – wtedy jako rewizor, a po latach prezes TPN.

Osiemnastoletnia prezesura Parczewskiego w bytomskim Towarzystwie Literackim przyczyniła się do upowszechnienia i utrwalenia ideałów tego Towarzystwa. Stanowiła fundament późniejszego TPN i ważny pomost pomiędzy dwoma epokami górnośląskich dziejów. Liderzy GTL i komitoni Bogusława stawali w pierwszych szeregach powstańczej i plebiscytowej wojny, a potem w formacjach odradzającej się Polski.

## Nowy dom i gabinet w odrodzonych Katowicach

W styczniu 1922. dr Parczewski przeniósł się do Katowic. Przez 15 lat prowadził gabinet ginekologiczny przy ulicy Teatralnej 12 na parterze. Jako społecznik nadal uczestniczył w pracy zarządów TG „Sokół”, TPN i PTT. W Związku Gospodarczym Lekarzy Polaków Województwa Śląskiego pełnił funkcję przewodniczącego sądu koleżeńkiego, a w katowickim magistracie – honorowego radcy miejskiego.

Po ojcowsku opiekował się Sierocińcem przy ulicy Plebiscytowej 46. Hojnością prześcigał wszystkich dobroczyńców tego przytulku. Patronat nad miejskim orfanotrofem należał do „Towarzystwa Ochronki im. dr Andrzeja Mielęckiego”. Dr Parczewski stał na czele Rady Opiekuńczej. W ochronce na całodobowym utrzymaniu przebywało 25 dzieci; przeważnie sierot po powstańcach i uchodźcach, a w ciągu dnia – wraz z dochodzącymi – około 80. Pochodziły z najbiedniejszych katowickich rodzin. Opiekowały się nimi Siostry Czerwonego Krzyża (obecnie to Dom Dziecka „Stanica”).



Nekrolog dr. Parczewskiego, Polonia nr 3917 z 8 września 1935

Katowiczanie zapamiętali doktora jako szlachetnego jałmużnika – wrażliwego filantropa i przyjaciela ubogich.



Bogusław Parczewski, Polonia nr 3917 z 8 września

Wciąż był duszą spotkań towarzyskich organizowanych w salonach swoich bliskich i znajomych, którzy tak jak on zamieszkali w odrodzonych polskich Katowicach. Do kregu jego najbliższych i dożgonnych przyjaciół należeli Czaplowie i Kobylińscy oraz członkowie ich rodzin.

W towarzyskiej legendzie Bogusław, Kazimierz i Stanisław przetrwali jako miłośnicy olimpijskich Muz.

Byli trójką dożgonnych przyjaciół. Zbliżyły ich przeżycia z lat studenckich i działalność w polskich organizacjach niepodległościowych, ale także upodobania kulturalne i literackie. Każdy z nich był czytelnikiem polskich pisarzy – Kazimierz lubił śpiewać, a Stanisław przepadał za teatrem. Nieodłącznymi patronkami ich zabaw i rozrywk były – Poli hymnia i Melpomena. Żartowali, że bogini Temida – patronka jurystów i wymiaru sprawiedliwości, była o nie zazdrośna!

W rodzinnych wspomnieniach Czapłów przetrwała opowiadka o legendarnym Ludwiku Solskim, który odwiedził Czapłów w 1924 roku. Podejmowali go w swoim katowickim apartamencie przy ulicy Gliwickiej 15. Nad Rawę przyjechał, aby na deskach tujejszego „Teatru Polskiego” gościnnie wyreżyserować „Wielkiego Fryderyka” Adolfa Nowaczyńskiego i zagrać w tej sztuce tytułową rolę.

Czaplowie oklaskiwali ulubieńca w towarzystwie najbliższych przyjaciół miłośników Melpomeny – Bogusia Parczewskiego, wieloletniego prezesa Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, oraz Staszka Kobylińskiego, który jakiś czas potem został wiceprezesem zarządu Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach.

## Grobowiec, którego nie ma

O niezłomności wzajemnej sympatii i braterstwa „aż po grób”, świadczy fakt, że tak jak sobie poprzysegli, wszyscy trzej zostali pochowani w sąsiadujących ze sobą kwadrach – na katowickim cmentarzu przy ulicy Gliwickiej 32. Kazimierz zmarł w 1930r. Bogusław w 1935 r., a Stanisław w 1937 r.

Pogrzeb doktora Parczewskiego odbył się w poniedziałek, 9 września 1935 roku.

Prochy trzech przyjaciół spoczęły obok stylowej cmentarnej kaplicy. Do dziś przetrwały tylko grobowce mecenasa Czapli i senatora Kobylińskiego.

Grób doktora Parczewskiego został zlikwidowany.

Przez kilka dziesięcioleci spoczywały w nim doczesne szczątki jednego z najwspanialszych filantropów i humanistów polskich Katowic, z zawodu i powołania lekarza, który aż do śmierci – 4 września 1935 r. – prowadził gabinet chorób kobiecych przy ulicy Teatralnej.

Przyjacieli odwiedzający miejsce wiecznego spoczynku Bogusława odnotowali:

„nad jego grobem nieraz spotyka się osoby zagrożone w gorącej modlitwie za jego duszę lub składające kwiaty nad mogiłą tego, który za życia był ich lekarzem-przyjacielem!”

Tak szanowano jego pamięć jeszcze w okresie międzywojennym i w pierwszych dziesięcioleciach po zakończeniu drugiej wojny światowej. „Obowiązki swoje wypełniał wszędzie bardzo skrupulatnie i wzorowo. I mimo że ze Śląska nie pochodził, gorąco ukochał lud śląski” – w 1947 roku napisał o Parczewskim red. Stanisław Walis na łamach „Gazety lekarskiej”.

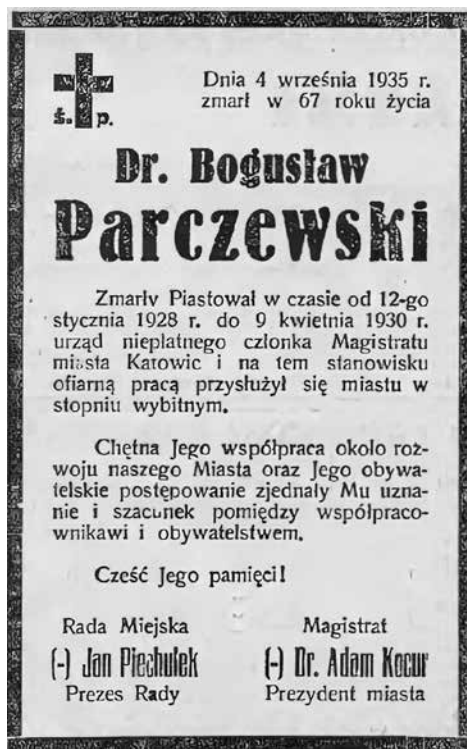
Zawsze solidaryzował się ze Ślązakami, oczekującymi odrodzenia niepodległej Polski. Nie założył rodziny, aby bez reszty poświęcić się potrzebującym; z własnej kieszeni wspierał liczne instytucje i organizacje, ludzi słabych, chorych lub pozostających w niedostatku.

Tymczasem... niepomni swej przeszłości katowiczanie zapomnieli o tak niezwykłej postaci.

Na cmentarzu nie ma grobu dra Bogusława Parczewskiego, wybitnego humanisty, patriotę i społecznika. Nie ma nawet skrawka ziemi czy muru z tabliczką przywołującą wspomnienie jego osoby.

Nad nekropolią przy Gliwickiej 32 zawisła przekorna ewokacja Wisławy Szymborskiej:

„Umarłych wieczność dotąd trwa,  
dokąd pamięcią im się płaci”.



Nekrolog dr. Parczewskiego, Magistrat w Katowicach, Polonia nr 3917 z 8 września 1935



# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## Czas zadumy i humanistycznej refleksji

W wielu kulturach typu ludowego powiada się, że najbardziej bolesny jest pierwszy i ostatni oddech człowieka. Czyli ten, kiedy wkraczamy w życie i ten, kiedy odchodzimy; żegnamy się z życiem. A w górnośląskiej tradycji – tej dawnej wiejskiej, jak i plebejsko-miejskiej – jeszcze w latach międzywojnia funkcjonowało znamienne pojmowanie samego procesu oddychania. Nie fizjologiczne, ale metaforycznie, zgodne z religią i panującą „ludową ontologią”. Komentując wypowiedzi ludzi tej ziemi najlepiej odwołać się do obiegowego niegdyś sposobu myślenia. Mówiono zatem, że najgorsi są ci „kerzy nie dychają powietrzem ino złością”. Wyjaśniano, że religia uczy „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Tak mówiono nawet w realiach banalnej codzienności. Natomiast ci, którzy czynią Zło, to odmieńcy naruszający panujące normy etyczne. To oni krzywdzą, obgadują innych. W efekcie nie kochają ani Ponbocka, ani ludzi, ani samych siebie. Dlaczego? Bo Diabeł w nich siedzi. Mimo takiego rygorystycznego Zła jednak istniało. Każdy je widział i go doświadczał. Ale już czas Wielkiego Postu kategorycznie nakazywał likwidację wszelkiego Zła. Wskazywał na konieczność, wręcz nakazywał, nieomal wszechobecność Dobra. Czynienia Dobra. Dlaczego? Bo ów okres – owe symboliczne czterdzieści dni; dni kiedy Jezus głodował – to czas oczekiwania na Jego zmartwychwstanie. Na Jego zwycięstwo nad śmiercią i całkowite poświęcenie się Człowiekowi. Zawsze ów czas rozpoczyna się w Środę Popielcową, a kończy w Wielki Czwartek. W „ostatki” można jeszcze szaleć, bawić się, pić alkohol. Jednak nawet i tego dnia pod koniec zabawy – przed północą – trzeba „grzebać basa”. Instrument symbolizujący w tradycji polskiej i regionalnej górnośląskiej ludyczność. W tym roku Wielki Post to okres od 17 lutego do 1 kwietnia. A dnia następnego w Środę Popielcową – funkcjonującą w tradycji chrześcijańskiej

od 1091 roku, od decyzji papieża Urbana II – głowy wiernych posypywane są w kościołach popiołem. Tak będzie i teraz. Popiół symbolizuje to, co materialne. A zatem to, co zawsze bezpowrotnie przemija. Czy dziś zagonieni za dobrami materialnymi mamy świadomość mimowolnego oddalania się od tego, co oferuje kultura, sztuka, literatura, malarstwo, czy muzyka. Od wspomnianej środy obowiązują nie tylko post w sferze konsumpcji. W efekcie w naszej regionalnej tradycji jeszcze w latach międzywojnia mówiono:

*Wstępna środa na ogrodzie  
Wszyscy warzą żur  
Dobre łostow już w komodzie  
A na droga węz ten wór.*

Swoisty wór pokutny, obowiązek rozmyślań nad życiem, nad krótkim czasem ziemskiego bytowania. Obowiązywały więc odziedziczone po antenatach, nadal atrakcyjne i kultywowane różne formy wstrzemięźliwości. Nade wszystko zakaz obecności w życiu nawet najmniejszych form zabawy. A w sferze praktyk religijnych funkcjonują różne formy aktywności kościelnej. To nade wszystko tradycyjne „drogi krzyżowe”, „gorzkie żale” oraz specjalne rekolekcje. Ale zwróćmy jednak uwagę nad zadumą obowiązującą w czasie Wielkiego Postu. Zadumą nad życiem, zwłaszcza własnym. Pojawiał się swoisty rachunek sumienia, swoiste ważenie dobrych i złych uczynków. Trudno oprzeć się pokusie, aby nie przytoczyć typowego dla owego czasu tradycyjnego sposobu jego pojmowania. Przed kilkunastu laty urodzony w 1908 roku mężczyzna, z typowej górniczej rodziny z Katowic powiedział, że dawniej, nie tylko za „stary Polski”, ale jeszcze – jak to określił – „za Gomułki”, nawet i później „Wielki Post to był Post. Myśla, że wtedy wszystko było po porządku poukładane. Przez to każdy wiedział, co mo robić (...). Najważniejsze było

jużas to, że ludzie myśleli o tym, czy żyjom podług tego, jak majom żyć. Znaczący po Bożymu. Jak to wiara nasza nakazuje (...). To wiem teraz, w tamte lata to się o tym nie myślało, tak się żyło”. I dodajmy, że dalej tłumaczył, że wedle lokalnej tradycji, a także – jak można wnosić według zasad humanitaryzmu, systemu wartości – ludzie wiedzieli, czym jest Dobra i czym jest Zło. Tego uczył właśnie czas Wielkiego Postu. To zarazem w pewnym sensie swoisty przyczynek do ludowej refleksji o „banalności zła”. Wnikliwa zaś analiza starych tekstów etnograficznych o roku liturgicznym nasuwa wiele refleksji. Podobnie analiza dawnych pieśni i opowieści ludowych. Przecież one ujawniają dawny sposób myślenia, postawę wobec świata i ludzi. To wszystko uprawnia w efekcie do wniosku o istnieniu w te dni Wielkiego Postu swoistego czasu niezwykłego. Po prostu czasu pogłębionej – jak podaje przywołany górnik – ludzkiej refleksji, czasu myślenia o potrzebie czynienia Dobra. O konieczności likwidacji Zła. A kiedy owa lektura jest uzupełniona własnymi antropologicznymi badaniami felietonisty, zaduma nad duchowością przodków staje się pretekstem do wielu pytań, ale i wniosków. Zarówno o dawnych czasach, ale i terażniejszości; o zwodniczych urokach, jak i demonach globalizacji. Także o panującej nadal pandemii. A ona drastycznie ukazuje nasze ułomności. Ułomności w kontaktach z osobami przypadkowo spotkanymi, ze znajomymi, ale też z członkami rodziny. Czy tegoroczny Wielki Post coś zmieni? Czy nawet wszyscy wierni pamiętają o tym, że właśnie niedługo zaczyna się czas znaczący dla rodziny? Oto 19 marca przypada piąta rocznica ogłoszenia adhortacji apostołskiej *Amoris laetitia*. I tego też dnia papież Franciszek ogłosił, że zaczyna się „Rok Rodziny”. Może warto zacząć od rodziny i usuwać to, co złe?

## Z miłości do koni

JAROSŁAW KAPSA

W ekskluzywnym magazynie „Jeździec i myśliwy” /nr 20 R. XII, z 30 października (12 listopada) 1902 r./, przeznaczonym dla utytułowanego ziemiańskiego odbiorcy, zaprezentowano, bliski Częstochowie, nadwarciański Skrzydłów.

„Widocznie potężna jest siła atrakcyjna rodzinnej ziemi, skoro nawet poeci pędzła i tonów, których sława jest międzynarodowa, czują się do niej pociągnięci i zespalają się z nią bliskimi węzłami. Tak osiadł na roli, niedawno zmarły Henryk Siemiradzki, Józef Brandt, Ignacy Paderewski, tak też osiedlili się na rodzinnej ziemi bracia Jan i Edward Reszkowie. Od artystów nie można wymagać, aby się zamieniali w rolników w ścisłym tego słowa znaczeniu, żeby gospodarstwo i eksploatację rolną stawiali na pierwszym planie; wymagają oni od wsi przede wszystkim spokoju, ciszy, swobody i tego uroku, jaki daje bliższe zetknięcie się z przyrodą, odczuwaną przez nich tak głęboko i subtelnie. Jan Reszke w majątku Skrzydłowie, nabytym przed kilku laty od p. Z. Siemińskiej, przebywa coraz dłużej i coraz więcej przywiązuje się do tego ładnego wiejskiego ustronia, a jednak można było obawiać się, że nasz niepospolity artysta, ożeniwszy się z uroczą hrabiną de Goulaïne, mógł być pociągnięty ku Francji, ku Paryżowi, ognisku jego artystycznej działalności. Skrzydłów położony jest o 5 wiorst od stacy kolei żelaznej Kłomnice, a dom mieszkalny i ogród, znajdują się nad samą Wartą. Widoki dookoła są otwarte, a pola lekko falujące. Na każdym kroku znać estetyczną pracę nowego właściciela; stary, wysoki dwór o ładnym ganku z kolumnami, został zupełnie przeobrażony i nabrał wyglądu świeżego, wiejskiego pałacyku. Nie daleko od dworu, postawiono domek, przeznaczony dla gości, w oryginalnym stylu wiejskich amerykańskich siedzib, wewnętrzne zaś jego urządzenia nie pozostawia nic do życzenia. Park, otaczający dom, został znacznie powiększony i setki nowych drzew zostało zasadzonych ręką nowego właściciela. Szosa, wybudowana kosztem p. J. Reszkego, łączy obecnie stację kolei żelaznej z jego posiadłością, a połączenia telefoniczne zaprowadzone zostały ze stacją kolei żelaznej, z przyległym Borownem p. A. Michalskiego, oraz innymi majątkami p. J. Reszkego, albowiem oprócz Skrzydłowa, słynny artysta nabył w ostatnich latach: Zdrowę, Cborzeniце, Kłobukowice i część Rzerzczyć, czyli ogólna rozległość ziemi, posiadanej przez p. J. Reszkego, wynosi obecnie 225 włók. A że do Skrzydłowa przylega majątek jego brata Edwarda, Garnek, i już wyżej wzmiankowane Borowno, więc obszar ziemi, będący w posiadaniu pp. Reszków i p. A. Michalskiego, jest bardzo znaczny i aby przejechać ten długi szmat ziemi, trzeba przebyć dwadzieścia parę wiorst. Centralna administracja majątku spoczywa w ręku p. A. Michalskiego, albowiem p. J. Reszke zbyt jest jeszcze absorbowany swemi ar-

tystycznymi zajęciami, aby się mógł zająć wyłączanie zarządem tak rozległych dóbr. Dziś p. J. Reszke używa wsi przede wszystkim, jak „artysta” tj. odczuwa jej niewysławiony powab, upiększa swoją małowiczną rezydencję i zajmuje się z upodobaniem chowem swych szlachejnych źrebiąt pełnej krwi. A hodowla koni pełnej krwi jest też sztuką w swoim rodzaju i to sztuką bardzo pociągającą, gdy ją się bliżej pozna i dokładnie zbada. Stado (...) przeprowadzone zostało do Skrzydłowa i właściwie powinnyby już zmienić nazwę na „Skrzydłowski”, w Borownie pozostała tylko stajnia wyścigowa i zakład trenerski. Aby pomieścić swe stado p. J. Reszke wznosił odpowiednie budynki, a mianowicie bardzo obszerną stajnię, podzieloną na siedem oddziałów i przeznaczoną dla klaczy stadnych i źrebiąt; (s. 1)”

Pamięć o rodzeństwie Reszke zakwitła na nowo pod Częstochową dzięki śp. Krzysztofowi Pośpiechowi i organizatorom Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. Od 2008 r. Filharmonia Częstochowska organizuje konkurs wokalistyczny imienia Reszków; dzięki współpracy z gminą Mstów i Kłomnice, koncerty prezentowane są w miejscach z tą rodziną związanych. Zaczyna to inicjatywa, zważywszy, że sława nieutrwalona bywa przelotna. Nie zostały zapisane popisy wokalne Reszków, z pozostałych stron gazet czytamy tylko recenzje i opisy wybuchów entuzjizmu u wielbicieli opery. Byli bowiem Reszkowie megagwiazdami, dorównującymi sławą Ignacemu Paderewskiemu i Helenie Modrzejewskiej.

Nie była to, bynajmniej, kariera „kopcuszków”. Ojciec śpiewaków, właściciel Hotelu Saskiego i kilku kamienic w Warszawie, Jan Reszke, sam miał artystyczne ambicje. Otworzył salon muzyczny goszczący takie sławy jak Henryk Wieniawski i Stanisław Moniuszko; wspólnie z żoną – Emilią – amatorsko koncertował przy okazji kwest dobroczynnych. Stać go było na przelanie ambicji na dzieci, łożył na solidne ich muzyczne wykształcenie. Utalentowana była cała piątka młodych Reszków: Emilia (1848–1926), Jan Mieczysław (1850–1925), Edward (1853–1917), Józefina (1855–1891), Wiktor (1859–1916); z tego grona trójka – Józefina, Jan i Edward – podbiła świat. Józefina, po studiach wokalistycznych w Petersburgu i Paryżu, debiutowała w 1872 r. w Wenecji, trzy lata później stając się gwiazdą Opery Paryskiej. Krytycy europejscy zachwycaли się czystością sopranu, publiczność fetowała jej wykonania, a Wielka Opera płaciła rekordową gażę 100 000 franków rocznie. Sława otwarła jej drzwi do występów w mediolańskiej La Scali, londyńskim Covent Garden, madryckiej operze. Jej sukces pociągnął w górę starszych braci. Jan, wykształcony we Włoszech tenor, u boku siostry występował w Wenecji, dzięki jej uporowi obsadzono go w 1884 r. w roli Jana Chrzyciela w „Herodiadzie” Messeneta. Od tego

momentu jego kariera wystrzeżiła; główne role w paryskiej Grand Opera, potem w londyńskiej Covent Gardner, a od 1891 – dziesięciolecie sukcesów w nowojorskiej Metropolitan Operze. Równoległe toczyła się kariera Edwarda, operowego basy: debiut w Paryżu, sława po „Herodiadzie”, „podbój” Londynu i Nowego Jorku. Wraz ze sławą przyszły duże pieniądze, z których – podobnie jak Paderewski – łożyli na różnorodne, polskie, szlachejne cele. Józefina, zaproszona do występu w Warszawie nie tylko zrezygnowała z gaży, ale jej równowartość (10 tys. rubli) ofiarowała na odbudowę Teatru Wielkiego. Jan i Edward fundowali stypendia dla biednych, zdolnych artystów. Byli ambasadami „polskiej sprawy”, nie raz ich występy w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku kończyły, przepłataną z owacją, okrzyki: niech żyje Polska!

Po tryumfie „Herodiady” z występów scenicznych zrezygnowała Józefina, taki warunek – podobno – postawił jej mąż Leopold Julian Kronenberg, syn założyciela Banku Handlowego, prezes tego banku oraz kolei obsługujących Kongresówkę. Polska straciła wielką artystkę, Kronenberg wynagrodził tą stratę fundując w Warszawie Filharmonię. Od Kronenbergów też zaczęła się migracja Reszków pod Częstochowę. Wzorując się na ojcu Leopold Julian chciał rozszerzyć imperium gospodarce budując na podczęstochowskim Blesznie fabrykę włókienniczą. Fabryka powstała, interes był jednak deficytowy, odsprzedano ją żyrodowskim fabrykantom, a ci francuskiej spółce. Pomijając rachunki ekonomiczne, wybór Częstochowy nie był całkowicie przypadkowy. Najstarsza z rodzeństwa Reszków, Emilia, wyszła za mąż za mieszkającego w Warszawie ziemianina Adama Michalskiego. Emilię pociągało życie dworskowe, swój posąg włożyła w odrestaurowanie meżowskiego majątku w Borownie. Od 1885 r. tutejszy dworek stał się centrum spotkań rodziny. W ślad za Emilią Józefina kupiła sąsiadujący mająteczek Janaszów, a następnie dwór z folwarkiem w Kłomnicach. Sielski spokój zwiabił wzbogacone mieszczańki.

Dla mieszczan awansujących do rangi arystokratów wabikiem były konie. W Anglii, Francji, Rosji, wszędzie zawody hipiczne stawały się reduktą tradycyjnej ziemiańskości. Przypadek zrzucił, że centrum hipiki w Kongresówce stały się obszary na rubieży dzisiejszego województwa śląskiego i łódzkiego. Represje powstaniowe spowodowały zakaz wyścigów w Warszawie. W 1879 r. zezwolenie na organizację zawodów uzyskał Marian Gruszecki, właściciel Pławna. Odbłyły się one 30 sierpnia na specjalnie przygotowanym torze nad rzeczką. Organizator zaprosił 200 gości, prócz nich zawody oglądało ponad 1000 miejscowych osób. Dżokejami byli młodzi ziemianie, indywidualny popis woltyżerki przedstawił Niemcewicz z Oleszna. Sukces wyścigów przyniósł powstanie Pławnińskiego Towarzystwa Wyścigów Konnych, kierowa-

nych przez Augusta Ostrowskiego z Radoszewnicy. Przez kolejnych 12 lat w stałych terminach 29–30 sierpnia organizowano wyścigi, w którym pula nagród przekraczała 1500 rb. W wyścigu głównym uczestniczyć mogły tylko konie pochodzące z hodowli polskiej. Obszerne relacje zamieszczała prasa warszawska; Pławno i okolice stały się celem przyjazdu ziemiańskiej śmietanki. „Kurier warszawski” lekko drwiąc, opisywał samozaparcie sportsmenów. Z Warszawy do Radomska podróżowali koleją; ostatnie dwie mile – fiakrem lub furmanką. Pławno nie imponowało wielkością ani usługami; jeśli ktoś miał mydło, mógł tu kupić wodę i odświeżyć się po podróży, jedzenie też wypadało przywieźć ze sobą, najbliższej restauracji w Radomsku daleko było do warszawskiego sznytu. Przyjezdnych gościły okoliczne dwory, a zwłaszcza pałac Ostrowskich w Maluszynie i Lubomirskich w Kruszynie.

Tradycji nie przerwał bankructwo i utrata majątku przez Gruszeckiego. Wyścigi wróciły do Warszawy na Pola Mokotowskie. Pławno przyszło w ręce Lubomirskich, którzy nie mniej gorliwie kultywowali tradycje hodowli rumaków. Owocem była budowa profesjonalnego ośrodka hodowli koni wyścigowych przez braci Lubomirskich Stefana (z Kruszyny), Stanisława (prezesa Banku Przemysłowego) i Władysława (przedsiębiorcę). Wybudowane w 1897 r.

w Widzowie nowoczesne stadnie umożliwiły wprowadzenie i rozwój hodowli, opartej na wyselekcjonowanych okazach rozrodowych. Konie Lubomirskich znane były nie tylko z tryumfów na Polach Mokotowskich, wygrywały także w derby w Moskwie, Wiedniu, Budapeszcie. Publikowano roczniki zawierające informacje hodowlane, wydano także podręcznik dla hodowców.

Obaj Reszkowie – Jan i Edward – dzielili z rodową arystokracją miłość do rumaków. Jan dzierżył boksy na paryskim torze wyścigowym, Edward na angielskim. Podpatrując Lubomirskich zdecydowali o tworzeniu własnej hodowli koni rasy angielskiej. Zwycięstwa nie pozwalało im osobiście zajmować się rozwojem ziemskiego latyfundium. Powierzyli więc swoje oszczędności i zarząd nad nabytym majątkiem szwagrowi: Adamowi Michalskiemu z Borowna. Edward po ślubie z Heleną Szutz w 1885 r. zakupił dwór w Bartkowicach pod Kłomnicami. Kilka lat później dokupił majątek w Garnku, tam sprowadzony z Francji architekt wystawił mu dwór w modnym stylu angielskiego pawilonu. W 1895 r. Jan kupił dobra nad Wartą – Skrzydlów i Kłobukowice, za kwotę 200 tys. rubli od Zofii Siemińskiej z Żytna. Tu także w krótkim czasie wprowadzono angielską sztukę. W Skrzy-

dlowie obok klasycystycznego dworku, w parku powstała drewniana willa dla gości. W Kłobukowicach pałac przebudowano na wzór eklektycznych podlondyńskich rezydencji. Stadninę zarodową najpierw prowadzono w Borownie, pod okiem Michalskiego. Na początku XX w. wybudowano nowoczesne stadnie w Skrzydlowie i tam przeniesiono hodowlę. Lubomirscy sprawdzali swoje konie na torze pławnowskim, Reszkowie zainwestowali w tor w Skrzydlowie, słynący z dobrze obsadzonego Skrzydłowie Trippe.

Kariera artystyczna nie pozwoliła braciom cieszyć się rozwojem podczęstochowskich majątków. Mogli tu bywać jedynie kilka razy w roku, starając się podtrzymać tradycję rodzinnych zjazdów. W Garnku na stałe osiadła żona Edwarda – Helena; żona Jana markiza Henrietta de Gaulaine, także słynna śpiewaczka, wolała Paryż, gdzie także mieli swój pałacyk. Wybuch I wojny światowej rozdzielił braci. Jan został w Paryżu, aktywnie



Józefina, Jan i Edward Reszke, fot. arch.

działal w Stowarzyszeniu Pomocy Żołnierzom Polskim; jego jedyny syn – Jan – zginął na froncie ochotniczo walcząc w francuskim mundurze. Po wojnie słynny tenor nie wrócił do Polski, ostatnie lata życia spędził na Łazurowym Wybrzeżu. Edward Reszke lata wojny spędził w dworze w Garnku, dołączył do niego najmłodszy z braci, Wiktor. Przez włości Reszków trzykrotnie przetoczyła się linia frontu, niszcząc gospodarstwo i domy mieszkańców. W gminie Wancerzów, gdzie znajdowały się majątki Reszków, na 18 wsi zniszczonych było 6; we wsi Cegielnia spalono 62% zabudowań, w Rajsku 62%, w Waclawowie 83%, w Zawadzie 55%. Dwory oszczędzono, stacjonowały w nich dowództwa wojsk, ale folwarki ogołocono z wszystkich zapasów, żywego inwen-

tarza, z narzędzi i cenniejszych surowców. Bieda wojenna i brak robotników utrudniała odbudowę. Dwór w Garnku stał się schronieniem najmłodszego z braci Reszków – Wiktora, który przybył tu, wraz z rodziną z Warszawy, schorowany, zmarł w 1916 r. Śmierć brata pograżyła Edwarda w depresji, zmarł rok później. Wielkiego śpiewaka pochowano na wiejskim cmentarzu w Borownie, w grobie rodziny Michalskich.

Po wojnie stadninę koni w Skrzydlowie odbudowała córka Edwarda Emilia wraz ze swoim mężem Aleksandrem Danilczukiem. Hodowano konie półkrwi na potrzeby wojska. W latach 30. państwo Danilczukowie przenieśli się do Warszawy, majątek skrzydłowski podzielono między młodsze siostry Emilii: Helenę Grabowską i Janinę Nieniewską. Po II wojnie światowej, na mocy decyzji z 15 lutego 1945 r. majątek upaństwowiono. Stadninę skrzydłowską i widzewską (Lubomirskich) upaństwowiono, tworząc Państwową Stadninę Koni Skrzydlów. Michalskim po I wojnie nie udało się uratować rentowności gospodarstwa. W 1930 r. ich spadkobierca i zięć, K. Skarbek, zmuszony był ogłosić bankructwo. Dwór Michalskich, będący w latach 90. w stanie bliskim ruiny, trafił w ręce prywatne, odbudowano go z pietyzmem. Dwór i majątek w Garnku, należący przed wojną do Heleny Reszkówny i jej męża

Włodzimierza Grabowskiego został upaństwowiony w marcu 1945 r. Właściciele dostali godzinę na spakowanie dobytku i opuszczenie domu; zakazano im mieszkać bliżej niż 100 km od zabranego majątku. W 1947 pożar doszczętnie zniszczył dwór; przypomina o nim jedynie gładziak postawiony ku czci sławnego właściciela. Na nowego gospodarza od lat czeka pałacyk w Kłobukowicach. Skrzydlów trafił w ręce rodziny Laseckich, miejmy nadzieję, że odzyska swój blask, tak jak zyskały należące do tej rodziny zamki Mirów i Bobolice i dwór w Żurawiu. Koni, niestety, już w Skrzydlowie nie ma.

Lokalna pamięć o rodzinie Reszków odżywała stopniowo. Zaczęło się od inicjatyw lokalnego Stowarzyszenia Rodzin Katolickich w Garnku: ufundowano gładzi-pomnik, oznaczono tablicami informacyjnymi miejsca z Reszkami związanymi, wydano książkę autorstwa Krzysztofa Wójcika „Śladami Reszków”. W porozumieniu ze Stowarzyszeniem Przyjaciół „Gaude Mater” utrwalona została tradycja „reszkowskich” koncertów w kościele w Garnku. W 2017 r. cała gmina Kłomnice obchodziła rocznicę 100-lecia śmierci Edwarda Reszke. Sekundować trzeba ich wysiłkom, bo to ważne dla nich, dla nas, dla wszystkich, by pamiętać o rodzinie śpiewaków, którzy świat mieli u swoich stóp, a z miłości do koni wybrali za swoją „małą Ojczyznę” pofalowane obszary nadwarciańskie.

# Tajna wojna Niemców z Polską

BOGUMIŁ GROTT

Wśród reklamowanych w ostatnich tygodniach książek można dostrzec jedną napisaną przez Leszka Pietrzaka. Na czarnej okładce widnieje postać Adolfa Hitlera, a obok niego stoją Helmut Kohl, Reinhardt Gehlen, wysoko postawiony nazistowski spec od spraw wywiadu, a także Angela Merkel. Ten dziwny zestaw osób pochyla się nad mapą Polski, jakby śledził, co dzieje się w naszym kraju. Niżej dostrzegamy tytuł książki *Tajna wojna Niemców z Polską*.

Leszek Pietrzak jest absolwentem Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, historykiem i analitykiem. Pracował jako funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa oraz w Instytucie Pamięci Narodowej. Był również współautorem raportów BBN dla prezydenta Lecha Kaczyńskiego oraz działał jako członek Komisji Weryfikacyjnej WSi. Jak widać, nie zamykał się w wąskich ramach tej, czy innej instytucji naukowej, co wzbogacało jego spojrzenie na współcześnie dziejące się procesy, które nie należą do gatunku szeroko upublicznianych i dokładnie znanych. Bez wątpienia patrzył na poruszane przez siebie sprawy ze znacznie szerszej perspektywy, co pozwala sądzić, iż podawane przez niego dane dotyczące międzynarodowych gier, są rzetelne i sprawdzone.

Leszek Pietrzak stoi na stanowisku, iż „dziś Niemcy nie prowadzą wojny przy pomocy czołgów, Luftwaffe i Wehrmachtu. Równie skuteczna okazuje się polityka, gospodarka i propaganda”. Autor przedstawia bardzo ważne fakty, które świadczą o tym, że pokój między Polską a Niemcami to tylko pozory. Uważa, iż „nadal toczy się wojna, którą Niemcy wypowiedzieli nam w 1939 roku”. Oczywiście przedstawiane przez niego wydarzenia nie są zupełnie nieznanymi w Polsce. Wiele pojedynczych faktów dociera do opinii publicznej, niemniej jednak są to ułamki, które dopiero trzeba sprowadzić do wspólnego mianownika i wyciągnąć z nich wnioski, odczytując ich właściwe znaczenie. Umieszczone na okładce książki podobizny osób publicznych, przynależne do różnych pokoleń i pełniące bardzo różne funkcje w życiu Niemiec, mają symbolizować ową ciągłość zainteresowania naszym krajem ze strony zachodniego sąsiada.

W jedenastu rozdziałach autor rozwija swoją narrację, zarysowując istot-

ne punkty tytułowego procesu. Wskazuje na znaczenie pojawiających się od lat licznych przekłamań propagandy niemieckiej. Wyjaśnia skąd pojawiły się takie terminy, jak: „hitlerowcy” czy „naziści”, w miejsce oczywistych oznaczeń, które powinny przecież brzmieć: „Niemcy”, co w latach powojennych, a nawet i później dla wszystkich Polaków było oczywistością. Wskazuje na znaczenie dla tej kwestii pojawienia się komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, w której interesie leżało odgrócenie jej w świadomości ludzkiej od zbrodni wojennych popełnianych także w imię jej narodu. Zbrodnie zaczęto więc nazywać hitlerowskimi czy nazistowskimi, a nie niemieckimi. Wskazuje na znaczenie takich sformułowań, jak np. „polskie obozy koncentracyjne” czy „polskie getta”, które to określenia, dla świadomych sensu wydarzeń historycznych na ziemiach polskich dotyczących drugiej wojny światowej, oznaczają tylko miejsce ich występowania, a nie sprawców. Ale iluż ludzi w Europie i na świecie dysponuje dokładną wiedzą o tym, co dokładnie działo się w Polsce w latach okupacji niemieckiej zwłaszcza, że warunki w okupowanych krajach zachodniej Europy były znacznie mniej dotkliwe? Hasła tego typu, jak wyżej przytoczone, zerują na nieświadomości mas i mają za zadanie wpajać im pewien odruch warunkowy, mający obrzydzać Polskę i Polaków i powodować odbieranie ich jako sprawców zbrodni lub co najmniej współodpowiedzialnych za ich popełnianie. Przyjmowanie za dobrą monetę takich zbitek pojęciowych pozostawia ślad w umysłach ludzkich i to taki, który jest korzystny dla Niemiec, bo szkalujący Polskę. Te same ośrodki na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej celebrować więc „wiedzę” o „polskim udziale w zagładzie Żydów” i „polskim antysemityzmie”, wykorzystując ludzką niewiedzę w zakresie faktów historycznych oraz polskiej kultury i cech mentalnych społeczeństwa polskiego, tak różnych od właściwości Niemców. Oczywiście w tej narracji nie ma miejsca na uczciwą refleksję nad samymi Niemcami, które już od głębi XIX wieku zaczęły przejawiać bardzo istotne rysy i specyficzne cechy w swojej kulturze duchowej. Obok postaci o wielkich zasługach dla kultury i nauki, mamy tam

poszerzający się z czasem prąd podważania zasad chrześcijaństwa. Pojawiają się więc pomysły jakiejś odrębnej „religii narodowej” (zob. Paul de Lagarde, *Nationale Religion, 1878* – praca wznawiana wiele razy po roku 1945), a w dalszej konsekwencji koncepcja „germanizacji chrześcijaństwa”, co oznaczało nie co innego, jak pozostawianie fasady przy jednoczesnym rugowaniu wartości etycznych. Takie słowa jak „Germanisierung des Christentums” spotyka się w tytułach i tekstach wielu prac już od schyłku XIX wieku. Nieco później pojawiają się tzw. ruchy neopogańskie, zrywające całkowicie z chrześcijaństwem, co oznaczało dalszą ewolucję w sferze etyki społecznej.

Niemale znaczenie na tym polu miała twórczość kompozytora Ryszarda Wagnera, który w swoich utworach upowszechniał wizję pogańskich Germanów i przypisywanego im surowego i barbarzyńskiego etosu. Nie można się więc dziwić, że pod koniec lat międzywojennych pojawia się pogląd o „wychodzeniu Niemiec z Europy”. O tym byli przekonani przedstawiciele polskiej inteligencji przedwojennej, jak też i powojennej. O tym świadczą także publikowane już w końcu lat czterdziestych teksty takich polskich uczonych, jak Bogdana Suchockiego i Leona Halbana. Zostały one razem wznowione w postaci jednej książki w roku 2018 pod tytułem *Przedhitlerowskie korzenie nazizmu, czyli dusza niemiecka w świetle filozofii i religioznawstwa*.

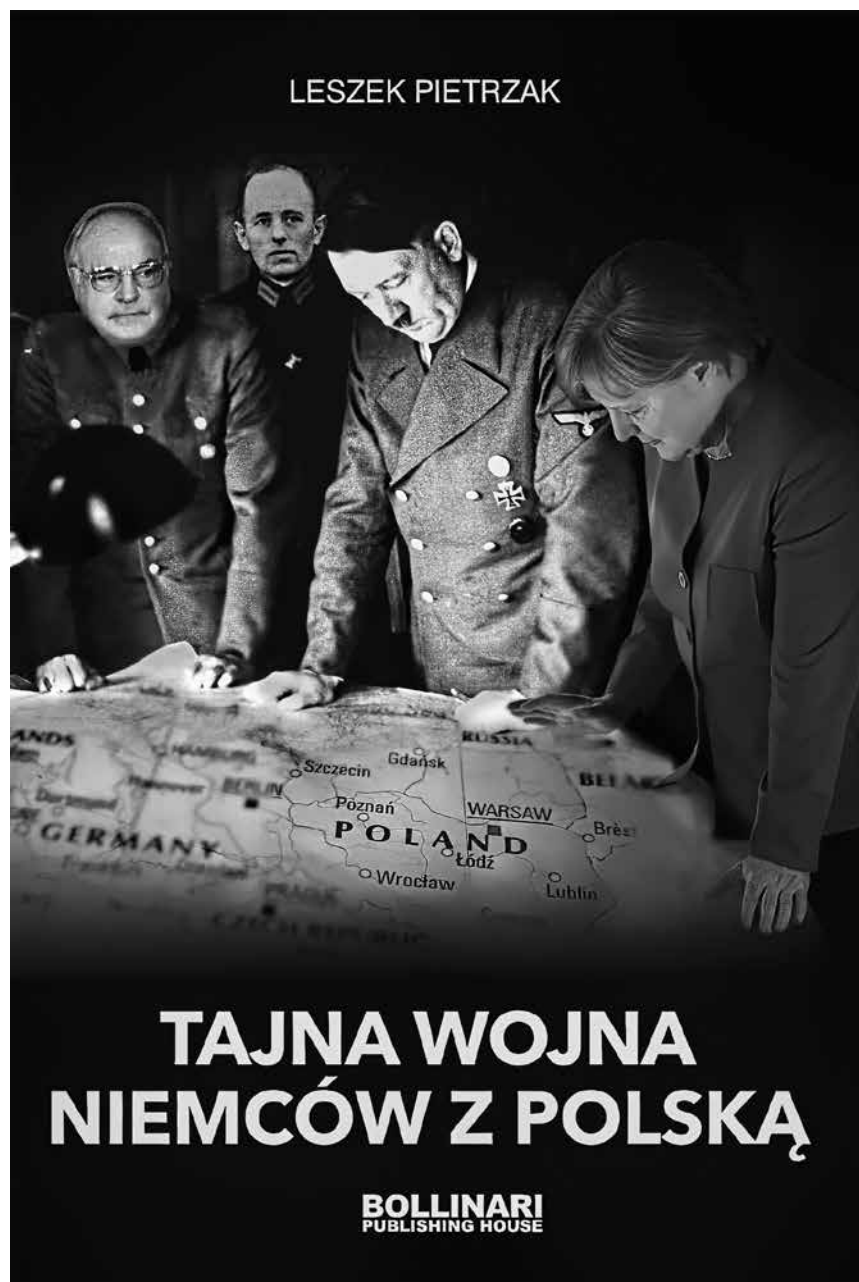
Przedstawiane tam informacje oczywiście są niezgodne z obecnym interesem Niemiec. Dlatego też propaganda tego kraju robi wiele, aby tak zmontować sieć ludzkich skojarzeń w świecie zachodnim, żeby duchowy wizerunek Niemiec odpowiednio wybielić i widmo swojej prawdziwej przeszłości odpowiednio zniekształcić. Starają się wytworzyć dystans pomiędzy własnym narodem, a tym wszystkim, co wywołuje stanowczy sprzeciw w świecie cywilizowanym. Dlatego też w swojej propagandzie starają się siebie kreować jako również uciemżonych przez jakichś „nazistów” i „hitlerowców”, jako ofiary wojennych bombardowań np. Drezna, czy wysiedleń z terenów naszych Ziemi Zachodnich, Czech oraz innych obszarów w Europie środkowo-wschodniej. Temu mają służyć takie inicjatywy jak owo Cen-



trum Przeciwno Wypędzeniom, reklamowane przez Erykę Steinbach oraz działalność tzw. ziomkostw. W tym wszystkim brak jest jednak zasadniczego elementu, jakim jest kwestia kolejności wydarzeń (np. dlaczego bombardowano) i wymowy kierowniczych idei po stronie niemieckiej, które zaowocowały zbrodniami, za które przecież trzeba by było zapłacić!

Leszek Pietrzak opisuje rolę i znaczenie „Organizacji Gehlena” w konstruowaniu planu swoistego fałszowania historii. Jego wynikiem miał być poprawiony wizerunek Niemiec obliczony na wymierne korzyści polityczne i handlowe. Stwierdza on jednoznacznie, „niemieckie państwo wydało Polsce tajną wojnę. Celem strategicznym tej wojny miało być przynajmniej częściowe przetrzymanie odpowiedzialności na Polskę za niemieckie zbrodnie na Żydach oraz zminimalizowanie zbrodni popełnionych na Polakach”. Do realizacji powyższego zadania miało się przyczynić ujawnione w 2006 roku przekazanie niemieckim prokuratorom tysięcy oryginalnych dokumentów, stanowiących dowody zbrodniczej działalności Niemców w Polsce w latach drugiej wojny światowej. O zasięgu i skuteczności takiej polityki wizerunkowej świadczą różne, wręcz niesłychane wiadomości, które można spotkać również i w prasie amerykańskiej. Jako przykład Pietrzak przytacza zamieszczoną w tamtejszej prasie opowieść jednej z żyjących w tym kraju osób, która miała opowiadać o swojej bytności w „polskim obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie”. Termin „polskie obozy” pojawia się od czasu do czasu w wielu niemieckich mediach. Autor omawianej tu książki zaobserwował powyższą praktykę w takich gazetach, jak: „Der Spiegel”, „Bild”, „Der Tagesspiegel”, „Stern”, „Focus”, „Die Welt”, „Westdeutsche Zeitung”, „Junge Welt”, „Thurgauer Zeitung”, „Die Zeit” i „Saarlandischer Rundschau”. To samo można powiedzieć o niemieckich agencjach informacyjnych. Autor wymienia także znacznie więcej przykładów tego typu propagandy praktykowanej na różnych innych płaszczyznach życia.

Temu wątkowi towarzyszy powielana teza o udziale Polaków w zagładzie Żydów łączona z sugestią, iż wiąże się on z polskim antysemityzmem. Tu także widać wielkie przekłamanie wykorzystujące nieznaną przez większość Europejczyków oraz Amerykanów polskich realiów kulturowych i polskiej historii. Każdy kto w sposób uczciwy i profesjonalny zagłębi się w historię ideologii polskich ugrupowań uznawanych dzisiaj na lewicy za skrajne musi zauważyć, iż „polski



antysemityzm” po pierwsze nie miał podłoża rasistowskiego. Rasizm w tych środowiskach bywał nawet nazywany „Blufem XX wieku” i odrzucany jako teoria materialistyczna sprzeczna z duchem spirytualizmu chrześcijańskiego. Istniejące rozmaite sprzeczności interesów pomiędzy Polakami i Żydami były wynikiem procentowo bardzo dużego udziału tych ostatnich w Komunistycznej Partii Polski oraz kwestii ekonomicznych na czele z bezrobociem. Byli i tacy członkowie ONR-u, którzy dostali się do obozu koncentracyjnego z powodu wstawiania się za Żydami wobec Niemców, a jeden z założycieli tej organizacji, Jan Mosdorf, jako więzień KL Auschwitz został zadencjonowany za pomoc Żydom i skazany na śmierć (zob. J. Ptakowski, *Oświęcim bez cenzury i bez legend*, Nowy Jork 1985). Zaś innego z liderów tego środowiska politycznego Edwarda Kemnitta oraz

jego ojca Instytut Jad Waszem odznaczył w roku 1983 orderem i tytułem „Sprawiedliwego wśród narodów świata”. Kemnitz w czasie okupacji działał także Radzie Pomocy Żydom „Żegota”. Po polskiej stronie obowiązywał inny system wartości, a istniejące sprzeczności plasowały się na zupełnie innej płaszczyźnie, niż to miało miejsce w Niemczech. Oczywiście i u nas, jak i w łonie innych narodów, istniał pewien margines społeczny, który zazwyczaj nie kieruje się żadnymi innymi wartościami, jak tylko własna, indywidualna korzyść materialna. Natomiast w Niemczech autorami skrajnej ideologii nacjonalistycznej byli ludzie elit. Również i zbrodnie planowali i dokonywali nie przedstawiciele marginesu społecznego, ale szanowani przez ziomków ludzie elit. Tak więc żadna polska ideologia nie może też być porównywana z niemieckimi ideologiami nacjonalistycznymi,

które oddziaływały na ten naród poczynając od schyłku XIX wieku, nie mówiąc już nawet o narodowym socjalizmie, który nie był czymś zupełnie nowym, ale stanowił tylko kolejny etap w dziejach swojego narodu. W Polsce tak tę sprawę stawał Leon Halban w publikacji *Mistyczne podstawy narodowego socjalizmu*.

Na glebie ludzkiej nieświadomości, ale także i złej woli zmierzającej do zatarcia śladów niesławnej przeszłości, żerują twórcy takich dokonań jak np. film „Nasze matki, nasi ojcowie” czy promotorzy projektów, jak „Centrum Przeciwko Wypędzeniom”. Niemcy chcą przerzucić swoje winy na inne narody!

Z punktu widzenia przeciętnego zachodniego odbiorcy prasy, radia czy telewizji, sprawy takie bynajmniej nie są oczywiste. Są wręcz nieznaną. Trudno nawet jest się temu dziwić, skoro nawet w Polsce spora część społeczeństwa, także i taka, która posiada wyższe wykształcenie, pozostaje nadal pod wpływem sposobów myślenia lansowanych w czasach PRL-u oraz nadal uprawianych przez różne obecnie istniejące środowiska. One również deformowały wiele stron rzeczywistości historycznej ze względu na potrzeby własnej wizji świata. Nasz dorobek naukowy także nie jest odpowiednio do potrzeb promowany za granicą, czego skutki są – jak to widać choćby z przytaczanych tu zaszłości – nienajlepsze. Tak więc zbieg tych wielu okoliczności jest stanowczo niekorzystny. Z takiego stanu rzeczy korzysta propaganda niemiecka, której przez wiele lat nie dawała żadnego oporu komunistyczna władza w Polsce. Nie interesowała się czymś takim, jak opinie o Polsce i Polakach, nie uprawiały należytej polityki historycznej.

Poza takimi uwarunkowaniami Leszek Pietrzak dopatruje się również istotnej przyczyny takiego stanu rzeczy w fakcie kolaborowania przez inne narody z III Rzeszą podczas drugiej wojny światowej. Podkreśla, że Polska stanowiła na tej płaszczyźnie pewien wyjątek. Nie było u nas kolaborującego rządu, a fakt ten, jak ocenia jest niemile widziany w innych krajach, które znalazły się także pod okupacją niemiecką i właśnie takie rządy posiadały.

Odmierna sytuacja w powojennej Polsce i powojennych Niemczech może wydawać się niektórym zagadką. Zwycięzcy dysponują bowiem potężną infrastrukturą gospodarczą i ponieśli bardzo niewielką odpowiedzialność za popełnione zbrodnie i inne niedozwolone czyny jak np. kradzież mienia innych narodów. Natomiast Polska, która formalnie znalazła się wśród zwycięzców, daleka

była – i w dalszym ciągu taką jest – od osiągnięcia pożądanej prosperity. Natrafia na różne przeszkody ze strony Niemiec pozostając nadal bez należnych jej odszkodowań. Także i ten problem porusza książka Leszka Pietrzaka. Autor wskazuje na różne przyczyny takiej sytuacji.

Bez wątplenia wraz z ustaleniem się stanu „zimnej wojny”, kiedy to Niemcy zachodnie odzyskując status państwa stały się krajem „frontowym” z „obozem socjalistycznym” nabrały równocześnie nowego znaczenia. Spowodowało to opory w stosunku do przeprowadzenia dogłębnej denazyfikacji. Tysiące byłych funkcjonariuszy III Rzeszy zostało zużytkowanych do umacniania nowej państwowości, jaką stała się w roku 1949 Republika Federalna Niemiec. Odbudowano przemysł i całą gospodarkę. Reaktywowano armię, która w planach Zachodu powinna stać się zapora przeciwko sowieckiej ekspansji. Równocześnie Niemcy zdołali się uchylić przez zwrotem pokazanej części zagrabionych dóbr, które stanowiły poważny wkład w rozruch powojennej infrastruktury tego państwa. Jak pisze Pietrzak „to nie powojenny Plan Marshalla, którego Niemcy w przeciwieństwie do Polski były beneficjentem, ale powrót wytransferowanego w czasie wojny kapitału otworzył drzwi do potęgi gospodarczej współczesnych Niemiec”.

Również istotną rolę w ukształtowaniu sytuacji Niemiec po wojnie odegrał Związek Sowiecki. Stalin przekreślił widoki na reanimację narodu Łużyckiego, który znalazł się po wojnie w pozycji społeczności zamieszkującej teren rozciągający się wzdłuż granicy Polski. Decyzja ta właściwie położyła kres jego istnieniu, ponieważ Łużyce zostały z czasem zalane niemieckimi przesiedleńcami z terenu polskich Ziem Zachodnich, a mieszkańcy Niemiec Zachodnich stali się „budowniczymi socjalizmu” i jako tacy nie mogli już być w całości identyfikowani z nazizmem. Polska nie otrzymała należnych jej odszkodowań, a pozbawiona dobrodziejstw Planu Marshalla oraz dużej części swoich elit wymordowanych przez Niemców, Związek Sowiecki i krajowe organy bezpieczeństwa lub pozostałych po wojnie na emigracji wkroczyła w okres dekonunktury. Także polityka kulturalna i wzmagająca się z czasem propaganda nowej władzy oraz system wychowawczy niedbający o wychowanie społeczeństwa w duchu dbałości o własny interes narodowy, dopełniły niekorzystny obraz sytuacji. Wiele spraw zostało zaniedbanych, a skutki takiego rozwoju sytuacji na wielu polach są do dzisiaj widoczne.

Leszek Pietrzak jeden z rozdziałów swojej książki zatytułował *Przygotowania do odbicia Ziem Zachodnich*. Jest tam oczywiście mowa o antypolskiej propagandowej działalności współczesnego państwa niemieckiego, które dąży do opanowania pewnych gałęzi polskiej gospodarki, a także i ziemi ornej szczególnie na zachodzie kraju.

Osobnym polem destrukcyjnej działalności Niemców w Polsce jest popieranie tendencji separatystycznych np. Ruchu Autonomii Śląska. Z książki Pietrzaka czytelnik dowie się również o zapatrywaniach samych Niemców na podpisywane z Polską układy graniczne. Dobrze ilustruje je fakt, iż po podpisaniu 17 czerwca 1991 r. z Polską traktatu Niemcy nie dokonały korekty swojej konstytucji, ani przepisów prawa. Autor zamyka V rozdział książki taką oto konkluzją: „Jedno nie ulega dzisiaj żadnej wątpliwości, że Niemcy od ponad siedemdziesięciu lat podejmują starania, aby Polskie Ziemie Zachodnie były z powrotem niemieckimi ziemiami wschodnimi. Zmieniają się tylko formy i drogi tych starań, ale ich główny cel dalej pozostaje niezmienny”.

Bardzo istotny i ciekawy jest ostatni rozdział książki: *Tajna wojna Niemców z Polską* zatytułowany: *Kontrofensywa potrzebna od zaraz*. Autor wytyka „polską bierność” i „obawy przed «narażaniem się»” i „zadrażnianiem stosunków”. Nie są to bynajmniej nowe zarzuty. Już ponad sto lat temu Roman Dmowski, odnosząc się do kwestii polskiego charakteru narodowego, pisał to samo. Jest to bardzo ważny moment, gdyż poza zachowaniem organów państwowych, w których gestii leży dawanie oporu różnym przejawom polityki czynników nieprzyjaznych ważne jest także zachowanie poszczególnych obywateli, którzy na co dzień w zgiełku dnia powszedniego powinni piętnować i w miarę swoich indywidualnych możliwości eliminować różne objawy antypolonizmu, niezależnie od tego w czym by się one objawiały.

Książka Leszka Pietrzaka, badacza naukowego oraz człowieka, który z racji pełnionych innych funkcji uzyskiwał wgląd w wiele istotnych dla naszego państwa spraw, jest ciekawa i skłania czytelnika do wielu przemyśleń. Dlatego pisząc jej krótkie omówienie i sygnalizując jedynie najważniejsze z poruszanych w niej spraw zachęcam do jej uważnego przeczytania i to nie tylko politologów, czy historyków ale także i innych którzy chcą zrozumieć mechanizmy otaczającej nas rzeczywistości, bo jak się okazuje wojna, chociaż w innej formie, toczy się nadal!

# Edwarda Rose'go agitacja plebiscytowa

ALOJZY CZECH

W miesiącach po Konferencji Paryskiej, a przed plebiscytem lat 1920/1921, Górny Śląsk zalalała fala materiału agitacyjnego w najróżniejszych postaciach: odezw, plakatów, broszur, tytułów prasowych, tak z niemieckiej, jak z polskiej strony. Pośród broszur znaleźć można stosunkowo duże opracowanie autorstwa dwudziestoparoletniego wtedy Edwarda Rosego pod niezbyt chwytliwym tytułem *Jakie są powody dla których Górnoszlązacy powinni głosować za Polską?* (K. Miarka, Mikołów 1920). W treści tej edycji zawarta była argumentacja ekonomiczna, co niezbyt często się w takim dość szerokim wymiarze w materiałach propagandowych pojawiała. Warto może – korzystając ze sprzyjającego czasu rocznicowego – tak autora, jak zawarty tam wywód, pokrótce przypomnieć.

## Pochodzenie, wykształcenie, pierwsze prace

Edward Rose (1893–1969) urodził się w Warszawie. Ojciec Karol był przedsiębiorcą, który zdecydował się przenieść swoje interesy do Poznania, a wkrótce też do Berlina, gdzie po Wielkiej Wojnie został pierwszym konsulem odrodzonej Rzeczypospolitej. Tym samym Edward, podobnie jak młodszy brat Adam, znaleźli się w kręgu spraw i stosunków gospodarczych widzianych z niemieckiej perspektywy. Wpierw jednak ukończyli cesarskie gimnazjum w Poznaniu. Studia odbyli na uniwersytetach niemieckich, głównie w Berlinie. Edward uzyskał stopień doktora ekonomii w 1918 roku na Uniwersytecie Berlińskim za pracę poświęconą gospodarce Królestwa Polskiego. Była to w latach wojny aktualna w Niemczech kwestia tzw. rynków wschodnich, którą w wydanej po wojnie polskiej wersji rozprawy krytycznie naświetlił. Uprawiał również publicystykę ekonomiczną w „Dzienniku Berlińskim”, pisał także do gazet poznańskich.

Po studiach na krótko wrócił do Poznania, jeszcze w ostatnim roku wojny ożenił się z Izabelą ze znanej w Gnieźnie rodziny Karpińskich. Wraz m.in. ze szwagrem Zygmuntem Karpińskim (1892–1981), pracownikiem Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, od 1924 roku jednym z dyrektorów Banku Polskiego, a od 1946 – Narodowego Banku Polskiego, był współautorem zbiorowej publikacji *W przededniu nowych zadań* (Poznań 1918), w której poruszone

zostały najważniejsze problemy gospodarcze stojące przed tworzącą się Polską. Rozdział Rosego dotyczył *Dróg zbliżenia gospodarczego Królestwa Kongresowego i Galicji*. Krótko współpracował z Nacelną Radą Ludową, z rekomendacji której objął kierownictwo poznańskiej placówki stołecznego Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Ten splot doświadczeń przyczynił się do wysłania go na Konferencję Paryską w charakterze siły pomocniczej Polskiej Delegacji Ekonomicznej. Rose trafił do sekretariatu przewodniczącego Delegacji Andrzeja Wierzbickiego i to spotkanie przesądziło o jego dalszych losach w całym okresie międzywojennym. O tym jednak za chwilę.

Po blisko półrocznym pobycie nastąpił powrót do Warszawy w struktury MPIH. Rose objął stanowisko kierownika referatu celnego Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Równoległe był autorem obszernego sprawozdania z pracy Delegacji Ekonomicznej, opublikowanego jako załącznik w złożonych przez Władysława Grabskiego (1874–1938) przed Sejmem *Wyjaśnieniach dotyczących ratyfikacji Traktatu Pokojowego z Niemcami i umowy Wielkich Mocarstw z Polską* (Warszawa 1919, manuskrypt). Wiedza wtedy zdobyta okazała się jednym z impulsów napisania plebiscytowej broszury.

## W wirze walki o Śląsk

Medialna kampania przybrała na intensywność, gdy zapadła decyzja o plebiscycie. Głos w niej zabierali również ekonomiści, spośród których mikołowska broszura Rosego była jedną z pierwszych. Liczyła 48 stron, sfinansowana została przez warszawski Komitet Zjednoczenia Górnego Śląska z Rzeczypospolitą Polską i miała trafić do nie do końca rozeznanego w stosunkach gospodarczych głosującego adresata. Nie wiadomo ilu ich mogło być. Uświadomienie jednak było sensowne i konieczne. W początkach 1920 roku wciąż dominowała agitacja niemiecka, chętnie w argumentacji gospodarczej przestrzegająca przed konsekwencjami oderwania Śląska od Rzeszy. Podnoszono dwa aspekty sprowadzające się do tezy, iż Górnoszlązacy, którzy zgłoszą na Polskę, podetną sobie własny byt materialny. Dlaczego tak się stanie? Gdyż państwo polskie nie będzie zdolne do samodzielnego życia, więc czeka go nieuchronny upadek finansowy i ekonomiczny, zaś przemysł Górnego Śląska



Edward Rose.

w razie przyłączenia do Polski popadnie w nieuchronny zastój i regres. Rose jako jeden z pierwszych przeciwstawiał się tym przepowiedniom.

Układ broszury był dwuczęściowy. W pierwszej przedstawiał sytuację gospodarczą w powojennych Niemczech i Polsce, wykazując, iż wcale nie było dla przyszłości głosującego Górnoszlązaka tak niekorzystnie, jak uporczywie głosiła propaganda niemiecka. Następnie nakreślił wizję przemysłu Górnego Śląska po jego przyłączeniu do Polski, wcale dobrą, która dodatkowo miała zachęcać jedynie do racjonalnego wyboru. Warto prześledzić w skrótowym ujęciu tę propozycję oraz osadzić ją w kontekście innych podobnych opracowań.

Powojenne położenie gospodarcze wszystkich krajów Europy było trudne, nie tylko odradzającej się Polski. Sytuację gospodarczą Niemiec zaś pogarszały ciężary narzucone traktatem wersalskim. Niemiecka agitacja tego ludności śląskiej nie mówiła, a miało to przecież istotny wpływ na czekającą ten kraj przyszłość gospodarczą. Wyglądało na to, że Niemcy będą przez długi czas najbardziej zadłużonym krajem, licząc na głowę mieszkańca. Konsekwencją będzie nieuchronny wzrost podatków, które obejmą także mieszkańców Śląska, gdy ten pozostanie w Rzeszy. Nie należy więc wierzyć niemieckiej agitacji.

W szczególności Rose zwracał uwagę na § 245 traktatu, który głosił, iż tereny odłączone od Niemiec, czy to na mocy decyzji politycznej, jak ziemie zaborcze, czy w wyniku plebiscytu, jak na Górnym Śląsku, zostaną wyłączone ze spłaty długu wojennego i odszkodowań. Uświadamiał, iż był to nadzwyczajnej wagi przywilej, który reprezentanci państw Ententy utrzymali mimo nacisków, by odłączone obszary również poniosły proporcjonalną część niemieckich kosztów wojennych. Był to istotny argument, choć polityka kontrybucyjna w nadchodzących latach i tak po swojemu ewoluowała, determi-

nowana wymogami plebiscytowej chwili. Przywoływanie argument mógł mieć znaczenie w kalkulacjach nie do końca zdecydowanego wotanta.

W dalszym ciągu Rose przeciwstawiał się malkontenckiej opinii, która na próżno wymownie § 245, nadal uznawałaby, iż długi państwa polskiego będą większe, a przez to bardziej dokuczliwe dla Górnoszlązaka niż te, które mimo narzuconych obciążeń, dotkną obywatela państwa niemieckiego. Supozycje takie uważał za zupełnie fałszywe i oparte na stereotypie panującego myślenia. Wprawdzie nie do końca była znana wysokość długu państwa polskiego, gdyż uzależniona ona była od wielu jeszcze nierozstrzygniętych czynników, ale w porównaniu z innymi państwami Polska znajdzie się w położeniu stosunkowo korzystnym. I tak – dowodził – dzielnica byłego zaboru pruskiego przejdzie do Polski na bardzo korzystnych warunkach. Warunki finansowe, w oparciu o które Polska przejmie ziemie zaboru austriackiego, były na ogół podobne. Już podpisany, ale jeszcze nie ratyfikowany traktat z St. Germain zawierał, iż uczestnictwo Polski w długi austriackim nie będzie wyższe niż 12%, a z długu wojennego Polska zostaje zwolniona. Galicja i Śląsk Cieszyński skarbu państwa nie obciążą. Nie do końca klarownie wyglądała sytuacja z Królestwem Kongresowym, gdyż tu żadne ustalenia nie zapadły. Zapisy traktatu wersalskiego przewidywały wprawdzie uczestnictwo w długi wojennym Rosji, ale – zdaniem Rosego – powinny one dotyczyć tylko pierwszych lat prowadzenia wojny. Nadto rozrachunek ten najlepiej będzie ustalić bez żadnych pośredników, z chwilą ustania działań wojennych prowadzonych nadal na ziemiach rosyjskiego Imperium.

Reasumując tę część, Rose stwierdzał, iż dług po zaborcach wynikły z rozliczeń, będzie niewielki. Do tego dojdzie dług własny zaciągany od chwili wskrzeszenia państwowości polskiej. Ma on charakter długoterminowy i w aktualnej chwili nie stanowił znaczącego obciążenia. Jak na 30 mln naród było to niewiele. Obywatel Górnego Śląska, który odda głos za Polską, oszczędzi dla siebie i swojej rodziny stosunkowo dużą sumę w swym kapitale. Do tego dojdzie perspektywa niższych podatków. Z przeprowadzonej zaś analizy porównawczej stanu waluty – marki niemieckiej i polskiej – perspektywy także wyglądały nienajgorzej.

W drugiej części broszury Rose podjął zagadnienie przyszłości przemysłu górnoszląskiego w razie przyłączenia tej ziemi do Polski. Postępował według schematu, który później stał się obowiązujący. Obecność przemysłu Górnego Śląska w Niemczech to tłumienie jego potencjału rozwojowego. Tak to widzieli mędzlerowie śląskiego przemysłu, którzy

analizowali jego położenie pod kątem warunków wewnętrznie-miejskich. Dawali temu wyraz w memoriałach opracowywanych w latach wojny, czy to pod szyldem Górnoszląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych, czy opolskiej Izby Handlowej i składanych na ręce kanclerza Bethmanna-Hollwega. Domagano się w nich przyłączenia tzw. nowego Śląska, czyli powiatów przyległych, wskazując na wzmocnienie surowcowe, głównie rudą żelaza, górnoszląskiego przemysłu. Ważne także było zaopatrzenie w drewno niezbędne w ówczesnej technologii wydobycia węgla oraz artykuły spożywcze dla skupisk robotniczych. Nawiązując do tych wywodów,

Rose wykazywał sprytnie argumentami przeciwnika, dlaczego Górny Śląsk potrzebuje Polski bardziej niż Niemiec. W końcowym fragmencie poszerzał wizję znaczenia powstałego państwa polskiego dla śląskiej dzielnicy. Ten właśnie aspekt agitacyjnej edycji Rosego został przejęty i rozwinięty przez Andrzeja Wierzbickiego w słynnej mowie sejmowej z 28 stycznia 1921 roku, wydanej potem jako *Prawda o Górnym Śląsku* (Warszawa 1921). Broszura ukazała się także w języku niemieckim, angielskim, francuskim i włoskim. Stanowiła oficjalny głos Polski kierowany do dyplomatów i polityków związanych głównie z Radą Czterech i decydujących o kształcie powojennej Europy

Warto przypomnieć, iż z upływem czasu pojawiły się podobne opracowania. Były to: pisana w październiku 1920 roku Wacława Fabierkiewicza *Walka o Górny Śląsk* (Warszawa 1920), wydana rok później w wersji francuskiej oraz Jana Kucharzewskiego *Zagadnienie Górnego Śląska* (Warszawa 1921), będące z kolei tłumaczeniem wydanego rok wcześniej w Lozannie tekstu w języku francuskim. Opracowania publikował warszawski „*Ekonomista*” (1920, t. IV; 1921, t. II), a Towarzystwo Ekonomistów i Statystyków Polskich w dniu 21 lutego 1921 roku zorganizowało w pałacu Staszica uroczystą sesję naukową o Górnym Śląsku, w której udział wzięli prof. Antoni Kostanecki z Uniwersytetu Warszawskiego jako świetnie prowadzący moderator oraz prelegenci geograf Wyższej Szkoły Handlowej prof. Antoni Sujkowski mówiący o *Znaczeniu*

DR. EDWARD ROSE

## Jakie są powody gospodarcze dla których Górnoszlązak głosować powinien za Polską?



1920

CZCIONKAMI K. MIARKI W MIKOŁOWIE

*gospodarczym Górnego Śląska* i właśnie Andrzej Wierzbicki, prezentujący nowe wątki w swym *Zagadnieniu górnoszląskim*, bynajmniej nie powtarzając treści wystąpienia sejmowego. A. Sujkowski (1867–1941), przed wojną dyrektor szkoły handlowej w Będzinie, był także autorem broszury *Co Śląsk zyska na przyłączeniu do Polski* (Częstochowa 1919), wydanej rok później w języku niemieckim. Jej treść w dużym stopniu pokrywała się z omówioną powyżej pierwszą częścią publikacji Rosego. Warto podkreślić, iż owi autorzy – reprezentanci niemal wszystkich orientacji i stronnictw politycznych – w sprawie Górnego Śląska mówili jednym głosem. Ten sam zamiar przyświecał bojowcowi PPS, późniejszemu ideologowi polityki etatystycznej, Fabierkiewiczowi, dwukrotnemu premierowi z nadania Rady Regencyjnej, Kucharzewskiemu, zwolennikowi sanacji Sujkowskiemu czy liberałowi Wierzbickiemu, orędownikowi wielkiego kapitału.. W tej sytuacji Edward Rose pożegnał na wiele lat problematykę śląską, skoro przejął ją jego mentor. Nie przypuszczał wtedy zapewne, że przyjdzie mu przeżyć ostatnią część swego życia w tymże regionie, o którego przejęcie w 1920 roku zabiegał.

### W wielkoprzemysłowym środowisku Polski międzywojennej

W połowie 1920 roku Rose odszedł z pracy ministerialnej i objął funkcję redaktora naczelnego dopiero co powstałego czasopisma „*Przegląd Gospodarczy*”. Był to organ Centralnego Związku Polskiego

Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan”, którego duszą sprawczą i prezesem był właśnie Andrzej Wierzbicki (1877–1961), zarazem lider Związku Narodowo-Demokratycznego i poseł na Sejm Ustawodawczy. Organ reprezentował ideologię kół wielkoprzemysłowych i głosił liberalizm w sferze ekonomii. Rose poprzez liczne artykuły, często wyrażające stanowisko redakcji, stał się publicystyczną twarzą tej znaczącej formacji. Jan Kofman charakteryzując publikacje Rosego pisał: „kresłone eleganckim, wyważonym językiem, swego rodzaju małe, zwarte eseje, swobodnie poruszały się w problematyce gospodarczej krajowej i europejskiej. Rzadko sięgał po ulubioną broń publicystów, jaką jest ironia; jeśli jednak już się do niej odwoływał, czynił to w sposób wysoce skuteczny. Na formie i treści jego artykułów ważył – uzmysławiany sobie przezeń – fakt, że w opinii publicznej i w zainteresowanych kołach odczytywane były jako wyraz stanowiska Lewiatana. Dlatego też publikacje Rosego cechowały powściągliwość i rozważa; niektóre z nich były niemal majstersztykami sztuki publicystycznego – niekiedy i dyplomatycznego – niepozwalającymi na jednoznaczną kwalifikację opinii ich autora”. Przeszedł bowiem równoległe dobrą szkołę dziennikarstwa.

Utrzymywał nawiązaną jeszcze w latach berlińskich współpracę z poznańskim „Kurierem Polskim”. Związał się z redakcją „Rzeczpospolitej”, gdzie objął dział ekonomiczny. Praktykował pracę redakcyjną pod okiem Stanisława Strońskiego (1882–1955), a jego teksty sasiały do tak znanych ludzi pióra jak Adolf Nowaczyński (1876–1944) czy Adam Grzymała-Siedlecki (1876–1967), także profesorami: ekonomisty Edwarda Taylora (1884–1964), literaturoznawcy Ignacego Chrzanowskiego (1866–1940), psychologa Władysława Witwickiego (1878–1948). Dział literacki „Rzeczpospolitej” prowadził Kornel Makuszyński (1884–1953), wojskowy – gen. Józef Dowbór-Muśnicki (1867–1937), satyryczny – Kazimierz Sichulski (1879–1942) i muzyczny – Stanisław Niewiadomski (1859–1936). Z chwilą nabycia „Rzeczpospolitej” przez Wojciecha Korfanteo, Rose – podobnie jak większość składu redakcyjnego – nie kontynuował współpracy.

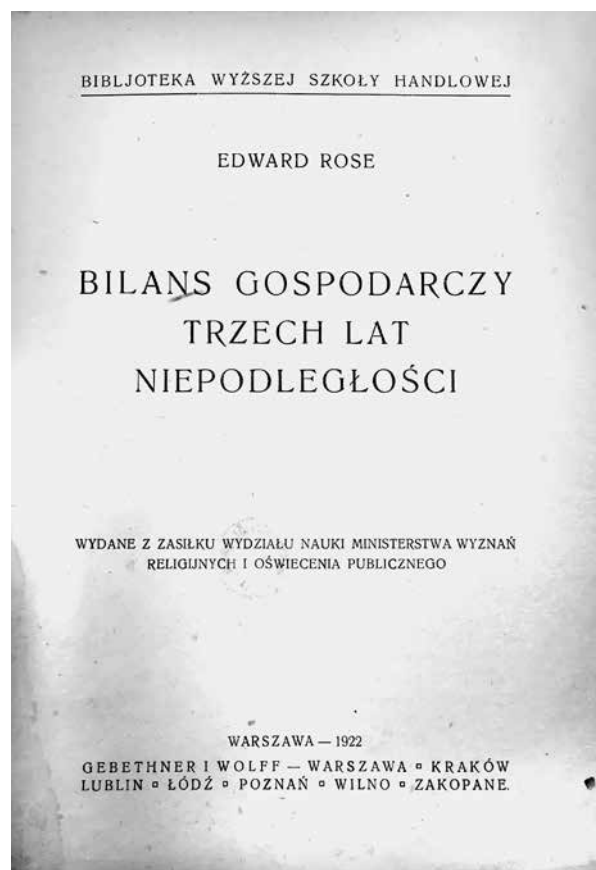
Obserwacja i komentowanie życia gospodarczego znalazło także swój pogłębiany wyraz. Przez niemal cały okres międzywojenny był wykładowcą warszawskiej Wyższej Szkoły Handlowej/Szkoły Głównej Handlowej. W II Katedrze Ekonomii prowadził wykład z bieżących zagadnień gospodarczych. Na podstawie rozprawy *Bilans gospodarczy trzech lat niepodległości* (Warszawa 1922) został w 1925 roku docentem. Nieobca Rosemu była też praktyka menedżer-

ska. Od 1925 roku był prokurentem, dyrektorem i członkiem zarządu Warszawskiego Towarzystwa Kopalń i Zakładów Hutniczych S.A., które posiadało w Zagłębiu kopalnie „Kazimierz” i „Juliusz”, także elektrownie. Prowadził sprawy handlowe i finansowe spółki, łącząc swe obowiązki przez większość tego okresu z pracą redaktorską.

Podczas okupacji zachował stanowisko likwidatora Towarzystwa na terenie Generalnej Guberni. Ale również działał w konspiracyjnej rejestracji szkół wojennych, a od 1942 roku do wybuchu powstania wykładał politykę gospodarczą i ekonomię na tajnej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Wszystkie te doświadczenia przydały się Rosemu w nowej rzeczywistości ustrojowej, jakkolwiek ideologicznie postrzegany był na antypodach pochodzeniowych i poglądowych nowej rzeczywistości.

#### Po wojnie, w Katowicach

Już marcu 1945 roku, poszukując miejsca dla siebie, znalazł się w Centralnym Zarządzie Przemysłu Węglowego. Jak wspominał szwagier „mimo przywiązania do Warszawy, osiadł z rodziną w obcych mu Katowicach”. Pewnie nawet nie pomyślał o swym zaangażowaniu w akcję plebiscytową sprzed ćwierćwiecza. Teraz mogły jedynie przydać się bogate doświadczenia z lat pracy w przemyśle węglowym. Ale szybko przesuwany był w stronę stanowisk mniej operacyjnych. W 1947 roku został urzędującym zastępcą przewodniczącego Rady Techniczno-Gospodarczej przy CZPW. Rada ta, której zadaniem było przygotowanie koncepcji rozwojowych górnictwa, zlikwidowana została w 1949 roku. Rose został dyrektorem administracyjnym krzepnącego instytucjonalnie Głównego Instytutu Górnictwa. Tak jak w Warszawie, podobnie w Katowicach aktywność zawodową uzupełniał działalnością akademicką. W latach 1945–1950 wykładał „politykę gospodarczą” na Wydziale Organizacji Przemysłowej Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych, poprzednika dzisiejszego Uniwersytetu Ekonomicznego. Został nawet w roku 1948/1949 prorektorem. Od 1945 roku przewodniczył Komisji Ekonomicznej reaktywowanego Instytutu Śląskiego. W czerwcu 1948 roku współtworzył Oddział Polskiego



Towarzystwa Ekonomicznego w Katowicach i był jego pierwszym prezesem.

W jesieni 1950 roku nie otrzymał zgody na kontynuację wykładów. Był to czas ograniczania dostępu młodzieży do starej kadry nauczającej. Jako ciekawostkę ilustrującą różne stosowanie restrykcji można podać fakt, iż gdy tylko o zakazie dla Rosego dowiedziały się władze Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie, natychmiast zaprosiły go do kierowania zespołem ekonomiki i organizacji przemysłu. Jednak po dwóch latach także ta kooperacja została uniemożliwiona. W GIG-u natomiast Rose przeszedł do pracy naukowej, zostając wspólnie z doc. Wiktorem Strzeszewskim (1888–1973) specjalistą w zakresie ekonomiki i organizacji wydobywcia. Dopiero w 1957 roku powrócił do akademickiego nauczania, otrzymując w 1958 roku nominację na profesora nadzwyczajnego w Katedrze Ekonomii Politycznej katowickiej WSE. W ostatnich dwóch latach przed przejściem w stan emerytalny było to jego jedyne zajęcie. Niemniej po spensjonowaniu w 1964 roku nadal prowadził wykłady, pisał, recenzował, tłumaczył. W maju 1968 roku podczas XII Ogólnopolskiej Konferencji Ekonomiki Przedsiębiorstw w Wiśle przygotowana była sesja dla uczczenia 75-rocznicy urodzin jubilata. Uroczystość nie doszła do skutku. Została odwołana wraz z całą konferencją wiślańską z racji potencjalnego zgromadzenia zbyt dużej liczby osób. Zmarł w Katowicach rok później. Wnuczką Rosego była znana dziennikarka, działaczka i senator Krystyna Bochenek (1953–2010).

**Krzeseł**

Są ich rodzaje rozmaite.

Cenię sobie jednak najwyżej drewniane – to z wygodnym oparciem,

Choć nie da się odbyć nim lotu (tak jak dywanem).

Książę Husejn i Salomon zrobiliby z niego użytek na pewno.

Było ulubionym miejscem Czarodzieja przy Bilbowym kominku.

I Józef miał takie w swoim warsztacie.

Podobno raz Dzieciątko wbiło sobie drzazgę w palec – nic złego się wtedy nie stało.

Dziś gdy krzesło da się rozbujać – wspomina to spotkanie z początkiem i końcem.

**Arcydzieł**

Bierze się pióro, pędzel, dłuto

Lecz można bez tego

Wyrabiać ciasto, doglądać pszczoł

Splecionymi z bratnią duszą dłońmi

W czterech ścianach, tworzyć spektakle teatru cieni

Przyszłości, ażeby była czymś na miarę arcydzieła

Życia

**Dom**

Najlepszy jest taki, co wyrósł z Ziemi.

Gdzie w środku chodzi się po śladach korzeni

– dotykając ścian rozpalonych przez jądro.

A na strychu ma otwarte okno

– z widokiem na nieboskłon.

**Pamiętka**

Po krużgankach chodzili tam święci –

– skronie ich świeciły światłem prawdziwym.

Nic się na chwilę nie liczyło – poza tym.

I niczego ponadto to – nie było trzeba.

Bo wyżej się nie da.

**Los**

Północ.

W małym pokoju, przy drewnianym stole

Siedzi czarnowłosa dziewczyna

Wpatrzona w płomień świecy

Tak samo wyrazisty jak u jego zarania

Strużki wosku spływają na pulpit

A przez uchylone okno – wpada wiatr

– ostatnie światło gaśnie –

Co ujrzą uśmiechnięte oczy?

Przecież nie było foremki ani szablonu

Rano wszystko się okaże.



rys. Majja Ostrowska

### Bajka o książce

W burzy orzechów, żołądzi,  
Jabłek, żurawin i fig –  
– leży tam pośrodku.  
Przy dzbanie miodu i harfie –  
– zielona cała.  
Ale gdzie jest?  
W dolinie dwóch jezior.  
Albo w stumilowym lesie.

### Wieczór

Noe znów nas dziś uratował  
Na stole leżą winogrona  
Obok stoi świeży sok, z gruszek  
A wonności palą się w środku  
Tonące słońce – chwytą jeszcze  
Okna zamkniętej Arki  
A cisza świętuje  
Bo też ocalała

### Ucieczka

Pozwól mi jeszcze o tym z Tobą porozmawiać.  
Ja w to nie wierzę. Ty wcale nie uciekłeś  
z braku miłości. Dzieliłeś czułość z każdym  
jak kromki chleba. Miałeś odwagę wierzyć  
patrzeć ponad nicość. I wielbić życie.  
Porozmawiajmy jeszcze o tym.  
Proszę Cię. Bo chcę to pamiętać.  
Już zawsze...

### Ktoś to przemyślał

*Szymonowi Białikowi*

Ktoś to przemyślał

Poszedłeś do Niego.  
Chociaż nie ma Go już tutaj.  
A to przecież Dobra Nowina!

Ktoś to przemyślał

Od teraz całe życie będziesz świętował.  
Z nosem w książkach.  
I z chlebem na ołtarzu.

Ktoś to przemyślał ...

fot. Maria Korusiewicz



### Wy

*Rodzinie*

To Wy

Tobie co mieszkasz teraz z Nadzieją  
Pamiętaj zawsze jest mała na Początku

Ale nie ma nic lepszego niż trzymać Ją mocno w garści  
dokładnie tak jak Ty

Dzisiaj

Tobie który grasz tak oszczędnie i ładnie  
Jak ten Anglik z Wallsend

Bez Ciebie moje uszy  
moje uszy byłyby już całkiem

Z drewna

Tobie tak bardzo wrażliwej  
Co wszystko do serca tulisz

Dziękuję Ci  
Za Twoją

Czułość

To Wy

To dla Was  
To o Was

Bo gdyby nie Wy

Bo bez Was

Już dawno przestałbym iść

# Ocalała z sylwestrowej eksplozji

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Zrujnowana oficyna neogotyckiej rezydencji Tiele-Wincklerów w bytomskiej dzielnicy Miechowice odzyskała po latach swój dawny kształt. Po trwającej ponad półtora roku rewaloryzacji XIX-wiecznego zabytku, przywrócono mu historyczny wygląd. Warto koniecznie odnotować, że ostateczny efekt robót jest w dużym stopniu zasługą specjalistycznej firmy budowlano-konserwatorskiej DeS z Krakowa. Kunsztowna rekonstrukcja jedynej zachowanej części okazałego niegdyś miechowickiego pałacu została prawie w połowie sfinansowana ze środków unijnych.

## 10% dawnej budowli

Obiekt przy ul. Dzierżonia w 165-tysięcznym dziś Bytomiu jest ocalałym fragmentem zachodniego skrzydła dawnej rezydencji Tiele-Wincklerów – jednego z najpotężniejszych w przeszłości rodów niemieckich, zaliczanych zwyczajowo do grona śląskich „arystokratów węgla i stali”, jak ich określa m.in. dr Arkadiusz Kuzio-Podrucki, historyk z Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim. Ocenia się, że odrestaurowany starannie zabytek stanowi jedynie ok. 10% kubatury byłego pałacu. Stoi on w bezpośrednim sąsiedztwie historycznego rumowiska, stanowiącego pozostałość – dokonanego przed 66 laty na polecenie władz PRL – barbarzyńskiego wysadzenia w powietrze murów budowli.

## Od klasycyzmu do neogotyku

Burzliwe dzieje tej rezydencji sięgają początków XIX wieku. W 1817 roku powstał w Miechowicach klasycystyczny pałac w formie dwukondygnacyjnego budynku na planie prostokąta. 27 lat później trąba powietrzna jednak zerwała dach obiektu. Wincklerowie przenieśli się więc czasowo do swojej katowickiej willi, a pałac został przebudowany w stylu angielskiego gotyku Tudorów.

Zgodnie z projektem berlińskiego architekta Richarda Lucae dobudowano do niego dwa skrzydła – zachodnie z salą obrazów i kwiatów oraz wschodnie z 33-metrową wieżą „Jaskółczą”. Wzniesiono też dwie inne wieże o nazwach „Prochowa” i „Wodna”. W ostatniej z nich mieścił się zbiornik wody dostarczanej pompami z podziemnego zakładu wydobywczego „Maria” – kopalni galmanu (utlenionej rudy cynku). Inicja-

tozem takiej gruntownej modernizacji rezydencji (Schloss Miechowitz) był Hubert von Tiele-Winckler (1823–1893).

Kilkuletnie przedsięwzięcie dobiegło końca w 1859 roku, pochłaniając 145 tysięcy talarów pruskich (materialna równowartość, co ciekawe, ponad 3 tysięcy kubików ówczesnej pszenicy). Przed 160 laty pałac przypominał średniowieczny zamek z charakterystycznymi wieżami. W 1906 roku zmienił on zupełnie swoje przeznaczenie. Stał się siedzibą zarządu kopalni „Preussengrube”, uruchomionej 4 lata wcześniej przez spółkę górniczą o takiej właśnie nazwie (na terenie Bytomia funkcjonowało wówczas aż 11 kopalń węgla kamiennego i dwie huty żelaza). Rodzina niemieckich arystokratów przeniosła się zaś z Miechowic do Mosznej na Opolszczyźnie.

W Bytomiu pozostała tylko Eva von Tiele-Winckler (1866–1930), nazywana popularnie „Matką Ewą” – założycielka i fundatorka Zakładów Opiekuńczych Ewangelickiego Diakonu „Ostoja Pokoju”. Historycy uważają ją za jedną z najwybitniejszych postaci w dziejach Górnego Śląska, wyróżniającą się szczególnymi zasługami w dziedzinie pomocy społecznej dla licznych mieszkańców regionu. Współczesnym kontynu-



fol. Z. Lubowski

atorem jej filantropijnych działań w tej sferze jest parafia ewangelicko-augsburska w Bytomiu-Miechowicach.

## Saperska akcja

W 1925 roku wnuk Huberta, Claus von Tiele-Winckler, dziedziczny właściciel rezydencji, sprzedał ją górnośląskiej spółce górniczej, wraz z przylegającym do pałacu parkiem. U schyłku II wojny światowej, w styczniu 1945 roku, obiekt został splądrowany i podpalony przez żołnierzy Armii Czerwonej, a 6 miesięcy później – poważnie uszkodzony przez kolejny pożar. Po wojnie w nadającej się jeszcze do użytkowania części budowli rozlokowały się dwie jednostki przemysłowo-gospodarcze: zarząd kopalni „Miechowice” oraz administracja Państwowego Gospodarstwa Rolnego.

Taka sytuacja trwała 9 lat. W noc sylwestrową na przełomie roku 1954 i 1955 pojawili się w Miechowicach saperzy Ludowego Wojska Polskiego, którzy na polecenie śląskich decydentów z PZPR podłożyli ładunki wybuchowe w murach pałacu. Nie-



fol. Z. Lubowski

Bytom Miechowice, platan klonolistny w pałacowym parku



mal całe dzieło budowniczych z XIX wieku wyleciało w jednej chwili w powietrze. Nie zachowały się, niestety, żadne oficjalne dokumenty urzędowe z tamtych czasów, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa można domniemywać, że decyzja sprzed 66 lat była podyktowana chęcią usuwania śladów niemieckiej przeszłości Bytomia.

### Trotyl nie zniszczył całości

Na szczęście saperzy okazali się trochę nieudolni. Nie wszystko zdołali unicestwić. Ostała się zrujnowana oficyna rezydencji oraz piękne drzewo w parku pałacowym – platan klonolistny, liczący sobie prawdopodobnie około 300 lat. – *Od roku 1973 jest on objęty ochroną prawną jako cenny pomnik przyrody. Nosi imię króla Jana III Sobieskiego. Obwód pnia drzewa na wysokości 1,3 m wynosi aż 640 cm* – informuje Małgorzata Węgiel-Wnuk, rzecznik prasowy Urzędu Miejskiego w Bytomiu.

Dziś nie ma już śladu po powojennych lokatorach miechowickiego pałacu. PGR-y w liczbie 1520 uległy likwidacji wkrótce po przełomie ustrojowym 1989 roku, a kopalnia „Miechowice” najpierw została w 1996 roku połączona z kopalnią „Bobrek”, a następnie – po kolejnych trzech latach – przestała w ogóle istnieć. W połowie lat dziewięćdziesiątych wpisano natomiast bytomski zespół pałacowo-parkowy Tiele-Wincklerów do rejestru zabytków ówczesnego województwa katowickiego.

### Żmudna rewaloryzacja

Uporządkowanie terenu w rejonie dawnego pałacu i rewaloryzacja zachowanej oficyny neogotyckiej rezydencji nie były bynajmniej łatwymi zadaniami inwestycyjnymi. – *Przywrócenie historycznej świetności bytomskiemu zabytkowi wymagało starannego przekopania ponad 3,7 tys. ton gruzu i ziemi oraz zużycia 17 ton stali i 50 tys. cegieł, w tym prawie 17 tys. cegieł gotyc-*



Starannie odrestaurowana oficyna miechowickiego pałacu

*kich* – relacjonuje z drobiazgową dokładnością Małgorzata Węgiel-Wnuk. Fachowcy z krakowskiej firmy DeS odtworzyli dawną bryłę fragmentu pałacu wraz z detalami, m.in. wnękami okiennymi nawiązującymi do stylu Tudorów oraz tzw. krenelazami wieńczącymi odrestaurowaną wieżę.

W trakcie realizacji inwestycji odnaleziono prawie 300 artefaktów archeologicznych, głównie neogotyckich. Jedną z największych niespodzianek całego przedsięwzięcia było odkrycie krypty oraz kaplicy pałacowej. Dodać trzeba, że nadzór nad prowadzonymi robotami budowlanymi sprawował Wojewódzki Konserwator Zabytków w Katowicach. Dzięki temu krypta została odgruzowana i zabezpieczona przed dalszą degradacją oraz oddzielona od reszty budynku drzwiami. Zadbano również – jak się dowiedzieliśmy – o jej przeszklenie i odpowiednie oświetlenie.

– *W odrestaurowanym obiekcie ułożono ponad 115 m<sup>2</sup> posadzki granitowej, 573 m<sup>2</sup> posadzki kamiennej oraz 180 m<sup>2</sup> nowego parkietu. Podczas robót natrafiono na zachowane detale architektoniczne z XIX wieku – fragmenty gzymsów, filarów, balustrad, portali, ram okiennych, rynien oraz ażurowych zwieńczeń. Odkryto również relikty starych płytek, które posłużyły wykonawcy jako wzór do odtworzenia ponad 110 m<sup>2</sup> historycznego dywanu* – wylicza skrupulatnie rzeczniczka bytomskiego magistratu.

### Zachowane gruzowisko obok zabytku

Istotnym fragmentem rekonstrukcji zabytku były ponadto prace na terenie rumowiska, które pozostało do dziś po smutnej eksplozji sylwestrowej z 1954 roku. – *Wykonano płytę żelbetową przed tarasem. Będą mogły tam odbywać się różne koncerty plenerowe. Wyeksponowano obrys pałacu na rumowisku, powstały ścieżki wokół oficyny pałacu i gruzowiska. Posiano ponad 2 tys. m<sup>2</sup> trawnika, nasadzone prawie 2,3 tys. krzewów i drzew. Zamontowano tam także tablice informacyjne ze zdjęciami i historią rezydencji. Teren został oświetlony, dzięki czemu nocą wygląda niezwykle atrakcyjnie* – podkreśla z satysfakcją Małgorzata Węgiel-Wnuk.

Projekt został dofinansowany ze środków Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2014–2020 (Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego) w ramach działań służących ochronie dziedzictwa kulturowego ludzkości. Całkowita wartość inwestycji wyniosła ok. 11,6 mln zł, z których ponad 5,5 mln zł pochodziło z funduszy unijnych. Z budżetu państwa przeznaczono zaś na ten cel 655 tys. zł.

Zrewitalizowany obiekt zostanie oddany do użytku na wiosnę. Dawna oficyna neogotyckiego pałacu Tiele-Wincklerów stanie się bytomską placówką muzealną. Zimowe zdjęcia historycznego zakątka Miechowic pokazują jego wygląd w śnieżnej scenerii lutego 2021.



Historyczne rumowisko na tle zrewitalizowanej budowli

# Nie porzucaj nadzieje...

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

**P**andemia w Polsce trwa już rok i oglądanie on-line nawet najlepszych produkcji teatralno-muzycznych coraz bardziej mnie męczy. Jan Englert powiedział ostatnio w wywiadzie telewizyjnym, że transmisje i rejestracje spektakli, które oglądamy w internecie, nie są dla niego teatrem. Teatr to aktor i widz, który staje się naocznym świadkiem procesu twórczego i dopiero dzięki tej żywej, autentycznej relacji tu i teraz tworzy się coś niepowtarzalnego i wyjątkowego.

W związku z tym, zachowując wszelkie środki ostrożności, ruszyłem w wędrowkę po Polsce, by zobaczyć i usłyszeć koncerty i spektakle na żywo. Odwiedziłem Teatr Muzyczny w Lublinie („W Duecie z Muzycznym”), Filharmonie Podkarpacką w Rzeszowie („Niezlomni – Ja odchodzę, Ty zostajesz...”), Teatr Muzyczny w Gdyni („Rewia 70 & France”), Teatr Wielki – Operę Narodową („Madame Butterfly” z Aleksandrą Kurzak), Teatr Wielki w Łodzi („Głos ludzki” Poulenca i „Trouble in Tahiti” Bernsteina) oraz dwukrotnie Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze” (bajka muzyczna „Kolory” w siedzibie w Karolinie oraz „Requiem” Mozarta i pieśni wielkopostne w kościele pw. Bogurodzicy Maryi w warszawskiej dzielnicy Bemowo).

W Lublinie zatrzymałem się na pięknej starówce, w Domu Muzyków, wynajmując mieszkanie na poddaszu. Lublin jest dla mnie wciąż nieodkryty, tajemniczy i piękny. Na zaproszenie pani dyrektor Kamili Lendzion przybyłem do Teatru Muzycznego, gdzie w związku z bardzo dużym zainteresowaniem publiczności powtórzone walentynkowy koncert pod nazwą „W Duecie z Muzycznym”. Zabrzmiały prawdziwe hity, takie jak „Sway”, „When You Believe” czy „My Way”. Ale już na początku wiedziałem, że są to moje klimaty. Soliści chóru zaśpiewali nostalgiczną piosenkę węgiersko-francuskiego kompozytora Josepha Kosmy „Autumn Leaves” (Jesienne liście) z pięknymi słowami francuskiego poety Jacquesa Préverta – wspomnienie o ukochanej osobie, kiedy z drzew spadają kolorowe liście. Razem z wi-

downią, która zajęła wszystkie możliwe miejsca, dałem się porwać pięknej muzyce i bardzo dobremu wykonaniu. Reżyserująca koncert Kamila Lendzion postawiła na piękne solówki i duety, które wprowadzają nas w stan lekkiej melancholii, zadumy nad tym, czym jest miłość i jakie są jej odcienie. Soliści przekazali nam swoje niesamowite emocje, zwłaszcza Kamila Lendzion, której głos jest hipnotyzujący i Jakub Gąska, pokazujący wielki wachlarz swoich wokalnych i aktorskich możliwości.

Dużym pozytywnym zaskoczeniem był dla mnie również Patryk Pawlak, dysponujący pięknie brzmiącym barytonem i dużym talentem aktorskim. Świetnie grał kilkuosobowy zespół muzyczny. Każdy z muzyków był wirtuozem swojego instrumentu. Koncert zakończył się radosnym przebojem zespołu ABBA. Nie trzeba było zmuszać publiczności do mocnych oklasków i standing ovation, a artystów – do kilku bisów.

Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat zawiązałem do Rzeszowa, zatrzymując się w Bristolu. Otrzymałem piękne studio z widokiem na urzekający rynek. Starówka jest wspaniale odnowiona. W centrum miasta majestatycznie stoi ratusz, wyglądający jak pałac. Rozmawiałem z panią dyrektor Martą Wierzbieniec o imponującej działalności Filharmonii Rzeszowskiej, która dzięki realizacji ponad 20 koncertów wspólnie z Telewizją Rzeszów, a także dzięki bardzo aktywnej działalności w internecie, zyskała ponad milion odbiorców! Udało się zorganizować także – mimo pandemii – 23 koncerty z udziałem publiczności i 313 audycji umiarykalniających dla dzieci z całego województwa podkarpackiego.

Był poniedziałek 1 marca. Mimo tego że to zwykle dzień wolny, zostałem zaproszony na ciekawy koncert, zorganizowany w sali kameralnej Filharmonii Podkarpackiej przez kontrabasistę Alka Berkowicza. Koncert miał znamienity tytuł „Niezlomni – Ja odchodzę, Ty zostajesz...”. Na początku usłyszeliśmy fragment pieśni 9 z Ksiąg wtórych Jana Kochanowskiego „Nie porzucaj nadzieje, / Jakoć sie kol-



Alek Berkowicz, Filharmonia Podkarpacka

wiek dzieje, / Bo nie już słońce ostatnie zachodzi, / A po złej chwili dobry dzień przychodzi”. Ale szybko radostny nastrój ustąpił smutkowi. 1 marca 1951 roku ppłk AK Łukasz Ciepliński, razem z kolegami, został zabity strzałem w tył głowy w piwnicy więzienia UB na Mokotowie w Warszawie. Pozostały jego grypsy, które pisał przez 3 lata w więzieniu. Najbardziej wzruszające były listy do kilkuletniego syna, w których pisał o wartościach takich jak patriotyzm, wiara, odwaga, ideały: „Co szlachetne i piękne – przyjmuj, co płytkie i nikczemne – odrzucaj”.

Berkowicz czytał te cytaty łamiącym się głosem. Prowadził narrację koncertu w tak subtelny sposób, że cała sala zamierała w milczeniu i zadumie, a po wykonaniu każdego utworu publiczność nagradzała artystów wielkimi brawami. Usłyszeliśmy między innymi przejmujący utwór „Las, w którym zamilkły ptaki” Jadwigi Kupiszewskiej, „Język ojczysty” Norwida czy „Polonia Restituta” Kazimierza Treli. Berkowicz jest wyjątkowo utalentowanym muzykiem, ma również dobrą dykcję i potrafi skupić uwagę. Muzyka tworzona przez niego i zaproszonych do koncertu kolegów nie miała w sobie nic napuszonego, przypominała klimat poezji śpiewanej, ale podbudowanej dobrym jazzem. Pomagały w tym również dwie siostry: Magdalena i Rozalia Białoruckie, które tworzyły „chórek” bez wdzięczenia się, dopasowując się do nastroju wieczoru. O pozostałych wydarzeniach, które obejrzałem, można przeczytać w portalu ORFEO (orfeo.com.pl [1]).



*fol. Heryk Bzdok*



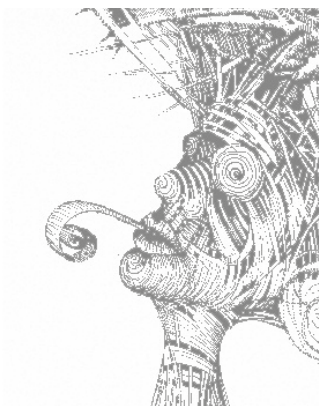
*fol. Heryk Bzdok*



*fol. Heryk Bzdok*



*fol. Heryk Bzdok*



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# Toć słysza, co godosz!

**W** *Notatkach z nieudanych rekolekcji paryskich* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1905–1953) czytamy: „Toć widzisz: jestem słaby, chory, jeden z Sodomy i Gomory; toć widzisz: trędowaty, chromy, jeden z Gomory i Sodomy”.

Współczesne leksykony hasło *toć* – partykułę o znaczeniu „przecież” – opatrują kwalifikatorem przestawności oraz uwagą, że stosuje się ją zwykle na początku wypowiedzenia nawiązującego do sytuacji lub do czyjejś wypowiedzi, np. „Toć to knajpa, toć ludzie przychodzą tu zjeść i wypić”, „Ktoś tam do nas jedzie furmanką. – Toć to nasz nowy sąsiad”, „Nie mam w co się ubrać. – Toć masz tyle tych sukienek” (*Uniwersalny słownik języka polskiego* pod red. prof. Stanisława Dubisza, Warszawa 2003, tom 4, str. 926).

Stefan Reczek w swym *Podręcznym słowniku dawnej polszczyzny* z roku 1968 formie *toć* przypisuje znaczenie „oto”, zasilając ją cytatem z Biblii królowej Zofii z r. 1455: „Toć ja dam jemu pożegnanie” (str. 506).

W gwarach śląskich *toć* – „ależ tak, no tak, oczywiście, owszem, a jakże, rzeczywiście, naprawdę, przecież” – jest ciągle słowem codziennego obiegu komunikacyjnego, obecnym w mówionych i pisanych tekstach gwarowych i w opracowaniach dialektologicznych: „Toć, dzióbeczku, mosz recht”, „Toć słysza, co godosz!” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwíg, Helena Synowiec: *Mały słownik gwary Górnego Śląska*, Katowice 2000, str. 265; *Słownik*

*gwary śląskiej* pod red. Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich, Katowice 1996, str. 77).

Leksykalnym wariantem *toć* jest *a jyno*: „Pójdymy do ciotki? – A jyno”, „A jyno wasz synek sie już łožynił?”.

*Jyno, jyny* z kolei to synonimy takich – jakże często używanych w znaczeniu „tylko” – form, jak *ino, jeno, yno*: „Żebyś mi ino niy zapomniół tego zafatwić!”, „Yno mi tu zarozki przidź!”.

Ciekawy jest status stylistyczny tych słów w języku ogólnym: *ino* odbierane jest jako wyrazisty regionalizm, *jeno* natomiast jako postać książkowa, archaiczna. Najnowsze słowniki nie rejestrują już dlatego obu tych form. Tę drugą znajdują jeszcze w wydany tuż przed ostatnią wojną Trzaski, Everta i Michalskiego *Słownika języka polskiego*, opracowanym pod redakcją prof. Tadeusza Lehra-Spławińskiego, opatrzoną cytatem z twórczości Teofila Lenartowicza (1822–1893): „Żal mi jeno tej łąki, gdzie fijołki i dzwoni”.

W staropolszczyźnie *jeno* „tylko, ale” funkcjonowało zamiennie z postacią *jedno*: „Nie mając synow, jeno dziewczki”, „Nie mam chlebow pospolitych, jedno poświętné” – czytamy np. w Biblii królowej Zofii z r. 1455.

Dopowiem w tym miejscu, że z owym *jeno* łączy mnie znamienne przeżycie stylistyczne, które przywołuję przy każdej nadarzającej się okazji. Otóż przed kilkunastoma laty zabrałem się do czytania pewnej

książki – czytelniczego przeboju tamtego czasu. Liczyła ona kilkaset stron. Odrzuciłem ją po przeczytaniu pierwszych stu. Dlaczego? – Znakomity skądinąd autor, posługujący się w tym swoim dziele językiem współczesnym, co chcę podkreślić, całkowicie zrezygnował z posługiwania się obiegowymi wariantami *tylko, jedynie, wyłącznie*. Było tylko *jeno, jeno, jeno, jeno* – do zwariowania! Nie wytrzymałem więc po przebrnięciu przez sto stron. Pocieszyła mnie instytutowa koleżanka: „Nie martw się, ja przerwałam lekturę po trzydziestu stronach!”. Morał płynący z tej opowieści jest oczywisty: w posługiwaniu się archaizmami trzeba być oszczędnym, ich nadmiar odbierany jest bowiem nieuchronnie jako nieznośna maniera stylistyczna.

Wracając zaś do *ino* „tylko”, wyznam, że obok *zaś* w znaczeniu „znów, znowu” jest to forma, której najbardziej chce mi się używać nawet w języku standardowym. – Może pod wpływem Gerarda Cieślika, który na pytanie, kto jego zdaniem powinien być patronem stadionu Ruchu Chorzów, odpowiedział: „Ino Wilimowski”. Ja natomiast po raz nie wiem który głośno się upominam: Ino Cieślik!!!

Wracając na koniec do *toć*, trzeba jeszcze powiedzieć, że bliskie znaczeniowo jest mu też trzygłoskowe *dyć*, używane jako „przecież”, np. „Dyć już wiysz o tym, co sie stało, niy?”, „Dyć żech prziszła z tobóm pogodać”, a i jako „tak, rzeczywiście”: „Fajnie sie wóm tu miyszko” – Dyć”.

## Ostatnia cyfra „pi” (The Last Digit of Pi)

Przecięte drzewem na pół złote światło słońca  
kreśli kąty na szklanej skórce stawu;  
biesiadnicy świtu, przelatująca para gęsi  
wnosi się wysoko nad zalesione wzgórze,  
poza pole wzroku Pitagorasa. I teraz  
jest zupełnie sam, on kapłan wody i nieba,  
geniusz, twórca twierdzeń, który głosi  
iż kanwą świata matematyka, sztuka *pi*.  
Kolejna para gęsi przybliży się i szybuje  
ponad wodą, opodal rzędu drzew,  
pod którymi siedzi. Ptasie cienie próbują skryć się  
w fałdach pomarszczonych nikłym wiatrem wody.  
Już wie, ta ostatnia, nieodgadniona cyfra *pi*  
ulotna jest jak wiatr niesiony światłem świtu.



fol. M. Korusiłowicz

### Autor (Author)

Słyszysz tak wiele języków o świecie:  
szept słonecznego blasku poprzez liście,  
przekład z zielonych narzeczy autorstwa lekkiej bryzy,  
wiersz Orfeusza odbity w echu pieśnią  
drozda i przedrzeźniacza.

Poczyna ożywiać  
język kołyszących się gałęzi i ptaków szybujących na fali,  
którą całuje wiatr, gdy wschodzące słońce cętkuje liść,  
geometrii wyprowadzonej z cienia, bawiącego się słońca,  
teorii łask wywiedzionych ze światła.

Pewnego dnia zabierze się za translację kompletu  
fraz spisanych białymi literami słońca  
o zdobnych zawijasach od wznoszącej się zieleni;

rozdziałem pierwszym będzie ów świt wczesnego maja,  
jego tematem wielka światła elokwencja.

### Spuścizna Orfeusza (The Legacy of Orpheus)

Tajemny język wpleciony jest w nuty drozdów,  
w harmonię głosów, którymi rozbrzmiewa polana  
wygrzana słońcem, z kwieciem fiołków i odrobiną listowia;

ukryty w głębokim cieniu Pitagoras wsłuchuje się  
w dźwięki z gardziołek drozdów, ich kombinacje  
są przykładem tego, w co wierzył Orfeusz:

że nie przewyższy nic mądrości lasu, żaden człowiek:  
a kto jest bardziej sposobny, by rozmawiać z drzewami niż ptaki,  
swym zgodnym strojem zdolne wyczarować słowa z bryzy  
nabiegłej słońcem, aby nacieszyć jego ucho oddane matematyce?  
Tu niepotrzebne są słowniki; prawda podnosi się  
ze stroju i miary każdej pieśni, co ruch powietrza zmienia;

ich melodyczne przebiegi są bujną geometrią, która  
nagina światło, aż się rozkręci do dźwięku „C” dwukreślne.

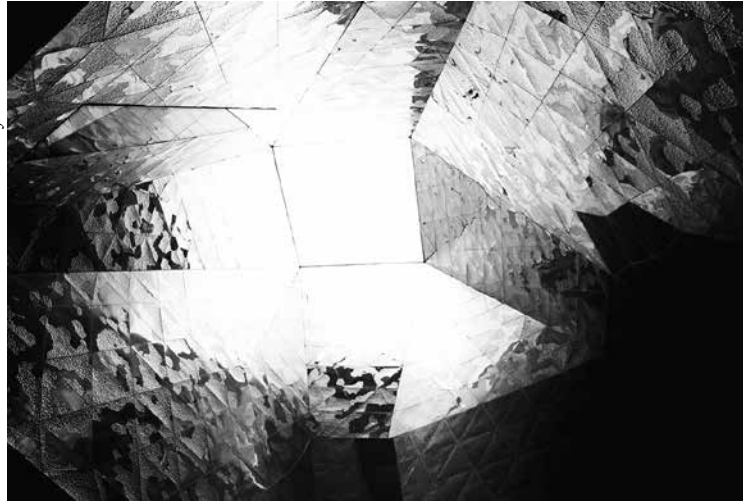
## Koncert (Concert)

Chłonie rześkie powietrze o zielonych żyłkach  
namaszczone światłem słońca;  
wzrokiem śledzi zachowanie pary  
drozdów, w momencie gdy  
siadają na pobliskim drzewie  
i serenadą napełniają bryzę  
dźwiękami wysokiego „C”;

ich zestrojenie zadziwia,  
odślania głębię sztuki  
ukrywającej się w owym lesie;

teraz kilka przedrzeźniaczy  
rozpoczęło drugą melodię,  
muzyka, co jest w ich naturze,  
rozbrzmiewa symfonią.

for. M. Skwara



## Zakochany filozof (Philosopher in Love)

To, jak jej skórę zbrązowiły wiatry, prześwietlone słońcem, kładącym  
cętki na akwafortcie cieni na wzgórzu, rzucanych przez obłok,  
sprawia, że myśli o tym, jak płomienna jest miłość na początku,  
jak odzwierciedla pierwotną energię, do czasu  
aż jej paliwo zużyje się, a ona sama zwęgli się i ostygnie.  
Podobna krótkotrwałość staje się losem największej gwiazdy,  
która podległa jest śmierci, nawet jeśli rozświetla przestrzeń,  
nawet, jeśli jest zimną skałą, która nigdy nie oddycha;

dla niego wieczność zawarta jest w liczbach. Ta jedna,  
najdoskonalsza, jak jego wielka miłość, daje mu w spadku  
wszechświat, życzliwy, pełen  
płomiennego blasku, który stoi ponad tym, co fizyczne,  
a wraz z nim oczy, jasne takie, jak stopione słońce.

## Nauczyciel w lesie (Teacher in the Woods)

Dryfujące światło siadające na drzewach  
wytycza ścieżkę podświetlonej zieleni;  
Pitagoras musi przystanąć, a to okazja do dociekań,  
co kryje w sobie owa poświata, i co słońce chce  
osiągnąć oświetlając drzewa tak osobliwie,  
w kratkę jaskrawych pobłysków w ich  
zieniejących koronach, zielonozłotym szwem  
pomiędzy gęstym lasem na wzgórzu i lekką wiosenną bryzą.

Słońce uczy matematyki, w ten chłodny dzień majowy  
uczy każdy liść i gałąź zrozumienia  
geometrii, tej ewangelii swoich promieni.  
To jest jedyne wytłumaczenie, jakie znajduje.  
Każdy strzelisty promień wysłany na ziemię ściśle  
znaczy kąt, ukazuje liczby drzewom i człowiekowi.

**Lee Slonimski**, amerykański poeta, spokrewniony z wybitnym polskim poetą Antonim Słonimskim, opublikował w swym kraju dziewięć zbiorów poezji. Chronologicznie trzeci z nich, cykl sonetów zatytułowany *Pythagoras in Love*, ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa „Śląsk” pod polskim tytułem *Zakochany Pitagoras*, a przedtem miał swoje wydania we Francji i w Grecji. Z historyczną postacią Pitagorasa, którego Lee Slonimsky czyni bohaterem swojego zbioru, łączy autora głęboka miłość i szacunek do natury, w szczególności do zwierząt. Żona poety, Carol Goodman, jest autorką bestsellerowych powieści kryminalnych. Oboje mieszkają w Hudson Valley, w stanie Nowy Jork.

# Tomasz Kurpierz, „Henryk Sławik 1894-1944. Biografia socjalisty”

MARIAN SWORZEŃ

To nie powieść ani poemat – to dzieło zawodowego historyka. We wstępie do książki autor wyjaśnił: „Biografistyka jest tym rodzajem historiografii, w którym tradycyjna, chronologiczna narracja opisowa stawiana jest na pierwszym miejscu”. I tak jest od początku do końca. Żadnych uniesień (nawet tam, gdzie byłyby usprawiedliwione), także przygan (tam, gdzie by się zdały). Dukt lat nieraz przyspiesza, czasem zwalnia – ale nie ma pominięć. Od pierwszego dnia życia po ostatni. Z pewnością nie pasują do tej książki słowa, że historyk jest jak herold zwołujący umarłych do stołu. Bynajmniej! Dzięki niej żywi mogą spotkać się z żywym.

Pisząc o książkach biograficznych, autorzy omówień mają zazwyczaj pokusę przedstawienia życia ich bohatera – chcąc w kilkunastu zdaniach zrobić to, czemu książka poświęca wielokrotnie więcej. Owszem, stanowi to pomoc dla tych, którzy postaci wcale nie znają, ale jest ryzykowne wobec czytelników mających wystarczającą wiedzę. Nie pomyślę się więc w przekonaniu, że czytelnicy „Śląska” należą do drugiej grupy.

Zacznę od wyliczenia pierwszych reakcji na publikację, bowiem ukazały się już trzy artykuły. Pierwszy – pióra Andrzeja Grajewskiego w „Gościu Niedzielnym” (17.1.2021 r.) – nosi tytuł „Dorastanie do heroizmu”. Drugi – to tekst Józefa Krzyka w „Gazecie Wyborczej” (5.2.2021 r.) zatytułowany „Zdradzony przez rodaka”. I trzeci – „Bohater trzech narodów” napisany przez Macieja Szczawińskiego, zamieszczony w „Naszych Katowicach” (nr 2/2021). To dość niezwykle, by świeżo wydane, niezwykle obszerne dzieło wzbudziło tak wielkie zainteresowanie u recenzentów dużych pism na Śląsku. To dobry znak. To także znak, że dobro jest cenione.

Na okładce książki widzimy Henryka Sławika wraz z żoną. Oboje elegancko ubrani – on w garniturze, w białej koszuli z krawatem, ona w ciemnym płaszczu z bukietem w ręku. Stoją na brukowanej ulicy, za nimi dom z biało-czerwoną flagą zawieszoną przy wejściu. Dlaczego właśnie to zdjęcie? Czemu nie fotografia z burzliwego wiecu, albo z posiedzenia magistrackiej komisji lub redakcyjnego pokoju? Pewno takie były (książka jest bogato ilustrowana), myślę jednak, że to dobry wybór. Jest niedziela, 2 października 1938 roku – Sławikowie są w Cieszynie w związku z uroczystościami objęcia Zaolzia przez Polskę – przed nimi powrót do katowickie-

go mieszkania. Jeszcze jest spokojnie, jeszcze nie ruszyły tryby niewidzialnej maszyny dziejów, na razie obracają się niektóre jej kółka... Minie pół roku, gdy zniknie Czechosłowacja – od tej chwili Polska i Węgry będą miały wspólną granicę, którą Sławik przekroczy niemal równo rok od daty zdjęcia.

Mówi się, że dla zrozumienia epoki, która odeszła, niezbędne jest całkowite odrzucenie wiedzy o tym, co stało się później, zarówno faktów, jak i opinii. To formuła tak surowa, że wydaje się niemożliwa dla zwykłych ludzi. Ale my, czytelnicy, nie musimy nad tym boleć – nasz czas jest inny i odmienna jest nasza rola: mamy być świadkami. Nie z widzenia, ani ze słyszenia, ale z pamięci o własnej lekturze i okolicznościach jej towarzyszących. Bo to nie jest książka na jeden wieczór... To – trzeba jasno powiedzieć – z górą osiemset stron, wymagających rozważliwego rozłożenia czytelnicy, także gotowości do ponownych, wspomaganymi notatkami, odczytań. Innej drogi nie ma.

Henryk Sławik urodził się w roku 1894 w wielodzietnej rodzinie Jana i Weroniki z domu Sobocik w wiosce Szeroka (obecnie w granicach Jastrzębia), pod zaborem pruskim. Pierwsze lata życia spędził w rodzinnej miejscowości, gdzie ukończył szkołę podstawową. Jak sam pisał, był „robotnikiem w różnych zawodach, także na emigracji”. Wiemy, że pracował w pobliskich folwarkach, a potem wyjechał do Hamburga i Altony, gdzie zetknął się z ruchem socjalistycznym. Gdy wrócił, po powołaniu do armii trafił na front wschodni. W roku 1915, po bitwie pod Mołodecznem (dzisiejsza Białoruś), znalazł się w niewoli rosyjskiej. Po szpitalnym leczeniu w Niżnym Nowogrodzie, przez trzy lata był w obozie jenieckim daleko na Syberii – Sławik poprzestał na podaniu jego nazwy (Sretiensk), bez słowa o tym, jak wyglądała tam codzienność.

Po powrocie na Śląsk, przystąpił do POW, co wcale nie oznaczało – w przypadku socjalisty – wrogości wobec Niemców. To tylko dziś tamte sprawy wydają się jednoznaczne, zaś wiedza o tym, że było inaczej, przychodzi do nas niełatwo (np. że rządy niemieckie tłumiące kolejne śląskie zrywy były bez wyjątku gabinetami socjalistycznym). Sławik brał udział we wszystkich trzech powstaniach, zarówno w rodzinnych stronach, jak i blisko Koźła. Uczestniczył w walkach, przemyśle broni, szkoleniach i agitacji plebiscytowej, a w III powstaniu był w służbach prasow-

wych. Potem, kiedy już nastała Polska, był redaktorem, PPS-owcem, mieszkańcem Katowic. Także, po ślubie w 1928 roku, mężem Jadwigi, a dwa lata później – ojcem Krystyny. Rozwinę teraz, oczywiście dzięki książce, niektóre obrazy, by okazać, ile było w nich przemian.

Otóż jako redaktor socjalistycznej „Gazety Robotniczej” Sławik zaczął od funkcji odpowiedzialnego – żargon określał ją słowem „Sitzredaktor” z racji konieczności odsiadania kar nakładanych przez prawo prasowe. Dopiero potem do obowiązków Sławika weszło prawdziwe kierowanie gazetą. Także własne dziennikarstwo, udział w procesach sądowych, nie wyłączając ich konsekwencji (grzywnien, aresztów) oraz zabieganie o byt pisma, abonentów i wsparcie w warszawskiej centrali. Dowodem środowiskowego uznania było to, że przez całe lata kierował związkami skupiającym dziennikarzy wszystkich odłamów politycznych na Śląsku i Zagłębiu, zaś krótko przed wojną został wiceszefem publicystów skupionych wokół katowickiej rozgłośni.

O tym, że był socjalistą z przekonania, przypomina nam podtytuł książki. Autor mógł wszak zdecydować, że to biografia śląskiego dziennikarza albo działacza politycznego. Mógł, ale zrobił inaczej. Postawił na to, co przenikało jego bohatera jako Ślązaka, publicystę i polityka – przejęcie socjalizmem. Tą ideą, która nie bruka ludzi, ale ich szanuje, chce im towarzyszyć – o nazwie wziętej z łacińskiego *socius*, określającej sprzymierzeńca. Tak więc jako młody człowiek terminował u hamburskich socjalistów, a potem, na Górnym Śląsku, był w gronie PPS-owców zaboru pruskiego, później zaś należał do ogólnopolskiej PPS. Warto zaznaczyć, że PPS jako partia nigdy nie uczestniczyła w rządowych rozdaniach okresu międzywojennego, co chroniło zwykłych jej działaczy przed spektakularnymi drogami politycznej kariery – sukcesy, mniejsze lub większe, osiągnano w samorządach. Był więc Sławik katowickim radnym z listy PPS, zarówno w radzie tzw. komisarycznej, jak i z wyboru; uczestniczył w ważnej instytucji autonomii – w Śląskiej Radzie Wojewódzkiej. Posłem w Warszawie nie został, jako że PPS wypadł na Śląsku gorzej niż w innych częściach kraju. W książce jest opis rozłamu z roku 1928: z jednej strony zwolennicy Józefa Biniszkiwicza, pragnącego samodzielności dla śląskich socjalistów, z drugiej – ludzie stawiający na jedność partii (wśród nich Sławik). Miarą ich wrogości były gazetowe wy-



zwiska: ci od Biniszkievicza nazywali „Gazetę Robotniczą” – „Zbrodniczą”, zaś pismo Sławika określało organ przeciwnika („Robotnik Śląski”) nie inaczej jak „Geszeftciarz Śląski”.

Książka Kurpiera rejestruje polityczne zaangażowania Sławika – prelekcje, wiece, pochody, inicjatywy, udział w komisjach, a także w gremiach wojewódzkich i krajowych PPS. Nie zamierzam też rozwijać tu wątku antyklerykalizmu Sławika – był taki, jak cała PPS, partia z ducha chrześcijańska, lecz nie słuchająca proboszczów. Wolę za to dać fragment nader rzeczowego raportu policyjnego o Sławiku z roku 1933: „[...] wyzn. rzym. -kat., żonaty, [...] stoi w opozycji do obecnego reżimu w Polsce. Opinię moralną ma dobrą”.

Sławik jako katowiczanie... Tu mieszkał prawie dwadzieścia lat: najpierw przy placu Wolności, potem krótko na Raciborskiej, a od ślubu – na świętego Jana, blisko Rynku (taki też adres był w księdze gończej Gestapo). Siedziła redakcja przy Teatralnej, spacerował z rodziną, wiadomo: Park Kościuszki; do teatru – kilka kroków, do kina podobnie. Gdy trzeba było jechać do Warszawy na kongres PPS, albo zjazd dziennikarzy – dworzec był ulicę dalej. Do 2 września 1939 roku – wszędzie miał blisko. Tylko umierać przyszło mu daleko stąd.

Ostatnie pięć lat życia Henryka Sławika było oderwaniem od wszystkiego, czemu służył w kraju. Zmieniły się sprawy, ludzie, język. Przybył do kraju życzliwego wobec polskich uchodźców, ale związanego politycznie (a potem i militarnie) z okupantem Polski, bowiem Węgry do samego końca III Rzeszy były jej sojusznikiem. Żył sam – dopiero w grudniu 1943 r., dzięki pomocy hrabiny Szapáry i fałszywym dokumentom, udało mu się ściągnąć żonę i córkę. Umocowanie do funkcji prezesa Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami otrzymał od rządu emigracyjnego, w skład którego weszła PPS (podlegał ministrowi Janowi Stańczykowi, którego dobrze znał z Katowic jako szefa górniczego związku zawodowego). Łatwo mówić o przeznaczeniu, ale sądzę, że gdyby nie Sławikowa znajomość niemieckiego, József Antall z węgierskiego MSW zamiast niego znalazłby innego współpracownika. O ile pobyt tysięcy polskich wojskowych na Węgrzech miał oparcie w konwencji haskiej, o tyle równie liczni przybysze cywilni takich gwarancji nie mieli (uzyskali je potem). Trzeba było od podstaw stworzyć biuro, dobrać ludzi, podzielić się obowiązkami, nawiązać kontakt z rodakami rozsianymi w całym kraju, ustalić terminarz płacenia zasiłków. Konieczne było też nieustanne dopisywanie do oficjalnych rejestrów uchodźców, którzy docierali do komitetu, przekroczywszy nielegalnie granicę. Wielu z nich, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego, uciekło z ziem polskich, ratując życie. Ich pragnieniem było posiadanie papierów ukrywających ich prawdziwe personalia, trzeba było zmieniać metryki przy pomocy duchowieństwa i urzędników.

Problemy emigracyjnej codzienności pochodziły nie tylko z zewnątrz (biurokracja, trudności gospodarcze Węgier, wywiad niemiecki), ale też z wnętrza środowiska (spo-

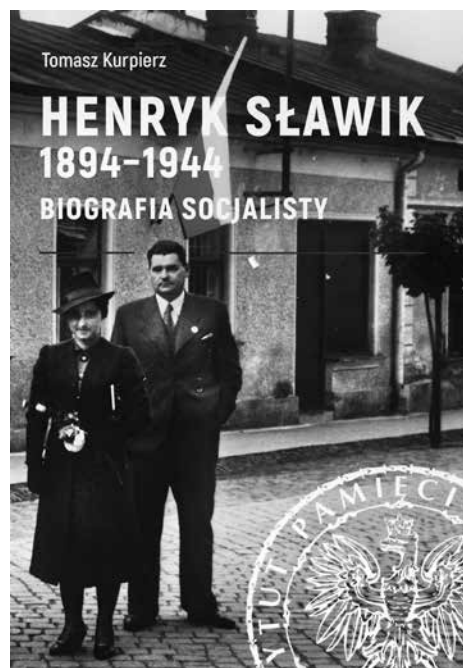
ry polityczne „sanacja” a nowi, rozgoryczenie, skromne bytowanie). Zdarzały się również zadrażnienia z pracownikami polskiej ambasady, za czym (nieraz) kryły się względy ambicjonalne. Udało się, kosztem wielkich wysiłków, stworzyć miejsca nauki dla polskiej młodzieży w Vácu i Balatonboglár. Pierwsza z tych szkół, obok mniejszej w Csillaghegy, była faktycznym miejscem ukrywania młodzieży żydowskiej. Komitet pod prezesurą Sławika mógł się porwać na te przedsięwzięcia, gdyż miał oparcie u wielu węgierskich duchownych oraz członków organizacji charytatywnych.

Wpływ politycznych układów na sytuację polskich wychodźców był stały i przemoczny. Trzeba pamiętać, że Węgry, zaangażowane wspólnie z Niemcami w wojnę z ZSRR, ponosiły wysiłek utrzymania własnej 200-tysięcznej armii na Wschodzie. Po zdruzgotaniu tych oddziałów, wobec węgierskiej narodowej tragedii wyblakło znaczenie dbałości o polskich uchodźców. Dodatkowo Polska – po zawarciu układu Sikorski-Majski – weszła do alianckiej koalicji z udziałem ZSRR, co dało pożywkę przeciwnikom pomocy udzielanej Polakom. Dzięki książce Kurpiera mamy sposobność poznania szczegółów tych politycznych układów, czasami zaskakujących. Trzeba podkreślić, że bez względu na rządowe napięcia i rozszady, pomoc administracji węgierskiej nigdy nie została wstrzymana.

Data przełomową stał się dzień 19 marca 1944 r., gdy armia niemiecka wkroczyła na obszar Węgier. Powstał nowy rząd, aresztowano członków opozycji (Węgry, mimo wojny, miały system parlamentarny), rozpoczęło się bezwzględne prześladowanie Żydów, których – wedle szczegółowych dyrektyw Eichmanna – wywożono do obozów śmierci, głównie do Oświęcimia. Tadeusz Borowski, przebywający wtedy w KL Auschwitz, opisał w swoich opowiadaniach wielkie transporty przybywające z Węgier. Sándor Márai dzień po dniu notował grozę tamtych dni w swoich dziennikach. Imre Kertész (późniejszy noblista) doświadczył osobiście wywozki opisanej w „Losie utraconym”, zaś pisarz Antal Szerbi został zakatowany przez rodzimych oprawców w ostatnich dniach reżimu.

Ludzie z polskiego komitetu opiekuńczego, niemal wszyscy, zostali aresztowani na samym początku. Sławikowi udało się zbiec tylko dzięki przypadkowi (nie był wtedy w Budapeszcie), jego żonę uwięziono (później trafiła do Ravensbrück), tylko córka – dzięki pomocy księdza Béli Vargi, współpracującego ze Sławikiem – znalazła schronienie w internacie, potem u innych osób, w tym również w rodzinie Antalla.

Ostatni okres życia Henryka Sławika zaczął się od wydania go przez jednego z uczniów polskiej szkoły. Okoliczności tej zdrady nie są pewne (jest kilka wersji), nie było bezpośrednich świadków ujęcia ukrywającego się Sławika (mowa była nawet o jego dobrowolnym ujawnieniu się, ale zaprzeczyła temu rodzina). Po aresztowaniu przez Gestapo, Sła-



wik przeszedł okrutne śledztwo w więzieniu w Budapeszcie. Skonfrontowany z Antallem, nie obciążał go. Uratował przyjaciela i współpracownika, ale nie ocalał własnego życia. Wywieziony do Mauthausen, tam został zgładzony w dniu 23 sierpnia 1944 roku. Ten, który go wydał, zginął (podobno) z rąk Sowietów. Żona Sławika, po przetrwaniu obozu, powróciła do Katowic. Latem 1945 roku dołączyła do niej córka.

Mięło pół wieku, nim błysnęły pierwsze oznaki przywracania pamięci. Nie domowej, rodzinnej – ta żyła nieustannie (jej dzisiejszym spadkobiercą jest wnuk Sławika, Zbigniew Kutermak), ale zbiorowej, społecznej. W roku 1997 Henryk Zvi Zimmermann, izraelski dyplomata, współpracownik Sławika w Budapeszcie, opublikował wspomnienia „Przeżyłem, pamiętam, świadczę”. Potem przyszły książki Grzegorza Łubczyka i Elżbiety Isakiewicz. Obudziły się Katowice, tworząc – dzięki zaangażowaniu wiceprezydenta Michała Lutego – stowarzyszenie „Henryk Sławik – Dzieło i Pamięć”. Pośmiertnie przyznano Sławikowi Order Orła Białego. Instytut Yad Vashem w Jerozolimie nadał mu godność Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Dziesięć lat temu do pisania tej książki zasiadł Tomasz Kurpierz – rocznik 1976, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, historyk, pracownik katowickiego oddziału IPN. Jego dzieło ukazało się w grudniu 2020 roku. I chociaż można je słusznie – z uwagi na objętość – nazwać imponującym, wybieram jednak inne określenie – jest to książka w najwyższym stopniu rzetelna. Oto rozpoczęła swoją drogę... Trafi do księgarń, do bibliotek uniwersyteckich i publicznych. Także do zwykłych czytelników. Oni przyniosą jej największą chwałę. ■

**Tomasz Kurpierz, Henryk Sławik 1894–1944. Biografia socjalisty, IPN Katowice – Warszawa 2020, str. 836.**

# Wojciech Korfanty a sytuacja ekonomiczna na Górnym Śląsku w trakcie III powstania śląskiego

MICHAŁ SPURGIASZ

**W** maju 1921 r. oczy całego świata były zwrócone na Górny Śląsk. Po niepomysłnych wynikach plebiscytu, do których cegiełkę dołożyła trudna sytuacja polityczna Polski oraz niemrawość rządu centralnego względem sprawy Górnego Śląska, miało miejsce zbrojne wystąpienie mieszkańców przeciwko nadchodzącemu, niesprawiedliwemu podziałowi regionu.

Włodzimierz Dąbrowski, sekretarz Wojciecha Korfante go trafnie zauważył, że „podstawą życia gospodarczego na Śląsku były: pieniądź, kolej, węgiel i aprowizacja”. Ze wszystkimi czterema, jako palącymi problemami, musieli się zmierzyć powstańcy i rodząca się w bólach administracja. Niniejszy tekst będzie poświęcony pierwszemu z nich.

Zdecydowaną większość powstańców stanowili robotnicy. Mężczyźni, pracownicy górnośląskich zakładów przemysłowych i kopalń, którzy na utrzymaniu mieli rodziny. Dołączenie do powstania oznaczało utratę źródła dochodu, które zwykle było wypłacane w tygodniowych odstępach. Tym samym egzystencja całych rodzin zależała często od bardzo ograniczonych możliwości wypłaty żołdu oraz pomocy sąsiedzkiej.

Zatem sytuacja ludności cywilnej również pozostawała napięta. Mimo iż już po 6 maja, w efekcie odezwy Wydziału Wykonawczego, opublikowanej w górnośląskich gazetach, około 80% robotników zatrudnionych w przemyśle powróciło do pracy, to możliwość wypłaty wynagrodzeń na obszarze objętym powstaniem pozostawała pod znakiem za-

pytania. Choćby z tego powodu, że spora część niemieckich fabrykantów w momencie wybuchu powstania uciekła, zabierając z sobą pieniądze, a obszar objęty powstaniem został odcięty od Niemiec, przerwano łańcuchy dostaw dóbr konsumpcyjnych, w tym środków płatniczych, co przełożyło się na ograniczony dostęp do gotówki.

W sprawozdaniu do rządu polskiego datowanym na 9 maja, które dotyczyło rozmów ze stroną francuską, Wojciech Korfanty odnotowuje: „Zaznaczam jednak, że linii demarkacyjnej będziemy musieli bronić, tak jak oświadczył generał Le Rond, i dlatego potrzeba nam znacznych kwot w markach niemieckich na płacenie żołdu. Zachodzi bowiem obawa, że ludzie mogą opuszczać szereg i wracać do pracy, jeśli nie będą otrzymywali żołdu. Potrzeba nam natychmiast amunicji i broni, bo amunicji starczy nam za ledwie na 2 dni. Byłoby pięknym gestem, gdybyśmy rodzinom poległych Włochów mogli wypłacić znaczne kwoty i to na ręce generała Romei. Napisałbym do niego grzeczny list i przesałbym mu ową kwotę. Nie mam jednakże pieniędzy”. Wypowiedź ta jest świadectwem ekonomicznych trudności, z jakimi armia powstańcza musiała się borykać od samego początku powstania. Korfanty zdawał sobie w pełni sprawę, iż niemiecki nacisk ekonomiczny, skierowany przeciwko powstaniu, był tak samo skutecznym orężem, jak karabiny generała Hoefera. Tak samo świadoma tego była władza Niemiecka, która już 15 maja zadecydowała o nieprzekazaniu 500 milionów marek na wypłatę zarobków robotników w obwodzie przemysłowym, co skutecznie zaciskało ekonomiczną pętlę na szyi powstania i mogło doprowadzić do radykalizacji nastrojów na Śląsku, nawet wiązać się z utratą poparcia przez Korfante go.

W przeciwieństwie do strony Niemieckiej, doskonale finansowanej i zaopatrzonej przez swoje władze, stał dyktator III powstania śląskiego – Wojciech Korfanty, który mógł co najwyżej liczyć na niewielką pomoc rządu polskiego. W telegramie skierowanym do władz datowanym na 29 maja pisał: „Mamy dotkliwe braki w aprowizacji i pieniędzy. Te dwa braki mogą nas złamać. Niepokoi nas w wysokim stopniu przesilenie gabinetowe

[...]. Mamy wrażenie, że zajęta część Górnego Śląska utrzymamy i granice sobie wytkniemy, jeśli otrzymamy pieniądze i aprowizację”. Niestety na jakąkolwiek znaczną pomoc rządu polskiego nie mógł liczyć z dwóch powodów. Pierwszym była nieprzychylna postawa względem powstania, oparta na osobistej niechęci do Korfante go ze strony Józefa Piłsudskiego, połączona z zaniepokojeniem formą powstania, które nosiło wszelkie znamiona powstania robotniczego. Drugim była niepewność o reakcję sił sojusznicznych (Francji, Anglii, Włoch) obecnych na Śląsku na wypadek udzielenia przez Polskę okazałego wsparcia powstańcom. Rząd polski obawiał się posądzenia o organizację powstania, co mogło mieć negatywny wpływ na relacje z sojusznikami. Szczególnie, że angielska prasa zareagowała szczególnie gwałtownie na bunt Żeligowskiego, w wyniku którego Polacy zajęli Wilno mimo sprzeciwu opinii międzynarodowej. Zasadniczo wszelka niewystarczająca pomoc wpływająca z Polski na Górny Śląsk zdecydowanie nie pokrywała potrzeb powstańczych, a dodatkowo obwarowana była agresywnymi telegramami rządu polskiego, nawołującymi co rusz do natychmiastowej likwidacji powstania.

Korfanty, znajdując się w tak ciężkiej sytuacji, musiał wykazać się nie lada umiejętnością, by utrzymać sytuację pod kontrolą. Zawsze w teorii istniała możliwość rekwizycji dóbr, czyli zajęcia, w imię wyższej konieczności, siłami wojskowymi cywilnej żywności oraz dóbr majątkowych, takich jak samochody. Jednakże władze powstańcze od tego rozwiązania stroniły, a jeśli już dopuszczały je jako ewentualność, to jedynie w ostateczności. Zakrojone na szeroką skalę rekwizycje nie uszłyby uwadze dziennikarzem, w szczególności nieprzychylnie nastawionym do Polaków dziennikarzom niemieckim i angielskim. Wszelka rekwizycja spotkałaby się z ostrą reakcją w prasie międzynarodowej, a artykuły o niesprawiedliwości powstańców zdobyłyby pierwsze strony światowych dzienników, co zapewne oznaczałoby utratę sympatii opinii publicznej. Zdecydowanie utrudniona byłaby również obrona argumentu moralnego, który stanowił podstawę powstania. Wystąpienie zbrojne Po-



Instytut Myśli Polskiej  
Wojciecha Korfante go

laków miało być skierowane przeciwko plebiscytowej niesprawiedliwości komisji oraz uciskowi niemieckiemu. Trudno jest mówić o walce z niesprawiedliwością, gdy jest się samemu pomawianym o niesprawiedliwość.

By opanować ekonomiczny pożar, który powoli pochłaniał Górny Śląsk wraz z ruchem powstańczym, Korfanty podjął trzy działania.

Pierwszym z nich, a zarazem testamentem geniuszu politycznego, było wykorzystanie największej słabości jako broni, której ostrze skierowane było zarówno w stronę nieprzychylnego rządu polskiego, by groźbą zmusić rządzących do udzielenia większego wsparcia, jak i komisji międzysojuszniczej. Ta zawsze mogła wyrzucić presję na rządzie niemieckim, by ten odstąpił od ekonomicznego zaduszania Górnego Śląska, czego dyktator powstania był doskonale świadomy. Dobitym przykładem takiej postawy jest rozmowa, którą Korfanty odbył z premierem Witosem już 5 maja, czyli w parę dni po rozpoczęciu III powstania śląskiego. W jej trakcie z dużym sprytem wielokrotnie zwracał uwagę na możliwie nieobliczalny dalszy przebieg powstania, czy nawet wzrost sympatii bolszewickich, jeśli fundusze na wypłaty robotników nie zostaną zapewnione. Podobną narrację „beczki prochu” stosował w kontaktach z członkami Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej na Górnym Śląsku. Metoda ta zdecydowanie była skuteczna. Transporty z Polski, mimo że nikłe, nie przestawały napływać, a nawet nieprzychylnie nastawieni Anglicy potrafili przymknąć oko na polskie dostawy ciesząc się w duchu, że sytuacja nie ulega dalszej eskalacji.

Drugim z działań było wywarcie naciśku na niemieckich posiadaczach hut i ko-

palń, bądź ich pozostałych na Śląsku pełnomocnikach, by wypłacali zarobek za trudnionym robotnikom, pomimo trudności ekonomicznych, takich jak bardzo ograniczony ze względu na napiętą sytuację rynek zbytu. Postawę Niemców dobitnie obrazują słowa przytaczanego już Dąbrowskiego: „cały kapitał i wielki przemysł z fanatyzmem pracował w tym kierunku, by dowództwu powstania robić jak największe trudności, by zdyskredytować i złamać ruch powstańczy. [...] Prawie każde zarządzenie z zakresu życia ekonomicznego trzeba było przeprowadzić siłą pod presją bagnetu”. Władze zmuszone były siłą nakłaniać Niemców do współpracy. Tam, gdzie nie było to możliwe, powoływano specjalnych mężów zaufania, których zadaniem było podtrzymanie ciągłości pracy w zakładach oraz zapewnienie robotnikom wypłat. Władza powstańcza odniosła sukces. W gazetach przez cały okres powstania można było czytać doniesienia o tym, że pomimo pozogi praca na Śląsku wciąż trwa.

Oficjalny środek płatniczy na Śląsku w okresie plebiscytowym stanowiła nadal marka niemiecka. Ze względu na odcięcie terenu ogarniętego powstaniem od reszty Niemiec oraz nikłych pod tym względem możliwości rządu polskiego na Górnym Śląsku szybko zaczął dawać się we znaki fizyczny brak pieniądza. Tym samym trzecim z działań podjętych przez Korfantego była próba poradzenia sobie z kryzysem dostępności waluty. Korfanty, antycypując pogarszającą się sytuację ekonomiczną, już 12 maja wydał odezwę dotyczącą emisji bonów płatniczych, które określano mianem *notgeld*. Prowadzone też były wstępne prace nad przygotowaniem waluty górnośląskiej, jak i rozważano możliwość użycia tymczasowej

waluty polskiej. Celem monety zastępczej było minimalizowanie społecznej uciążliwości braku dostępu do pieniądza przy jednoczesnym umożliwieniu pokrycia przynajmniej części gigantycznych wydatków powstańczych. *Notgeld* miał formę dwujęczynowego banknotu, który posiadał datę, do której posiadacz bonu mógł podjąć się próby wymiany go na adekwatny pieniądz i był emitowany w miastach kontrolowanych przez powstańców. Gwarantem wartości i wymienialności bonów na marki niemieckie były powstańcze rady miejskie wspierane przez niejednokrotnie zmuszonych groźbą do współpracy właścicieli przemysłu. Co ciekawe *notgeld* już w czasie powstania był postrzegany jako przedmiot o wartości kolekcjonerskiej i można zakładać, że organy emitujące walutę zastępczą od początku liczyły się z tym, że nie zajdzie konieczność wykupu wszystkich wydanych bonów. Zdecydowanie na korzyść powstańców przemawiał fakt, iż ludność Górnego Śląska, po zawierusze pierwszej wojny światowej, przyzwyczajona była do przerw w dostępie do obowiązującego pieniądza i obecności waluty zastępczej.

W przypadku III powstania śląskiego cała machina ekonomiczna kierowana przez Niemców obróciła się przeciwko powstańcom. Wojen nie wygrywa się jedynie na polach bitew, o czym miał okazję przekonać się Napoleon. Często o porażce lub sukcesie decyduje siła ekonomiczna, aprowizacja i możliwość zapewnienia żołdu żołnierzom. Będąc tego świadomym, tym bardziej trzeba docenić powstańczy trud i umiejętności przywódcze Wojciecha Korfantego, który wiodł powstanie do sukcesu, pomimo wszelkich przeciwności losu i walki ze znacznie silniejszym przeciwnikiem. ■



**W 30-lecie powołania Górnośląskiego Towarzystwa Lotniczego – 7 marca 2021**  
– TVP Katowice wyemitowała film dokumentalny Adama Turuli, poświęcony życiu i dziełu Eugeniusza Wróbla – inicjatora GTL. Miesięcznik „Śląsk” przypomina tę ważną dla regionu postać piórem Jego córki. [Red.]

– *Trudno sobie wyobrazić region o podobnym znaczeniu gospodarczym jak województwo katowickie – bez lotniska. Jeżeli w tym regionie Polski przebudowa gospodarki ma zakończyć się powodzeniem, a od tej przebudowy tutaj zależy w moim przekonaniu przebudowa gospodarki w całym kraju, to jest niemożliwe, aby taki region nie miał międzynarodowych i krajowych, regionalnych połączeń* – mówił Eugeniusz Wróbel. Prawie 30 lat później na lotnisku „Katowice Airport” powstanie najwyższa i najnowocześniejsza w Polsce wieża kontroli lotów, która dla wielu osób stanie się symbolem transformacji Śląska.

#### **Harcistrz i kapitan**

Eugeniusz Wróbel urodził się w roku 1951 w Rybniku, w katolickiej śląskiej rodzinie o tradycjach patriotycznych. Jego ojciec Brunon w młodości był harcerzem i instruktorem Przysposobienia Wojskowego. Przed wojną pracował jako kierownik pogotowia technicznego kopalni „Emma”. Aresztowany już 3.09.1939, przebywał w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w Buchenwaldzie i Mauthausen-Gusen. Po wojnie pracował jako inżynier budownictwa. Nigdy nie zapisał się do partii komunistycznej.

Eugeniusz wzorem ojca wstąpił do harcerstwa. Przez siedem lat był drużynowym 6 Harcerskiej Drużyny Wodnej. Jego pasją stała się nawigacja i żeglowność, co znajdzie kontynuację w późniejszym zainteresowaniu lotnictwem. Mając 23 lata, zdobył stopień harcmistrza, a także przyjął zaproszenie do Zespołu Pilota Chorągwi Katowickiej, czyli grona zarządzającego drużynami wodnymi w województwie.

– *Miał niesamowity mir! Nie, że go się harcerze bali! To nie o to chodziło! Mieli do niego szacunek poprzez jego postawę, poprzez jego ogromną wiedzę i to samodyscyplinowanie. On był chodzącym przykładem tego, jak należy postępować, aby osiągnąć cel, aby zdobyć patent żeglarza, sternika, instruktora żeglarstwa, pokonać trudności, dać sobie radę w trudnych sytuacjach. Pływanie po morzu to była często wyprawa życia. I tam nie było miejsca dla ludzi, którzy by się mogli łatwo poddać (...). I często to były przygody życia, na których Eugeniusz był Kapitanem podróży – wspominał Zygmunt Łukaszczyk.*

Jego bezpośrednim przełożonym był harcmistrz Wojciech Czech, który



## „Służba całym życiem”

### Życie i dzieło Eugeniusza Wróbla

MARIA WILGUS

po upadku komunizmu zostanie wojewodą katowickim. W harcerstwie Eugeniusz poznał żonę, Lidie z domu Nowakowską, z którą wziął ślub w roku 1977. Lidia – o której wodniaczki z Rybnika mówiły, że „ma ambitny plan wychowania interesującej dziewczyny, takiej, która może imponować jeszcze czymś oprócz wdzięku” – również należała do Zespołu Pilota, przecierała szlak dziewczynom w drużynach wodnych, prowadziła rejsy, spływy i obozy, posiadała stopnie harcmistrzyni i jachtowego sternika morskiego. Zamieszkali w wielopokoleniowym domu z rodzicami i babcią Eugeniusza. Lidia przez 34 lata pracowała jako psycholog w Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Rybniku, z czego przez 22 lata zarządzała nią jako dyrektor. Eugeniusz i Lidia mieli trójkę dzieci: Marię, Grzegorza i Małgorzatę.

#### **Naukowiec informatyk**

Eugeniusz Wróbel przez całe życie zawodowe, od roku 1974 aż do śmierci (2010), związany był z Politechniką Śląską jako nauczyciel akademicki na Wydziale Automatyki i Informatyki. Jego zainteresowania naukowe, publikacje, książki i skrypty uczelniane koncentrowały się wokół tematów związanych z teorią automatów cyfrowych, układów automatyki, techniki cyfrowej, komputerów, języków assemblerowych, zintegrowanych systemów komunikacyjnych i in. Wspomina Roman Plaza:

– *Byliśmy ukierunkowani na to, co jest nowe. I rozwój tych środków technicznych w postaci komputerów spowodował,*

*że to nas ciągnęło. W pewnym momencie myśmy byli pierwszymi, którzy w tym Instytucie dotknęli prawdziwego PC-eta. Robiliśmy jeden wspólny temat – obsługa Górnośląskiego Centrum Gazownictwa, nadzór nad dystrybucją gazu. Byłem o 6 lat starszy, a tej różnicy między nami mentalnie nie było widać. Mentorem w naszej grupie był Gienek. Mnie to odpowiadało. Lubię pracować samodzielnie, ale jak był zespół, to Gienek był tym, który miał główną koncepcję i to on rozdzielał zadania.*

#### **Wicewojewoda katowicki**

Po upadku komunizmu w Polsce funkcję wojewody katowickiego objął Wojciech Czech, wizjoner, wielki miłośnik Górnego Śląska i zagorzały antykomunista. Eugeniusz Wróbel został jego zastępcą. Jak sam wspominał:

– *Praktycznie z dnia na dzień znalazłem się w Urzędzie Wojewódzkim, wyrwany z mojej ulubionej informatyki, pozbawiony codziennych, interesujących kontaktów ze studentami. W potężnym, obcym mi i sprawiającym ponurę wrażenie gmachu, pełnym nieznanym mi ludzi ale – jak się później okazało – ludzi, wśród których wielu chętnie zaczęło podejmować zadania, o których sami wcześniej jako urzędnicy nawet nie śnili.*

Funkcję wicewojewody i p.o. wojewody pełnił w latach 1990–1995. Według słów dyrektora generalnego urzędu, Zenona Klatki, doświadczonego prawnika – Eugeniusz bardzo szybko się uczył i potrafił słuchać. Był to czas głębokich przemian. Państwo było silnie zadłu-

zone, większość przedsiębiorstw miała charakter państwowy i podlegała wojewodzie. Część trzeba było sprywatyzować lub przekształcić, a część podzielić i przekazać gminom, co wymagało olbrzymiej uczciwości i odporności na presję różnych środowisk, czasem stosujących metody zastraszania rodem z UB, a także wiązało się z dużym napięciem społecznym i strajkami. Bogusław Wojciechowski, kierujący wydziałem przekształceń własnościowych, który podlegał bezpośrednio wicewojewodzie, stwierdził, że pomimo iż przez 4 lata w jego wydziale urzędowała kontrola NIK, ani jedna sprawa nie trafiła do prokuratury, co było ewenementem w skali kraju.

Z inicjatywy Eugeniusza Wróbla i pod jego kierunkiem powstała i rozwinęła się spółka Drogowa Trasa Średnicowa, która tworzyła „drogowy kręgosłup Śląska”, a także Górnośląskie Towarzystwo Lotnicze SA, zarządzające międzynarodowym lotniskiem Katowice-Pyrzowice. Lotnisko to było fragmentem obiektu wojskowego, trzeba więc było naruszyć interesy wojska, które po okresie komunizmu posiadało wciąż bardzo silną pozycję i wpływ. Po latach Eugeniusz Wróbel pisał:

– *Mając dzisiejszą wiedzę na temat lotnictwa cywilnego w Polsce i na świecie, a także na temat funkcjonowania różnych instytucji, ministerstw, sposobów działania pracowników urzędów centralnych (tych, co byli, są i będą niezależnie od tego, jaki jest minister i z jakiej wywodzi się partii), służb różnej maści (byłych, obecnych i tych co są zawsze), zastanawiam się, czy także dzisiaj miałbym równie dużą determinację i odwagę, doprowadzić do tego, aby na lotnisku w Pyrzowicach ponownie zaczęły lądować samoloty pasażerskie. Aby lotnisko zarządzane było przez spółkę z dominującym kapitałem regionalnym, łamiąc tym samym od zawsze istniejący w lotnictwie cywilnym w Polsce porządek. Wbrew ówczesnemu Ministerstwu Transportu oraz wbrew Głównemu Inspektorowi Lotnictwa Cywilnego. Ale także początkowo bez (mówiąc delikatnie) entuzjazmu Przedsiębiorstwa Państwowego Porty Lotnicze, które zarządzało wtedy wszystkimi polskimi cywilnymi lotniskami komunikacyjnymi oraz przy pełnej niechęci jedynej przewoźnika, z jakim początkowo można było rozmawiać – wówczas jeszcze przedsiębiorstwa państwowego PLL LOT. Trudno nie wspomnieć także o najważniejszym i bardzo trudnym, nie tylko w pierwszym okresie rozmów, partnerze – o wojsku.*

Pionierska inicjatywa powstania GTL i jej skuteczna realizacja w praktyce rozpoczęła proces decentralizacji zarządzania lotniskami w Polsce i uruchomiła proces głębokich zmian strukturalnych w tej branży.

## Wiceminister transportu

Po odwołaniu z urzędu (wskutek zmian politycznych na szczeblu centralnym) Eugeniusz był doradcą i ekspertem kolejnych ministrów transportu i sejmowych komisji infrastruktury; zajmował się prawem lotniczym i rozwojem lotnisk regionalnych, był członkiem rad nadzorczych. Nie zapisał się do żadnej partii politycznej, pozostawiając sobie rolę niezależnego fachowca i specjalisty w zakresie infrastruktury. W latach 2005–07, zaproszony do współpracy przez Jerzego Polaczka, pełnił urząd wiceministra transportu. Kierował przygotowaniem i przeprowadzeniem przez sejm ustawy powołującej Polską Agencję Żeglugi Powietrznej, która zarządza ruchem lotniczym na polskim niebie, a następnie doprowadził do jej samodzielnego funkcjonowania. Pozwoliło to na dynamiczny rozwój infrastruktury nawigacyjnej i otwarcie nowych korytarzy powietrznych. Robert Malicki pisał:

– *Jako dyrektor gabinetu politycznego Ministra, często byłem świadkiem, z jaką odwagą, zaangażowaniem i odpowiedzialnością Eugeniusz realizował trudne zadania reformowania spraw lotniczych w Polsce. Między innymi podjął się rzeczy, na którą przed nim nikt się nie odważył – wyłączenia agencji ruchu lotniczego ze struktury PP „Porty Lotnicze” i utworzenia Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej. Zadania niestylizowane, skomplikowanego pod względem prawnym, majątkowym i – przede wszystkim – stosunków pracowniczych w PP „Porty Lotnicze”.*

Dziś Polska Agencja Żeglugi Powietrznej (PAŻP) obsługuje 15 lotnisk, w tym duże centrum zarządzania ruchem lotniczym w Warszawie, a jej obecnym prezes Janusz Janiszewski w grudniu 2019 objął przewodnictwo w sojuszu A6 Alliance (grupa największych europejskich dostawców usług żeglugi powietrznej).

Eugeniusz Wróbel kierował również opracowaniem przez rząd dokumentu „Program rozwoju sieci lotnisk i lotniczych urządzeń naziemnych”, który obowiązywał w latach 2007–2020. Program ten stał się m.in. podstawą skutecznej aplikacji o środki unijne, a także dokumentem porządkującym pojęcia związane z systemowym podejściem do infrastruktury lotniskowej i nawigacyjnej kraju. Kolejnym jego osiągnięciem był autorski projekt ustawy pozwalającej samorządom lokalnym zagospodarować na cele lotnictwa cywilnego tereny po byłych lotniskach wojskowych, a w stosunku do części lotnisk wciąż wykorzystywanych przez wojsko – podpisanie umów o ich współużytkowaniu.

Dla zobrazowania ogromu przedsięwzięcia można wskazać, że praca w terenie i związana z dokumentacją (obmiary geodezyjne, umowy darowizny lub użyczenia) objęła 21 lotnisk, z czego osta-

tecznie przekazano 9 lotnisk i 22 obiekty dla PAŻP. To przedsięwzięcie – według słów Andrzeja Korzeniowskiego – należy uznać za jedno z największych dokonanych w dziedzinie infrastruktury lotniskowej w Polsce po II wojnie światowej. Podobne przedsięwzięcie o takim rozmiarze uczyniono tylko w USA.

Po odwołaniu z urzędu powrócił do pracy na Politechnice Śląskiej. Był współtwórcą Związku Regionalnych Portów Lotniczych. W roku 2008 zainicjował powołanie na Politechnice – we współpracy z Urzędem Lotnictwa Cywilnego oraz Górnośląskim Towarzystwem Lotniczym SA – Centrum Kształcenia Kadr Lotnictwa Cywilnego Europy Środkowo-Wschodniej. W ostatnich tygodniach życia planował wspólną konferencję Ministrów Transportu III RP na Politechnice Śląskiej.

## Śmierć i upamiętnienie

Zginął tragicznie 15 października 2010 roku w wyniku ataku niezdiagnozowanej wówczas choroby psychicznej syna. Uroczystości pogrzebowe w parafii św. Jadwigi w Rybniku zgromadziły tłumy ludzi. W mowie pożegnalnej Jerzy Polaczek mówił:

– *Wiem, jaką głęboką i dojrzałą miłością darzyłeś Twoją kochaną żonę Lidę i wszystkie Twoje dzieci. Jako Twój były szef byłem również świadkiem Twojej pracy i życia. Ty, postrzegany przez wielu jako naukowiec-praktyk i wysoki urzędnik państwowy, często nazywany technokratą pracującym od rana do nocy, znajdowałeś również czas, aby niepostrzeżenie i bez szkody dla obowiązków służbowych często ukłęknąć w najbliższej znajdującym się przy Ministerstwie Transportu w Warszawie kościele pw. św. Barbary. Niektórzy sądzili, że wychodzisz na chwilę do pobliskiego hotelu Marriott – lecz Ty właśnie tam szukałeś siły, pogody ducha: u patronki górników, u św. Barbary tak bliskiej wszystkim mieszkańcom Śląska.*

Eugeniusz Wróbel został uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Pomniki i tablice poświęcone jego pamięci znajdują się w Harcerskim Ośrodku Wodnym w Wiśle Wielkiej, na Politechnice Śląskiej i w Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej. Jest bohaterem filmu dokumentalnego „Służba całym życiem... rzecz o Eugeniuszu Wróblu” w reżyserii Adama Turuli, wyprodukowanego przez Fundację Na Dobro Harcerstwa Górnośląskiego.

Na koniec coś osobistego: dwa lata walczyłam o powstanie tego filmu, nie wiedząc, czy się uda. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Dziękuję wszystkim, którzy mi pomogli, a tych którzy filmu jeszcze nie widzieli, zapraszam do internetu. Wystarczy wpisać trzy słowa najpełniej charakteryzujące postać Eugeniusza Wróbla: Służba całym życiem!

**kroniki sportowe**

powiedz, ile jeszcze potrzeba ci czasu,  
żeby ucieszyć się smakiem wczoraj-  
szych

pocałunków?

jakiego jeszcze potrzeba ci wiatru,  
żeby w chaosie  
*spiłował skałę niczym stalowe ostrze?*

albo – może raczej – jakiej trzeba ci  
mojej  
flauty, żeby nie uciekać ciągle –

na darmo?

\*\*\*

maczasz palce  
i głos w sympatycznym  
atramencie.

po swojemu kadruję cię,  
uwieczniam – na tej wystawie  
fotografii.

jesteś tu najlepszym ujęciem –  
ujmujesz mnie  
jak w innych życiach –

w tej samej galerii.

miałem zniknąć, a siedzę  
naprzeciw przeszłości.

patrząc ci głęboko w oczy.

**igloo**

nie ma nic pewnego  
oprócz śniegu.

nie rozumiałem tego,  
dopóki nie zamieszkałem w

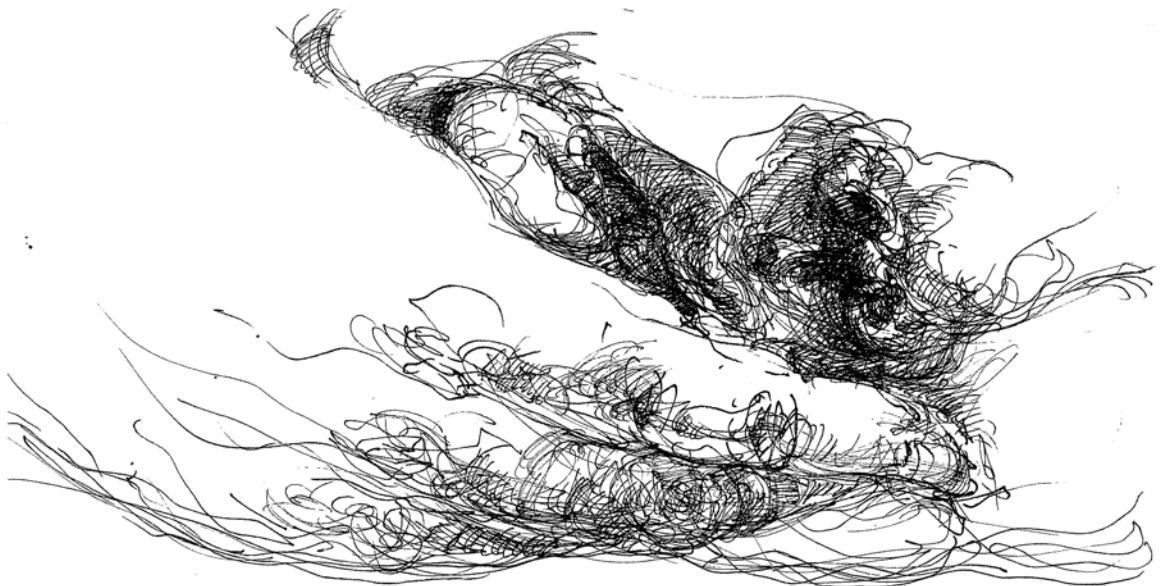
twoich śladach.

uczę się cierpliwości,  
wspinając po nich bez celu.

tłumaczę sobie,  
że liczy się tylko  
droga.

która nigdy nie kończy się.

domem.



## skroń

siedzimy w lesie, przy wieczornym  
ognisku. nad nami świecą plejady.  
w nowy rok znowu kończy się

i zaczyna wszystko.

już znamy się dużo dłużej  
niż jeszcze wczoraj  
pokazywały zegary.

wpatrujemy się w ogień,  
którego płomienie mogą boleć.

dla równowagi schładzasz w wodzie  
poparzoną dłoń.

w samochodzie co chwilę  
przykładasz ją do chłodnej szyby.

myślę, że też chciałbym umieć być nią.

tymczasem potrafię tylko całować cię.

w skroń.



**fatamorgana**  
01.01.2021 *jeszcze mi nie bądź, jeszcze mi się zdawaj* (Urszula Koziół)

będę ci migał na tym torze przeszkód  
jak fatamorgana.

wyłaniał się będę  
z mgły jak żebrak  
bez ciała.

bez prośnienia o rękę będę  
się wspinał po najtrudniejszych  
zakrętach.

gdy wiraże staną się  
twoimi mirażami –

będę ci się zdawał  
i zdawał na  
niemożliwe.

które jednak czasem  
przychodzi.

\*\*\*

jest wreszcie między nami chemia –  
odkąd włożyłaś w nasze dłonie

saszetki ciepła.

naturalnie jeszcze tylko  
przez siedem godzin  
nie będziemy się sobą

chłodzić.

potem oszronięją twoje  
włosy.

to lepsze  
niż dotyk.

nie dotyka  
do żywego.

bez tego można się tylko sobą

sparzyć.

**Wojciech Brzoska** (1978), poeta, absolwent kulturoznawstwa na Uniwersytecie Śląskim. Opublikował dziewięć książek poetyckich, m.in. *Niebo nas Sosnowcem* (2001), *Przez judasza* (2008), *Drugi koniec wszystkiego* (2010), *Ucho środkowe* (2020), *Plejady* (2021). Jego wiersze były tłumaczone na kilka języków. Nagrał kilka płyt: jako Brzoska i Gawroński *Zapominanie* (2019), jako Brzoska/Marciniak/Markiewicz *Wpław* (2019), z trio Piksele – *Martwe* (2020). Zawodowo związany z więziennictwem, jest pomysłodawcą Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jeana Geneta. Mieszka w Katowicach.

Seria „SULINA”, wydawana przez Wydawnictwo Czarne z siedzibą w Wołowcu (już sama ta siedziba budzi zaciekawienie), należy do najciekawszych, szczególnie dla czytelników poszukujących prawd często jeszcze nieodkrytych, niekiedy kontrowersyjnych, budzących emocje, prowokujących do bliższego poznania krain pozornie nam znanych, a jednak skrywających wiele tajemnic. Paradoksalnie okazuje się, że bliskie nam geograficznie tereny mogą być „terra incognita”, wymagającą nie tylko poznania, ale często nowego, różnego od tradycyjnego, spojrzenia. Najlepszym przykładem, co brzmi szczególnie paradoksalnie dla czytelników czasopisma Śląsk, jest tu wydana niedawno w tej serii książka Zbigniewa Rokity Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku.

Z racji moich zainteresowań przeczytałem najnowszą książkę autorstwa Natalii Bryżko-Zapór Pogranicze wszystkiego. Podróże po Wołyniu i muszę stwierdzić, że zacytowany fragment recenzji bardzo dobrze odpowiada i tej pozycji.

Pierwszym skojarzeniem dla polskiego czytelnika dotyczącym Wołynia jest dziś film Wojciecha Smarzowskiego Wołyń według prozy Stanisława Srokowskiego, a szerzej tzw. zbrodnia wołyńska, przez wiele lat przemilczana, dziś wciąż budząca zróżnicowane emocje. Powszechnie uważana jest ona za podstawowy problem dzielący nie tylko społeczeństwa obu narodów, ale też historyków i władze Polski i Ukrainy, dążące do porozumienia w celu budowania współpracy, głównie – choć oczywiście nie tylko – mającej



Jol. Jan Kubanski

Zamek Lubarta w Łucku

# Śląsk, Wołyń i inne krańce świata

ANTONI WILGUSIEWICZ

na celu oparcie się rosyjskiej ekspansji. Od razu trzeba powiedzieć, że czytelnicy zainteresowani przede wszystkim tą tematyką nie mają po co sięgać po omawianą książkę; występuje tu ona oczywiście, bo nie mogłoby być inaczej, ale niejako na drugim planie; intencją autorki jest przede wszystkim ukazanie współczesnego Wołynia, a raczej Wołyni (w języku ukraińskim nazwa ta występuje w rodza-

ju żeńskim) jako części Ukrainy, ale też Europy z Polską na czele jako najbliższym – obok Białorusi – sąsiadem tej krainy. Powiem więcej – ukazanie w książce tradycji UPA jako przede wszystkim formacji antysowieckiej, co jest powszechnie akcentowane obecnie na Ukrainie może budzić sprzeciw, a nawet oburzenie tradycyjnie postrzegających tę formację Polaków – przede wszystkim ofiar (lub ich potomków) nacjonalistów ukraińskich. Zwłaszcza używany tu termin partyzanci UPA jest nie do przyjęcia dla osób postrzegających jej członków przede wszystkim jako sprawców masakry polskiej – i nie tylko polskiej, bo także między innymi czeskiej – ludności Kresów.

Bulwersujące niejednokrotnie polską opinię publiczną akty heroizacji nacjonalistów, antypolskie wystąpienia czy napisy są przede wszystkim – zdaniem rozmówców autorki – narzędziem walki politycznej ze strony ugrupowań nacjonalistycznych, takich jak partia Swoboda; generalnie jednak... Niezaangażowaną politycznie młodzież, intensywnie poszukującą formuły na własną przyszłość, przeszłość interesuje niewiele. Młodzi wyjeżdżają z małych miejscowości do większych, a stamtąd nie



GRÓDEK W OUB, WOŁYŃSKIEJ, NIGDYŚ POKRAJNOŚĆ KRAKOWSKICH.

7400

Posiadłość Kraszewskich. Gródek na Wołyniu



rzadko za granicę. Tylko nieliczni szukają pomysłu na życie w swojej małej ojczyźnie. Stąd też Polska i Polacy – mimo zaszczości historycznych – są postrzegani przede wszystkim z podziwem i zazdrością, a nie z nienawiścią. Jak mówi jeden z rozmówców: tu zarobię 7 tysięcy hrywien, w Polsce od ręki 27 tysięcy. Czemu się dziwić?

Autorka sięga także do dawniejszej, bardzo ciekawej i barwnej historii Wołynia, której symbolem jest świetnie zachowany zamek Lubarta w stolicy regionu, Łucku.

Lubart to książę litewski, syn Giedymina, który nakazał przebudowę drewnianego zameczku w potężną murowaną twierdzę; w 1429 roku wielki książę Witold był tu gospodarzem zjazdu monarchów z udziałem wielu znamienitych władców na czele z cesarzem Zygmuntem Luksemburskim. Wydarzenie to opisał Józef Ignacy Kraszewski w swoim dziele *Wspomnienia z Wołynia, Polesia i Litwy*, do którego niejednokrotnie odnosi się autorka. Wiele uwagi w opisach odwiedzanych miejscowości poświęca wołyńskim Żydom, a także innym, niekiedy już zapomnianym społecznościom etnicznym i religijnym tu niegdyś zamieszkałym, jak Karaimi. Przypomina mało lub w ogóle nieznanym dzisiejszym Polakom postaci, zwłaszcza tych naszych rodaków, którym bliskie były idee pojednania polsko-ukraińskiego, jak Józef Łobodowski, poeta i dziennikarz, przyjaciel przypominanej ostatnio wybitnej poetki polsko-żydowskiej z Równego na Wołyniu – Zuzanny Ginczanki.

Po okresie sympatii komunistycznych został współpracownikiem wo-



Targi wołyńskie 1934: dożynki

jewody Henryka Józewskiego, który próbował na Wołyniu zbudować modelowe stosunki polsko-ukraińskie, wolne zarówno od nacjonalizmów, jak też wpływów Ukrainy sowieckiej (mówi o tym książka Timothy Snydera *Tajna wojna*. Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę). Po wojnie Łobodowski zamieszkał w Madrycie, pisząc wiersze, powieści, jak też uczestnicząc w emigracyjnym życiu literackim, między innymi w środowisku paryskiej Kultury. W głośnym tekście *Przeciw upiorom przeszłości* (1952) polemizował z polskimi nacjonalistami, przede wszystkim Jędrzejem Giertychem, wzywając do wspólnego budowania przyszłości polsko-ukraińskiej. Zmarł w Madrycie w 1988 roku, a prochy jego pochowano w Lublinie, z którym był przed wojną związany.

Trudna, ale też barwna historia Wołynia jest jednak tylko tłem do dzisiejszych jego problemów, których wiele pokazuje autorka. Są tu poważne konflikty religij-

ne w łonie dominującego kościoła prawosławnego; problemy polityczne, wiążące się z wciąż trwającą wojną w Donbasie, której ofiarami padło wielu Wołyńian, także tych, którzy żywi wrócili z frontu, z walką o władzę między ugrupowaniami oligarchów ukraińskich, a także z próbami wprowadzenia reform mających choćby częściowo zbliżyć Ukrainę do standardów europejskich. Są też problemy społeczno-gospodarcze, dalekie od rozwiązań satysfakcjonujących mieszkańców, którzy wciąż swoją przyszłość widzą w swoich rozumianej Europie, czyli Polsce, w której można pracować, ale też do której przemycać choćby papierosy (co jest źródłem utrzymania znacznej części mieszkańców pogranicza). Przykładem mafijnej, rujnującej naturalne środowisko pseudogospodarki Wołynia jest eksploatacja zalegających tu złóż bursztynu, którego część sprzedaje się nielegalnie do Chin, a część do Gdańska, gdzie udaje bursztyń bałtycki.

Jedną z cech współczesnych Ukraińców jest dystans do samych siebie wiążący się z umiejętnością gorzkiego często śmiechu. Dlatego na koniec przytoczę anegdotę, niestety wziętą z codziennego życia postsowieckiej prowincji, jaką jest dziś Wołyń.

Czym różni się kierowca na Wołyniu od kierowcy w Polsce?

Kierowca w Polsce jedzie prosto; gdy jest pijany jedzie zygzakiem. Kierowca na Wołyniu odwrotnie – prosto jedzie tylko wtedy, kiedy jest pijany (co niestety często się tu zdarza).

Tym, którzy nie pojęli sensu tej anegdoty wyjaśniam: drogi na Wołyniu (nie tylko zresztą, na całej Ukrainie) są tak dziurawe, że tylko pijany kierowca tych dziur nie wymija, bo jest mu już wszystko jedno.

fol. Kresy24



Nielegalne wydobycie bursztynu

fol. Kresy24

Chcę Wam pokazać Śląskie przez pryzmat... łaźni, łaźni i wychodków. Nie są one już używane, więc nie ma co zatykać nosa. Zamkowe, pałacowe, publiczne – miejsca, gdzie nawet królowie „piechotą chodzili”. A przy okazji poznacie miejsca, w których je urządzono.

### Krótką historia brudu

Ponoć starożytni Rzymianie potrafili godzinami siedzieć w łaźni, św. Agnieszka nie kąpała się nigdy, zaś Ludwik XIV, zwany Królem Słońcem – zamiast kąpiei, zmieniał koszule. Brud towarzyszył człowiekowi od zawsze, ale dopiero wprowadzenie przez niektóre religie nakazu mycia, tę sytuację zmieniło. Najstarsze znaleziska archeologiczne z Mochendzo-Daro w Pakistanie (III tys. p.n.e.) ukazują system kanalizacji i łaźni. Rzymianie z kąpiei uczynili towarzyską atrakcję, zaś kulturalny mieszkaniec imperium robił wszystko, by być czystym. Odwrót nastąpił w początkach chrześcijaństwa. Św. Hieronim miał ponoć stwierdzić, że kogo chrzest oczyścił, nie musi się kąpać po raz drugi. W brudzie żył św. Franciszek, św. Agnieszka, a św. Olimpia kąpała się tylko w czasie choroby. Taki stosunek do higieny utrzymał się niemal do XVIII w., kiedy zaczęły się pierwsze wyjazdy „do wód”, kąpiele lecznicze, picie „mineralki”. Wówczas też higiena wkroczyła „na salony”. Obok miski z wodą i nocnika, pojawiły się pokoje kąpielowe. Po latach załatwiania potrzeb fizjologicznych „gdzie bądź” – pojawiły się także toalety (Katherine Ashenburg w „Historii brudu” pisze: „Po wypiciu wody mineralnej idzie się na spacer [...], a jako że woda działa szybko i powoduje obfite stolce, powstaje scena, kiedy wszyscy nagle zrywają się jak oparzeni i wypróżniają na pełnym widoku, bo dokoła nie ma ni krzaczka ni drzewa, by się schronić”).

Bogaci zaczęli montować w swoich pałacach i domach łaźienki, ale biedota myślała się rzadko, albo wcale (w myśl porzekadła, że „częste mycie skraca życie”). Dla tych ostatnich w miastach i miasteczkach powstawały publiczne łaźnie. Tak było chociażby w przypadku Bytomia, w którym w 1868 r. – wkrótce po zbudowaniu zakładu wodociągowego – wzniesiono obok niego budynek łaźni miejskiej. W 1869 r. oddano w nim do użytku publiczny basen kąpielowy i łaźienki z wannami oraz łaźnię rosyjską (banię), łaźnię rzymską i prysznicę.

Ok. 1930 r. budynek rozebrano, a w latach 1930–31 zbudowano wg projektu Carla Schmidta nowe, istniejące do dziś, funkcjonalistyczne w stylu, kryte kąpielisko z łaźnią miejską i urządzeniami do hydroterapii. Do tej ostatniej wykorzystywana jest nawet solanka tłoczona z podziemi kopalni węgla kamiennego „Centrum”.



fol. Edward Wiczorek

Zamek w Chudowie

# Szlakiem miejsc wstydliwych

EDWARD WIECZOREK

Podobne miejskie łaźnie, połączone z basenami, funkcjonowały w wielu miastach, wspomnę tylko o Katowicach (obecnie siedziba PZU Życie), Zabrze, Gliwicach (w wielofunkcyjnym kompleksie z 1890 r., obejmującego m.in. Teatr Victoria, basen, łaźnię miejską i hotel, podpalonym w 1945 r. przez stacjonującą w mieście Armieję Czerwoną).

### Sosnowiec, pałac Dietla – łaźienka XXL

O ile łaźnie miejskie, a potem łaźienki domowe, były banalne (choć odpowiadały stylowi epoki i dziś byłyby perełkami w swej dziedzinie), to łaźienki establishmentu były wyjątkowe. Do takich, unikalnych w skali kraju, należy pałacowa łaźienka, a właściwie spory pokój kąpielowy w pałacu Dietla w Sosnowcu.

Henryk Dietel, z nowo poślubioną małżonką Klarą, przybył do Sosnowca w 1878 r., gdzie zaraz po przybyciu zaczął budować przedziałnię wełny chesankowej – pierwszą w Królestwie Polskim i w całym Cesarstwie Rosyjskim. W sąsiedztwie fabryki powstało osiedle dla robotników oraz pałac właściciela. Budowano go w kilku fazach w latach 1880–1902. Autorem projektu pałacu był Ignatz Grünfeld z Katowic.

Na I piętrze pałacu znalazły się reprezentacyjne wnętrza – bel-éta-

ge w tym unikalny, salon kąpielowy o powierzchni 27 m<sup>2</sup> (zniszczony w latach 50. XX w., ale zrekonstruowany wg wyglądu z czasów Dietlów). Centralną część salonu zajmuje wpuszczany w podłogę basen, wyłożony kafelkami z elementami akwaticznymi – muszlami, konikami morskimi oraz pełnoplastycznymi rzeźbami syrenki i dwóch putt igrających na potworze morskim i delfinie. Uzupełnieniem dekoracji jest ceramiczny obraz nimf zwanych nereidami i okeanidami, uosabiających siły przyrody związane z wodą, a ukazujący „Orszak weselny Amfitrydy – małżonki króla wód Posejdona. Najpiękniejsza z morskich bogiń przedstawiona została w kwiatowym wieńcu na głowie. Królowej morza towarzyszy syn – Tryton – półczłowiek-półryba.

Uzupełnieniem wyposażenia pokoju kąpielowego jest drewniana nastawa z lustrem oraz ceramiczny parawan, obudowujący ubikację. Wystrój uzupełnia wzorzysta, terakotowa posadzka.

Atrakcyjność tego pomieszczenia spowodowała, że zagrało ono w filmie kostiumowym Zbigniewa Kuźmińskiego „Między ustami a brzegiem pucharu”, „Magnat”, „Biała wiytówka”, „Wilczyca”, „Desperaci”...

Pałac Dietla to nie tylko łaźienka. To także pięknie odrestaurowa-



„Mysia wieża” w Kamięcu

ne po kilkunastu latach prac konserwatorskich wnętrza. Większość z zachowanymi meblami, sztukateriami i boazeriami.

Pałac jest własnością prywatną, jego zwiedzanie możliwe jest po wcześniejszym uzgodnieniu z administratorem tel. 602-758-451.

### Pszczyzna – łazienki księżnej Daisy

W 1891 roku osiemnastoletnia Maria Teresa Oliwia Cornwallis-West, zwana w rodzinie Daisy (Stokrotka) wyszła za mąż za starszego od siebie Jana Henryka XV Hochberga von Pless – pana na Książu i Pszczynie, co stało się przyczyną podniesienia poziomu higieny na pszczyńskim zamku. Ale po kolei.

Ceremonia ślubna odbyła się w Londynie, w kościele św. Małgorzaty na terenie Opactwa Westminsterkiego – miejscu królewskich koronacji. Przeprowadzka z Anglii do Niemiec po ślubie była dla Daisy wielką rewolucją. Zupełnie inna mentalność, zwyczaj i otoczenie sprawiły, że musia-

ło minąć sporo czasu, zanim poczuła się w kraju swego męża w miarę swobodnie. Małżonkowie dostali w użytkowanie malowniczy zamek w Książu, który jednak Daisy nie przypadł do gustu. Bardziej lubiła mniejszy pałac w Pszczynie, choć nie mogła zrozumieć, dlaczego nie było tam ani jednej łazienki. XIX-wieczna Anglia należała do przodujących w Europie pod względem higieny osobistej, a jednym z pierwszych, który w domu miał łazienkę z bieżącą wodą, wanną i natryskiem, był pisarz Karol Dickens. Anglicy uznali też, że skóra powinna oddychać, a jej mycie pomaga w zachowaniu zdrowia i urody. Te zapamiętane z domu nauki Daisy z czasem wprowadziła także w Pszczynie. Za jej sprawą urządzono łazienki w tutejszym zamku, w tym łazienkę w prywatnych apartamentach księżnej.

Pokoik kąpielowy Daisy jest niewielki. Jego ściany dekorowane są prostokątnymi płytami ciemnego marmuru, odcinającego się czarnymi ramami od jasnego tła. Płaszczyny marmu-

ru przedzielone są dużymi lustrami, co nieco powiększa optycznie ciasne pomieszczenie, ale i tak to klitka. Do toalety służył niewielki marmurowy basenik, zagłębiony w posadzce na dwa stopnie. Miałem okazję być w tej łazience dwadzieścia kilka lat temu i, szczerze mówiąc, nie wywarła na mnie sympatycznego wrażenia, choć była świeżo po renowacji. Po prostu – jak na łazienkę – jest jakoś mało przytulna. Niestety, pomieszczenie to nie jest pokazywane turystom, więc musicie mi wierzyć na słowo.

O wiele większe wrażenie w pszczyńskim zamku robi inna łazienka, tzw. gościnna (do niedawna nazywana też Łazienką Różową). Jest ona dekorowana tapetami z motywami kolorowych bukietów i wedutami przedstawiającymi Rzym w 1771 r., które to tapety i weduty odbijają się w dużych lustrach garderobianych szaf. Oczywiście stoi w niej ceramiczna wanna i takiż wc, a także umywalka z lustrem i... nocnik. Żeby było cieplej, ustawiono klasycystyczny, ceramiczny piec. Duże lustro, kolorystyka tapet i biel szaf rozjaśniają wnętrze (nawiasem mówiąc, tapety zostały zrekonstruowane w angielskiej firmie GP & Baker, działającej od 1884 roku, na podstawie zachowanego fragmentu starej, oryginalnej).

Zamek pszczyński ze swymi wspinałymi wnętrzami – obok Łañcuta i Wawelu – należy do najładniejszych rezydencji południowej Polski. Jako placówka muzealna jest ogólnie dostępny, więc z obejrzeniem opisywanej łazienki (i – oczywiście – innych pomieszczeń) nie powinno być problemu.

### W Mysiej Wieży i nie tylko – Kamięniec, Bobolice i Chudów

Z naszych XIX-wiecznych łazienek wróćmy do średniowiecza. Wszak mamy w naszym województwie kilka zamków i ruin, w których możemy zobaczyć, jak kiedyś załatwiano „te sprawy”.

Łazienek w zamkach nie było. Normalnie starczał stół z dzbanem wody, miednicą i ręcznikiem do mycia rąk i twarzy, natomiast do załatwiania potrzeb fizjologicznych – latryna, najczęściej umieszczona na krawędzi murów, tak by fekalia wypadały poza obręb budowli, najlepiej do fosy z bieżącą wodą (wówczas mówilibyśmy o WC, czyli ubikacji splukiwanej).

Prości ludzie chodzili w krzaki czy „za stodołę”, ale mieszkańcom zamku trudno byłoby za każdym razem przemieszczać się poza mury, a na terenie budowli nieczystości groziły wybuchem epidemii.

Powstały więc latryny w wykuszach, dostępnych od strony izby, zazwyczaj



Latryna w Bobolicach

sypialnej proste w formie – siedzisko lub dziura w podłodze. Wykusze były zawieszane wysoko na murze, drewniane, a czasem z cegły lub kamienia, by nie odczuwać dyskomfortu ze strony wiatru. Otworem w podłodze nieczystości spływały do zamkowej fosy.

Krzyżacy dla mieszkańców swych zamków budowali specjalne wieże latrynowe, tzw. gdaniska (danskery), oddalone kilkanaście metrów od bryły zamku, jak ma to miejsce w zamkach w Malborku, Kwidzynie czy Toruniu. Na naszym terenie chcę Waszą uwagę zwrócić na trzy budowle: Mysią Wieżę w Kamieńcu w powiecie tarnogórskim, zamek w Bobolicach w powiecie myszkowskim i zamek w Chudowie w powiecie gliwickim.

Obecną ozdobą Kamieńca w gminie Zbrosławice jest pałac na miejscu wcześniejszego zamku rodu Kokorzów z wieku XVI, przebudowany w XIX w. przez Strachwitzów w stylu neorenesansowym. W tym kształcie pozostał do dnia dzisiejszego.

Tuż przy pałacu wznosi się wieża, do niedawna datowana na 1887 r. Nazwano ją Mysią, chociaż z Popielem ma niewiele wspólnego. Przypuszczano, że Strachwitzowie mieli w niej obserwatorium astronomiczne, ale badania archeologiczne, przeprowadzone w 2000 r., zweryfikowały dotychczasowe przypuszczenia. Okazało się, że jej najstarsze fragmenty sięgają czasu Kokorzów. Przy okazji na pierwszym piętrze przypadkiem wywróciła się ścianka z cegieł i oka-

zało się, że skrywa latrynę w postaci niszy w grubym murze. Wejście było wysokie na 170 cm, a szerokie na 54. W głębi niej znajdowało się siedzisko z resztkami deski i otworem pośrodku. Prowadzący w dół kanał był na końcu zamurowany, dlatego nie było widać wylotu z zewnątrz budowli.

Aktualnie wieża jest – podobnie jak cały pałac w Kamieńcu – niedostępna (w pałacu mieści się Ośrodek Leczniczko-Rehabilitacyjny dla Dzieci).

Dostępne za to są dwa zamki: w Bobolicach i Chudowie. W trakcie prac rekonstrukcyjnych uzupełniono tak-

że mury zamkowe o widoczne wykusze. Sąsiadowały one z zamkowymi sypialniami, choć jeszcze do XIX w. „te sprawy” załatwiano po prostu do nocnika, który rano opróżniała służba. Wielu piszących na temat średniowiecznych latryn zastanawia się, czym kończono „posiedzenie”. Otóż funkcję papieru toaletowego pełniło często siano, liście, mech lub przęda.

### Tychy – zabytek klasy dwuzerowej

Na terenie Tyskiego Browaru Książęcego w sąsiedztwie kuźni i bednarni, stoi niepozorny zielony domek posadowiony na niewielkiej podmurówce. To unikalna toaleta wozowa z końca XIX w., zbudowana w celach – wiadomych. Ponieważ browar był zakładem produkcji spożywczej, kierownictwo szczególnie dbało o higienę i wygodę pracowników – stąd rzeczona budowla (ponoć jedyna zachowana w tej części Europy). Zasada jej działania była prosta. Z góry załatwiano co trzeba, a od spodu przez garażowe wrota wprowadzany był specjalny, szczelny wóz asenizacyjny, który po napełnieniu użyźniał pola książąt pszczyńskich.

Na co dzień ten fragment browaru nie jest pokazywany zwiedzającym, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by poprosić browarnianego przewodnika o nadłożenie kilkunastu metrów i pokazanie unikalnego zabytku. W końcu to żadna tajemnica przemysłowa. ■

Bardzo skrócona wersja tego tekstu była jednym z laureatów konkursu „Najciekawsze miejsca w Polsce na 130 lat National Geographic” i opublikowana została w „Traveler Polska” w numerze 6 z czerwca 2018 r.



Toaleta wozowa w Tyskim Browarze Książęcym



*Pszczyna - stolik toaletowy*



*Latryna w hitlerowskim obozie jenieckim w Łambinowicach*



for. Edward Wiczorek

Sosnowiec, pałac Dietla – łazienka



for. Edward Wiczorek

Pszczyna – łazienki księżnej Daisy

# Nieznane Cochanovianum

JAN MALICKI

Gdy trzydzieści pięć lat temu Instytut Badań Literackich PAN wydawał „Materiały do dziejów twórczości Jana Kochanowskiego z lat 1551–1625” opracowane przez jednego z trzech najjęźszych znawców źródeł i dokonań czarnoleskiego twórcy – Mirosława Korolkę (dwóch pozostałych to profesorowie Janusz Pelc i Waław Urban), to zdawało się, że to już koniec klasycznych penetracji filologicznych w archiwach i bibliotekach. Wydawało się, że ten model prac badawczych odszedł w przeszłość. Bo cóż jeszcze można znaleźć poza dwoma tomami dokumentów opublikowanych przez badacza. A jednak.

Zachowało się bowiem niezwykle cochanovium; autentyczny, oryginalny list, który w zbiorze Mirosława Korolki należałoby umieścić w dziale I. „Dokumenty pewnie datowane”, po numerze 1.a „Hieroglificzny zapis Stanisława Grzepskiego (jesli Grzepskiego – JM) z 1551 r. z domniemanymi inicjałami J. K.” a 1.b „Wierszowana dedykacja J. K.S. Grzepskiemu z 1552 (?)”. To list – odkrycie. Nieskromnie dodam – sensacja polonistyczna.

Na dodatek jeden z najwcześniejszych zachowanych śladów poety. Uzupełniająca naszą wiedzę o jego młodości, a zarazem weryfikująca i korygująca niemal dwustuletnie ustalenia.

Dla badacza to radość i koszmar zarazem. Radość, bo wypełniając lukę, otwiera się kolejne możliwości dopowiedzeń, interpretacji, uogólnień, zbliżając się do nigdy nieosiąganego celu, jakim dla każdego badacza staje się marzenie o monografii dokonań twórcy lub o pełnej syntezie kultury epoki. Koszmarnym snem humanisty staje się natomiast ogromny wachlarz możliwych a pociągających ścieżek interpretacji naukowej. Zdawać by się mogło zawsze prawdziwych, zawsze przekonujących. To domena badacza dojrzałego, zaprawionego w poszukiwaniach i odkrywaniach rzeczy zakrytych. To naturalne. Ale gdy czynią to moi studenci? Wówczas to wielka radość każdego pedagoga. Wtedy pal licho sam tekst, ważniejsza jest inspirująca ich radość młodych ludzi wkraczających na drogę filologicznych uniesień, satysfakcji, samodzielnie pracujących i dochodzących do prawdziwych ustaleń. Tak się stało z grupą moich słuchaczy. Obiecałem im wtedy, że gdy będą pisać o tym tekście, przypomnę ich nazwiska.

Oto oni: Adrian Gubała, Dominika Glomb, Agnieszka Gołąb, Asia Garbarczyk i Natalia Kostka. Nie znam ich dalszych losów. Pozostaje natomiast piękne wspomnienie sprzed lat.

A list jest autentyczny, opatrzony pieczęcią, czy raczej jej śladem; papier zaś filigranem, dzięki czemu wiemy, skąd on pochodzi. Jest adresat: „Dla Jana Kochanowskiego” i pozdrowienia od Stanisława. Jest i data: 5 listopada 1551 roku. Nieco niżej, z boku druga: 6 listopada 1551. Zapewne data wysłania go do Królewca.

Na ten okres nakłada się inny jeszcze motyw; historia książki Seneki ofiarowana Stanisławowi Grzepskiemu, rówieśnikowi i współperegrynantowi do Królewca, gdzie w momencie wpisywania się przez młodego żaka na krakowską uczelnię, królewicka właśnie inaugurowała swoją działalność. Wówczas wielka atrakcyjna radość, szczególnie dla różnowierców. Czy również dla Jana? Dziś już tej akademii nie ma. Nie ma jej gmachu. Na wzgórzu zaś stoi kościół. W jego podcieniach sarkofag Immanuela Kanta, niczym uaoznacznie słów: „Niebo gwałdziste nade mną, prawo moralne we mnie”. Obok kamień z wykutą datą 1544.

Do kraju Kochanowski wraca być może w 1550 roku lub w 1551 roku. W maju lub czerwcu, skoro wymieniany jest w dokumentach sądowych, a co więcej składa przysięgę, że „granic między Sycyną a Zielonką nie naruszył” (Radom 16 czerwca 1551 roku). Nieco później wraca zaś Stanisław Grzepski. Dokładnie 24 sierpnia. Wiemy to z tzw. „Hieroglificznego zapisu S. Grzepskiego z 1551 roku”. To kolejna tajemnica w biografii poety.

Został on umieszczony w części dolnej, na wewnętrznej okładce książki Lucii Annei Senecae: Tragediae X (Bazylea 1541). Wpisana data to właśnie 24 sierpnia 1551 roku. Po przekątnej, w części górnej znajduje się owa powszechnie znana dedykacja, która brzmi: „Kiedy przemierzać będę rozległy świat, niech ci to będzie dowodem wiecznej miłości. Wyznaj, że to mało,

lec ty, najdroższy Grzepski, jakkolwiek małe dary, ocenisz je według mej intencji. JK”. I data wpisana ręką Grzepskiego: „Królewiec, 9 kwietnia 1552 r.”. To pierwszy i zapewne najstarszy tekst poetycki czarnoleskiego poety. Ale owe osiem miesięcy między wpisami skłania do postawienia innych jeszcze pytań, choćby o to, czyja była to książka; Grzepskiego, czy Kochanowskiego? Z pewnością przywiózł ją do Krakowa Grzepski, razem z nim znalazła się w akademii. Tutaj też znajduje się do dziś.

Jakże kontrastują owe imitacje literackie, gry poetyckie z listem, który zapewne trafił do rąk poety jeszcze w listopadzie. Nie ma w nim artystycznej afektacji, literackich uniesień, intelektualnej głębi. Po stronie nadawcy, poety, i po stronie jego odbiorcy, też poety, jest to po prostu ludzka ciekawość. Kryje się zań zwyczajny człowiek, ciekawy aktualnych spraw, wracający myślami do wydarzeń, którymi żyła okolica, plotek i sąsiedzkich atrakcji. Powtórzmy; przesłał go drugi poeta, z czasem uczony Stanisław Porembski; ten, „co to skotopaski pisał”, a które były u niego „tej wadze, żeby mógł do nich i Teokryt przyznać”.

Niestety, o samym autorze nic nie wiemy. Być może był też autorem mapy księstwa oświęcimskiego. W każdym razie z całą pewnością związany był z księstwem oświęcimsko – zatorskim. I tej dziedziny dotyczy list.

Treść jest w zasadzie blaha. Wiąże się z historią pana zatorskiego i kobiety już w latach, jak wtedy mawiano, a której przeciwna jest i Piotrowa. Zapewne matka miłośnika. „Stara już, a mną gardzi” – pisze złośliwie zapewne młody autor. To niemal prowokacja intelektualna. Kim byli bohaterowie listu? Wszystko wskazuje, że byli to Jan Palczowski (1507–1565), syn Piotra (stąd owa Piotrowa), sędzieja ziemski zatorski w latach 1541–1557 i jego druga żona Zofia Myszkowska. I nie zdziwiłbym się, gdyby rzeczywiście był on bohaterem listu. To jest bowiem jak na owe czasy postać niezwykła.

Dworzanin królewski, który od roku 1550 odważnie wspierał reformację, konsekwentnie broniąc oskarżonego o herezję Konrada Krupkę Przeclawskiego. Ten wyśmienity prawnik pod koniec lat pięćdziesiątych wyda „Ustawy prawa polskiego”, wielokrotnie zresztą wznawiane. Mnie jednak zastanawia jeszcze coś innego. Rok 1551, to rok fatalny dla domu królewskiego. Dla państwa? Umiera Barbara Radziwiłłówna. Kondukt żałobny wędruje od Krakowa do Wilna. Zatrzymuje się w Radomiu, gdzie jeszcze w czerwcu był Kochanowski. W tym liście nie ma wzmianki o tragedii króla. Jest o romanse prowincjonalnego dygnitarza. A swoją drogą zastanawiająca jest zbieżność (przypadkowa?) między listem a fraszką 47 z ksiąg trzecich „Do Zofiję”:

*Nie tyś to, o Zofija, nie ty na mą wiarę,  
Której ja przed siedmiu lat pomnię w sercu miarę!  
Ono była nadobna, ono wdzięczna była;  
A wszystko jej przystało, cokolwiek czyniła.  
Jej żart każdy był trefny, a gdy co kazała,  
Zawždy wielką powolność po każdym poznała.  
Ciebie nie wiem, jako zwać: co poczniesz, nie grzeczny.  
Postawa szalonego, głos ledwie człowieczy;  
Żartom nikt się nie śmieje, na gniew nic nie dbają,  
A jeśli słowo rzeczesz, jeszczeć i nalają.  
Na koniec krom imienia nie masz nic dawnego;  
Bierzmuj się, proście, prze Bóg, a zbądź już i tego!  
O lata zazdrościwe, wszystko precz niesiecie;  
Zofija nie Zofija, kiedy wy przypniecie.*

(J. Kochanowski: Dzieła polskie, t.1 Warszawa 1969, s.223)

Księga Seneki z jego dziesięcioma tragediami i wpisami obu przyjaciół spoczywa wśród cime-liów Biblioteki Jagiellońskiej (sygn. Cim. 0.956), natomiast rękopis listu w zbiorach prywatnych. ■



# Historia powstańczej mogiły

TADEUSZ LOSTER

Historię miejsc pamięci narodowej tworzą ludzie, którzy dbają o te miejsca. Od czasu potyczki powstańców z wojskiem rosyjskim pod Kuźnicą Masłońską (22 marca 1863) w tym roku mija 158 lat. Przez wiele pokoleń mojej rodziny zachowała się opowieść o „niewidzialnej ręce”, która dbała i porządkowała powstańczą mogiłę usypaną w miejscu walki w lesie Rokickim pomiędzy Zawierciem a Łazami.

22 marca nieduży oddział pułownika Teodora Cieszkowskiego dotarł od strony Blanowic do Zawiercia, gdzie powstańcy spalili dwa mosty kolejowe, pozrywali linie telegraficzne i rozkrecili tory. Oddział z Zawiercia podążył drogą wzdłuż toru kolejowego w stronę Łaz. Koło Kuźnicy Masłońskiej powstańcy zniszczyli trzeci most kolejowy, który przebiegał nad Czarną Przemszą. Za oddziałem Cieszkowskiego została wysłana z Częstochowy kolumna wojsk rosyjskich (pod dowództwem majora Leo) w sile 2 rot piechoty i 15 kozaków. Do spotkania doszło około godziny 5 po południu.



ZERWANIE TORU KOLEI WARSZAWSKO-WIĘDŃSKIEJ PRZEZ POWSTAŃCÓW.

Miejsce potyczki w pobliżu toru kolejowego pod lasem Rokickim było oddalone od zniszczonego mostu ponad kilometr w stronę Zawiercia. W miejscu tym oddział prawdopodobnie, po zniszczeniu mostu, rozłożył się obozem. Powstańcy mogli czuć się pewnie, obozując pomiędzy dwoma zniszczonymi mostami kolejowymi, co uniemożliwiało atakowanie oddziału przez wojska rosyjskie dowieszone szybko drogą żelazną. Na przygotowujący się do posiłku oddział powstańczy napadło około 200 żołnierzy rosyjskich. Jednym z pierwszych, który zginął w potyczce był kapelan oddziału Cieszkowskiego ks. Benwenuto Mańkowski, w momencie kiedy krzyżem błogosławił Polaków, padł kulą przeszyty.

W potyczce tej zginął również obywatel ziemski Henryk Wodziński, który nie mogąc ocalić powierzzonej sobie amunicji podpalił proch, na którym siedział i tym sposobem wyrzucony w powietrze, wkrótce żyć przestał.

Zróżdła powstańcze podają, że w potyczce tej zginęło 9 powstańców, a 8 zo-

stało rannych, straty rosyjskie wyniosły 20 zabitych oraz zabrano Rosji 20 koni. Oprócz powstańców Rosjanie zabili, względnie ranili, 3 robotników i 2 urzędników kolei, przybyłych w celu naprawy mostu. Jednym z rannych był zawiadowca stacji – Twardzicki.

Według źródeł rosyjskich, w potyczce pod Kuźnicą Masłońską zginęło 120 (!) powstańców, kilku wzięto do niewoli, w tym dwóch księży. Zabrano zapasy prochu i amunicji, 6 karabinów, 19 koni i korespondencję powstańczą.

Zaskoczony oddział pułownika Teodora Cieszkowskiego, walcząc, wycofał się w stronę Siewierza przez Porębę. *Plac boju został przy nieprzyjacielu, który według zwyczaju poobdzierał wszystkich trupów i zostawił nie pogrzebanych na polu.*

Po odejściu Moskali ciało księdza Mańkowskiego zostało rozpoznane. Złożone do drewnianej skrzyni, zostało odwiezione do Przyrowa pod Częstochową, gdzie uroczyste pochowano je w grobowcu, pod kaplicą św. Anny. Daty pogrzebu kroniki nie podają.

Nie byle jaką postacią w okresie powstania styczniowego był ksiądz Benwenuto Mańkowski. Urodził się on w 1816 roku, w rodzinie chłopskiej, w powiecie konińskim. W roku 1838 został wyświęcony na kapłana. Zasłynął jako znany kaznodzieja warszawski – Popiełuszko tamtych czasów. W roku 1850 został aresztowany przez władze carskie i osadzony w warszawskiej cytadeli. Po długim i głośnym śledztwie, oskarżony o „podburzanie przeciw władzy ludu”, został zesłany na Syberię do guberni wołogodzkiej.

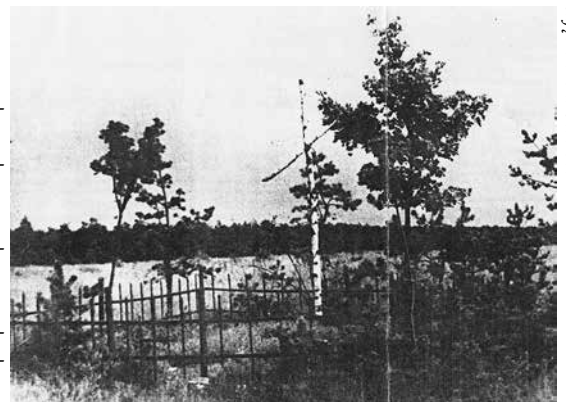
Z zsyłki wrócił w 1856 roku, po ogłoszeniu przez rząd carski amnestii. Chory na gruźlicę ksiądz Mańkowski z nakazu władz rządowych i za zgodą kościoła został umieszczony w klasztorze św. Anny w Przyrowie pod Częstochową. Tam ograniczony murami klasztoru skazany zostaje na polityczną bezczynność. Wypadki lotowe i kwietniowe w Warszawie 1861 roku odrodziły księdza Benwenuto. Mimo moskiewskiego zakazu wygłasza religijno-polityczne kazania dla pielgrzymów, podążających

przez Przyrów do Częstochowy. Jest to okres największego rozkwitu jego kaznodziejskiego talentu. 22 stycznia 1863 roku wybucha powstanie. Ksiądz Benwenuto czeka chwili, aby wstąpić do oddziałów powstańczych. Około 20 marca, na wieść o zbliżającym się oddziale Teodora Cieszkowskiego do Przyrowa porzuca klasztorną celę i zostaje powstańczym kapłanem. Niestety niedługo – 22 marca 1863 ginie.

Niegowonice są oddalone od miejsca potyczki o około 12 kilometrów. 3 kwietnia 1863 do niegowonickiej parafii pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu zgłosiło się dwóch mężczyzn, oświadczając (co zostało zapisane w księdze zgonów), iż w dniu dwudziestym drugim marca roku bieżącego, o godzinie piątej z południa, pod wsią Kuźnicą, w lesie Rokickim, znaleziono ciało poranione i nieżywe Henryka Wodzińskiego lat trzydzięci mającego. Jednym ze zgłaszających zgon powstańca był brat poległego – Władysław Wodziński, współwłaściciel wsi Woli Życińskiej. W tzw. repularzu, przy nazwisku zmarłego, wpisano: *in proelio* (w bitwie).

W pobliżu toru warszawsko-wiedeńskiej kolei żelaznej, przy drodze biegnącej wzdłuż lasu Rokickiego, przez dziesiątki lat stawiany był brzozywy krzyż. Z opowiadań miejscowych było wiadomo, że jest to miejsce pochówku powstańców poległych 22 marca 1863.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, ówczesne władze otoczyły opieką miejsca walk i pamięci narodowej. W latach dwudziestych brzozywy krzyż ogrodzono skromnym żelaznym płotem, przymocowanym do podłoża betonowymi słupkami. W dwudziestolecie międzywojennym powstańczą mogiłą opiekowali się miejscowi harcerze.



Mogiła powstańców z 1863 roku pod lasem Rokickim

zdjęcie arch. z lat 60.



W rocznicę bitwy i w święta narodowe nie zapominali o mogile okoliczni mieszkańcy i lokalne władze. Ten okres pamięci skończył się wraz z wybuchem drugiej wojny.

Za czasów komuny mogiłę otaczała opieką tylko wdzięczna pamięć rodaków. Okoliczni mieszkańcy z uporem stawiali w miejscu walącego się starego krzyża nowy, brzoziowy krzyż, na którym przyczepiano tabliczkę o treści „22 marca 1863 r.”. Jednym z opiekunów mogiły był Stanisław Jaros, kolejarz zamieszkały w Rokitnie Szlacheckim. Od dziecka nie zapominał zapalać świec i sprzątać grobu w rocznicę potyczki i na Wszystkich Świętych. W 1959 roku opiekunem powstańczej mogiły został leśniczy Rokickiego lasu – Marian Dudek, zięć Stanisława Jarosa. Opiekował się on mogiłą nie tylko z urzędu, ale i z rodzinne obowiązku.

Rozległe plany budowy Huty Katowice w latach siedemdziesiątych nie oszczędziły powstańczej mogiły. Na początku maja 1974 roku leśniczy Dudek dowiedział się, że w pobliżu drogi będzie położony dodatkowy tor kolejowy. Nie było w tym nic niezwykłego, ale z planów rozbudowy wynikało, że tor miał przebiegać w bliskim sąsiedztwie powstańczego grobu. Mogiła, według państwowych planów budowlanych, miała być zlikwidowana. Nie mógł uwierzyć stary Jaros, że może dojść do likwidacji czegoś, co uważał za narodową świętość i to jeszcze bez planów przeniesienia mogiły w inne miejsce.

W sobotę, 11 maja 1974, koparka zaczęła rozkopywać powstańczą mogiłę, przygotowując teren pod budowę Centralnej Magistrali Kolejowej. Było zaskoczeniem dla operatora koparki oraz obecnych przy tym leśniczego Mariana Dudka i jego teścia Stanisława Jarosa, że łyżka koparki nie natrafiła na ślady powstańczego pochówku. Pod mogiłą ziemia stanowiła nie-

bił brzoziowy krzyż i stalowo-betonowe ogrodzenie przeniesione ze starej mogiły.

29 maja 1974, ponad dwa tygodnie od pamiętnej daty rozkopania powstańczej mogiły, w Urzędzie Powiatowym w Zawierciu zebrała się siedmioosobowa komisja Ochrony Pomników i Męczeństwa miejscowego ZBoWiD-u, której przewodniczył Piotr Kowalczyk. Uchwalono, że groby powstańców, znajdujące się obok torów kolejowych PKP w Zawierciu, z uwagi, że *będą usunięte należy przenieść w nowe miejsce*. Miejsce to wyznaczono po przeciwległej stronie magazynów PZGS na Wydrze Zielonej w dość ruchliwym punkcie przy rozwidleniu dróg biegnących z Zawiercia do Kromołowa oraz Ogrodzieńca.

Kilka miesięcy po usypaniu przez Jarosa „nowej powstańczej mogiły”, do domu jego w Rokitnie Szlacheckim przybyło trzech działaczy ZBoWiD-u. Przybyśże zażądali od Jarosa zwrotu karabinów i szabel, zakopanych przez powstańców pod krzyżem w „starej mogile”. Doszło do słownej przepychanki. Działacze nie zapytali i nie byli zainteresowani tym, co faktycznie kryła powstańcza mogiła.

W 113 rocznicę wybuchu powstania styczniowego w 1976 roku w wyznaczonym przez komisję miejscu podczas hucznej patriotycznej uroczystości odsłonięto „Pomnik uczestników powstania styczniowego”. Był on jak na owe czasy „po myśli”, zbudowany został z wapiennego kamienia, miał trzy maszty, stalowego „piastowskiego” orła oraz napis informujący, że jest to pomnik ku czci uczestników powstania styczniowego.

Po uroczystości w lokalnej gazecie „Wiadomości Zagłębia” (nr 6/1976), na pierwszej stronie ukazała się notatka zatytułowana: *Odślonięcie pomnika uczestników powstania styczniowego w Zawierciu o treści: Przy drodze prowadzącej z Zawiercia do Kromołowa dokonano odślonięcia pamiątkowego pomnika uczestników powstania styczniowego, którzy zginęli w trakcie walk roku 1863 w lasach Rokickich. Poprzednio obelisk znajdował się na terenie, gdzie obecnie prowadzone są prace związane z budową Centralnej Magistrali Kolejowej. Dzięki staraniom miejscowych działaczy ZBoWiD-u, a także pomocy dyrekcji PKP prochy poległych wraz z pamiątkowym obeliskiem zostały przeniesione na nowe miejsce.*

Jakież było zdziwienie starego Jarosa kiedy to dowiedział się, że na Wydrze Zielonej odsłonięto pomnik, w którym złożono prochy poległych powstańców. Jaros dobrze wiedział, że nikt nie wykopał mu z „nowej mogiły” jego drewnianej skrzynki z ludzkimi szczątkami.

Pomnik na Wydrze Zielonej, usytuowany w niedostępnym dla turystów miejscu, wygodny był dla złomiarzy, którzy częściowo ogołocili go z metalowych elementów. W 1990 roku, w no-

wej polskiej rzeczywistości, odbudowano grób powstańczy w lesie Rokickim. Obecnie – otoczony opieką zawierciańskiego PTTK oraz Towarzystwa Miłośników Ziemi Zawierciańskiej – jest przykładem miejsca pamięci narodowej. Natomiast nie szczęściło się pomnikowi powstania styczniowego na Wydrze Zielonej. Ulokowany w niedostępnym miejscu, koło ruchliwej szosy popadł w zapomnienie. Z okazji 150. rocznicy powstania styczniowego pomnik odnowiono, a miejsce skradzionego „piastowskiego” metalowego orła zajął granitowy krzyż oraz wmurowano granitową tablicę z napisem „Grób powstańców 1863”.

Pan Konstanty Szulhan zainteresował się powstańczą mogiłą jeszcze w tym okresie, kiedy była na „starym miejscu”. Wtedy na wycieczki rowerowe pod mogiłę przyjeżdżało ich dwunastu. Trzech z nich zaczęło opiekować się tym miejscem. Pan Konstanty przyjeżdżał na rowerze, aby posprzątać powstańczą mogiłę, kiedy miał już ponad 80 lat, wtenczas pamiętał jeszcze tylko jedno nazwisko z trójki opiekunów mogiły – Zbyszka Majewskiego. Zmarł w 2016 roku. Jeszcze za życia Pana Konstantego jego miejsce zajął Leszek Mereta. Jego to staraniem w 150. rocznicę powstania po prawej stronie mogiły usypano „Kopiec Pamięci”. W okresie komuny w miejscowej prasie artykuły o bitwie pod Kuźnicą Masłońską i ks. Benvenuto Mańkowskim umieszczał zawierciańin Adam Komenda.

Emerytowany kolejarz Stanisław Jaros zmarł w roku 1982. Nie doczekał się nowego wystroju powstańczej mogiły w lesie Rokickim, a jego miejsce zajął zięć, leśniczy Marian Dudek, który opiekował się mogiłą jeszcze w ubiegłym roku. Zapisuje starannie nazwiska opiekunów mogiły. Oni o swoich bohaterach pamiętali, gdy inni zapomnieli. Prawdziwi strażnicy pamięci. ■

fol. T. Loster, 2002



Mogiła powstańców z 1863 roku w lesie Rokickim

fol. T. Loster, 2001



Pomnik uczestników powstania styczniowego na Wydrze Zielonej w Zawierciu

# Przypomnienie Jadwigi Kucianki

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ



Początek nowoczesnych badań nad śląskim regionalizmem literackim nierozłącznie wiąże się z nazwiskiem Jadwigi Kucianki, chorzowianki, absolwentki Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomicie wykształconej a także uzdolnionej literacko. Kucianka miała pewien dar „przeczuwania” tematów i „żyłkę” pasjonata – szperacza. Nieomylny instykt prowadził ją do miejsc i ludzi. Była bardzo dociekliwa i rzetelna, a odnalezione materiały zawsze wpisywała w szeroki kontekst historyczny i kulturowy.

„Doszła do moich rąk książka przygotowana przez dr J. Kuciankę pt. *Śląscy pisarze ludowi 1800–1914*. Uważam ją za publikację dużej wagi nie tylko historycznoliterackiej, ale i społecznej, a nie cofam się przed określeniem, że i ogólnonarodowej.

Autorka odsłoniła w niej obszar pisarstwa samorodnego, wyrastającego samorzutnie na śląskich niskich rozłogach chłopskich i robotniczych. Pisarstwo to spontanicznie wynikające z instyktu zbiorowości ludowej, jest oczywistym, niezaprzeczanym przejawem zadeptywanej, a przecież budzącej się do życia świadomości narodowej, świadectwem żywołowego wołania wysyłanego ku Polsce, okazowym przykładem kielkowania przez całe stulecie świadomości narodowej, dowodem samorzutnie dokonującej się integracji plemiennej.

Książka Kucianki ten proces unaczni. Oczywiście można powiedzieć: nie ona pierwsza. Na samorodnych pisarzy ludowych śląskich różni badacze miejscowi zwracali uwagę raz po raz; przypominano działalność to tego, to owego. Ale właśnie przygodnie i cząstkowo. To tak jakby niektórzy z rolników orzących glebę ponad zasypanym Herkulanum znajdowali i pokazywali: ten jakiś posążek, ów fibulę itp. Kucianka pierw-

sza zawołała: tam pod spodem jest miasto! I wytyczyła nawet jego rozmiary w rezultacie dłuższego, osobnego badania. Po tym stwierdzeniu do odkopywania stanie zapewne więcej ochotników, odsłonią się może nowe znaleziska. Zasługi odkrywczyni to wszelako nie zasłoni i jej zdobycz jest historyczna”.

Pisał prof. Stanisław Pigoń, pięknie i obrazowo określając istotę dokonania badaczki. Dodać można, że tak odkryła wiele śląskich „miast”, wiele „posążków” i „fibuli”!

\*\*\*

Urodziła się 11 października 1924 roku w Chorzowie (dawniej Królewska Huta), w śląskiej rodzinie robotniczej o bogatych tradycjach patriotycznych i społecznikowskich. W życiorysie przygotowanym do otwarcia przewodu doktorskiego pisała: „Matka Paulina z domu Bernhardt urodziła się w Załężu pod Katowicami. Jej matka, a moja babka, Paulina Bernhardt z domu Szotłysik, była w młodości działaczką w towarzystwach polskich i występowała na scenie amatorskiej załęskiego kółka. Do działalności narodowej przysposobił ją jej ojciec – mój pradziadek – Bernard Szotłysik urodzony w Załężu w 1846 r., pochłonięty także pracą oświatową w polskich kółkach. Zarówno ojciec jak i matka wywodzą się ze starych śląskich rodzin: jeden dziadek był kowalem przy hucie, drugi mazynistą na kopalni”.

Szkolę podstawową później ba-daczka ukończyła w roku 1938, a potem kontynuowała naukę w Miejskim Liceum i Gimnazjum Ogólnokształcącym w Chorzowie. Bardzo zaangażowała się w życie harcerskie mające tu piękne tradycje i działające z wielkim rozmachem, była zastępową zastępu „Szumiących potoków” 12 Drużyny Harcerzy im. Mi-

chaliny Mościckiej w Chorzowie III. Jej ulubionym katechetą był ks. Józef Gawor, późniejszy redaktor „Gościa Niedzielnego”, także zaangażowany w harcerstwo (od roku 1938 był kapelanem żeńskiego hufca harcerskiego w Świętochłowicach). Aktywność harcerską przypominano Kuciance podczas okupacji; w roku 1942 została zesłana do Görlitz (Zgorzelec) do pracy w fabryce sprzętu wojennego. Wróciła stamtąd po roku dzięki intensywnym staraniom rodziny. Od 1943 brała udział w tajnym nauczaniu związanym w Chorzowie z postacią Heleny Spoczyńskiej, mądrej, pełnej poświęcenia nauczycielki. Dzięki temu była dobrze przygotowana do dalszej nauki i po wyzwoleniu, po roku pobytu w Trzyletniej Szkole Średniej w Chorzowie uzyskała świadectwo dojrzałości. Od października 1946 r. studiowała filologię polską w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Na seminarium profesora Stanisława Pigonia opracowywała bibliografię prac Juliusza Ligonia, wywiązała się tak dobrze z tego zadania, że zwróciła uwagę Uczonemu, który kolejną rozprawę, dotyczącą twórczości tego poety, uznał za magisterską. Widocznie swym poziomem rozprawa zapowiadała przyszłą badaczkę skoro po ukończeniu studiów w 1950 r. jej autorka miała pozostać w Krakowie, by pod kierunkiem Stanisława Pigonia pisać rozpraw doktorską o śląskich pisarzach samorodnych. Profesor Pigoń był autorem fundamentalnej dla badań ludoznawczych książki *Zarys nowszej literatury ludowej* (Kraków 1946) i wybór takiego mentora był bardzo trafny. Przeszkodził jednak zamiarom początkującej adeptki nauki nakaz pracy do Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Mysłowicach; od ustawy wprowadzonej właśnie w roku 1950 dla „zwiększenia rozwoju gospodar-

czego kraju” – nie było odwołania! Nawet osobista i pisemna interwencja Profesora Pigońa – nie pomogła i Kucianka musiała wyjechać z Krakowa i podjąć pracę w szkole.

Pisać zaczęła wcześniej, mając 21 lat, gdy podjęła współpracę z „Dzwonkiem Maryi”, „Naszą Droga”, a przede wszystkim z „Gościem Niedzielnym”, w którym już w 1945 r. zaczęła stale publikować pod pseudonimem Jadwiga Bernhardt. Opowiadania, czy też popularyzatorskie ujęcia tematów religijnych i śląskich, świadczyły już wtedy o sporej wiedzy autorki. Nurt religijny w pisarstwie Jadwigi Kucianki będzie odąd trwał niezależnie od innych zobowiązań, a najwięcej tekstów zostanie opublikowanych właśnie w „Gościu Niedzielnym”. Spod jej pióra wyszło dużo opowiadań opartych na motywach *Starego i Nowego Testamentu*, sporo pisała o św. Jacku Odrowążu, głównym patronie archidiecezji katowickiej. Jeszcze innym tematem były dzieje kultu religijnego na Śląsku, na przykład historii kościołów śląskich, opisy uroczystości religijnych, czy ważne postaci śląskich duszpasterzy. Były tu także istotne dla późniejszych jej badań teksty z Norbercie Bończyku, Józefie Rostku, Konstantym Prusie, Maksymilianie Jasionowskim, Józefie Gallusie, Danielu Szędzielorz, Bronisławie Koraszewskim i wielu innych. Pisała z widocznym zaangażowaniem emocjonalnym ale też z talentem; nigdy nie była to banalna czułość. Emocje wspierała zawsze erudycja i kultura literacka widoczna w każdym zdaniu. Szkice i drobne eseje na tematy śląskie bywały czasem zarysami późniejszych rozpraw badawczych. Pisała w okresie studiów i po ich zakończeniu. Współpraca z „Gościem Niedzielnym” nie była w życiu Kucianki epizodem, lecz elementem stale w nim obecnym i ważnym nie tylko ze względu na odbiorcę, lecz także samą autorkę. Teksty drukowane w „Gościu Niedzielnym” trafiały do szerokiego grona czytelników śląskich, którzy byli dla niej bardzo ważni, a ich żywe reakcje stanowiły dla niej najlepsze poświadczenie sensu tej pracy. Tygodnik, zwłaszcza w latach powojennych, był na Śląsku piśmie bardzo poczytnym, miał szerokie grono odbiorców, ale też bardzo profesjonalnych współpracowników. Zbadanie jego recepcji i jej zasięgu byłoby z pewnością interesującym zamierzeniem badawczym.

Ta współpraca, jak też bliskie kontakty z lokalnym kościołem i wieloma duchownymi, stały się przyczyną wielu przykrości i szykan, trudnych nawet do wyobrażenia, które

ją wcześniej zaczęły spotykać. W Polsce Ludowej osoba o autentycznym pochodzeniu robotniczym powinna być „postępowa” i służyć innej sprawie. „Teczkę” Jadwigi Kucianki jednak założono dopiero w październiku 1968 roku, gdy była już adiunktem Uniwersytetu Śląskiego, choć obserwowano ją już jako adiunkta Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach, a może jeszcze wcześniej – Biblioteki Śląskiej. Z roku 1967 pochodzi pełne złośliwości, wręcz wredne doniesienie, w którym czytamy: „Jako pracownik odznacza się pilnością i sumiennością, dobrymi wynikami oraz rzetelną wiedzą, specjalizuje się w literaturze śląskiej i jest dobrym znawcą społeczno-kulturalnej problematyki Śląska [...]. Nie stwierdzam faktów wykorzystywania stanowiska w pracy z młodzieżą do [przemycania?] fideizmu. Jej współpracownicy sugerują, że praktyki religijne i pomoc księżom zastępują jej niepowodzenia na polu towarzyskim spowodowane niezbyt powabną urodą”.

Wróćmy jednak do lat pięćdziesiątych: nakaz pracy wygasł w listopadzie 1952 roku i wówczas zatrudniła się w Bibliotece Śląskiej w Katowicach, przechodząc przez wszystkie działy: od akcesji po wypożyczalnię, by ostatecznie pozostać w „Pracowni Śląskiej”, na ostatnim piętrze gmachu przy ulicy Francuskiej 12. Dyrektorem Biblioteki był wówczas mądry i szlachetny prof. Paweł Rybicki, wybitny socjolog; a o samej „Pracowni” trzeba napisać kilka słów. Zbiory silesiaców były w niej przeogromne: wszelkiego rodzaju druków, rękopisów, prasy, ciągle wzbogacane przez darowizny i archiwa przekazywane przez rodziny, były kopalnią bez dna, pracowało tam dwoje magazynierów: Ślesionowa i Turski, znających zasoby biblioteczne jak własną kieszeń. W roku 1954 podjął w niej pracę Alojzy Targ (1905–1973) „Marcin”, „Zipser”, w latach okupacji niemieckiej członek Delegatury Rządu na Kraj i tajnej pięcioosobowej Śląskiej Rady Wojewódzkiej (por. „Śląsk” 2006 nr 7, s. 38–40), który po uzyskaniu dyplomu kustosa kierował Pracownią Śląską i to pod jego okiem zdobywała szlify naukowe przyszła wybitna znawczyni kultury śląskiej – Jadwiga Kucianka. Targ, będąc z wykształcenia historykiem, był jednocześnie bardzo wszechstronny, znał wielu wybitnych ludzi, miał szerokie kontakty, a o sprawach śląskich wiedział wszystko. Był mądrym, doświadczonego człowiekiem, życzliwym ludziom. Ciężkie śledztwo w PRL-u i więzienie we Wronkach spowodowały w nim pewien dystans, nawet nieufność, ale Kuciankę polu-

bił i szybko jej zaufał. Oboje zresztą obracali się w podobnych kręgach. Do „Pracowni” przychodziło wielu badaczy, nie tylko z Katowic, przyjeżdżali uczeni, a także studenci z Wrocławia, Opola, Krakowa – do przebojnych zbiorów i do Alojzego Targa – tak Kucianka poznała na przykład prof. Józefa Kokota, znakomitego historyka i dyrektora Instytutu Śląskiego w Opolu oraz jego żonę, Marię, Dorotę Simonides – w przyszłości doskonałą folklorystkę i profesora Uniwersytetu Opolskiego, Zbyszka Bednorza i wiele innych osób.

Tam też powstawały pierwsze próby jej pracy naukowej. Była inicjatorką i organizatorką dużych wystaw w Bibliotece Śląskiej np.: *Śląskie pisarstwo samorodne* (1954) oraz *Literatura piękna na Śląsku w okresie dwudziestolecia PRL* (1965). Współpracowała także przy organizacji wystawy *Gustaw Morcinek w 70-lecie urodzin i 40-lecie pracy twórczej* (1961). Wygłosiła w latach pracy w Bibliotece Śląskiej kilka referatów szkoleniowych m.in.: *Z dziejów bibliotek śląskich, Powieść młodzieżowa Gustawa Morcinka, Śląskie śpiewniki towarzyskie* oraz publikowała w „Biuletynie Informacyjnym Biblioteki Śląskiej”. W Bibliotece Śląskiej pracowała do 1966 roku, a więc czternaście lat.

W roku 1962, po wielu namysłach, zdecydowała się na podjęcie pracy naukowej oraz dydaktycznej w Wyższej Szkole Pedagogicznej, gdzie została uczestniczką seminarium doktorskiego prof. dr. Jana Zaremby. W dniu 18 XI 1964 r. Rada Wydziału Filologiczno-Historycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach otworzyła jej przewód doktorski i zatwierdziła temat rozprawy: *Wśród pisarzy samorodnych Górnego Śląska XIX i XX wieku*. Obrona odbyła się 10 XII 1965 r., a promocja 18 IV 1966 roku. Promotorem był prof. dr Jan Zaremba, recenzentami zostali: prof. dr Stanisław Pigoń z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i doc. dr Jacek Koraszewski z Biblioteki Śląskiej. Był to pierwszy doktorat na Wydziale, stanowił więc wydarzenie wyjątkowe, a promocja z udziałem sędziwego Stanisława Pigońa przyciągnęła tłum ludzi. Odbywała się w auli Wydziału i nie pomieściła wszystkich, trudno to sobie dziś wyobrazić, ale przybyły nawet osoby z lat młodości Profesora, pamiętające jego przyjazdy z wykładami do Zaborza, Zabrze, Rudy Śląskiej, Bielszowic, Rybnika. Pigoń – wówczas student Uniwersytetu Jagiellońskiego – związany był z „Eleusis” i Wincentym Lutosławskim. We wspomnieniach *Z Komorni w świat* Pigoń wspominał, ja-

kim wielkim odkryciem był dla niego Śląsk: zacięty upór narodowy Ślązaków i Ślązaków, ogromna chłonność ich umysłów, głód wiedzy, uczony pisał: „Zebrania były liczne. Wyszędłszy z „szychty”, zaledwie obmywszy się, schodzili się młodszy i starsi, częstokroć już mocno leciwi górnicy posłuchać polskiego słowa i poezji. Czytaliśmy im, wieszczów, to znów ustępy z dziejów Polski, objaśniając w miarę możliwości. U większości tych ludzi uderzał mię zawsze jakiś głębok, wrodzony pociąg do mistycyzmu”. Teraz nieliczne z tamtych osób, które Kucianka na prośbę profesora odszukała z wielkim wzruszeniem przybyły na spotkanie z wykładownicą z lat młodości. Dla schorowanego profesora ten wyjazd musiał być ogromnym wysiłkiem (zmarł w grudniu 1968), a przecież z widocznym wzruszeniem mówił podczas promocji o „drobnej blondynce”, która zwróciła jego uwagę jako uczestniczka seminarium.

W październiku 1966 r. dr Jadwiga Kucianka rozstała się z Biblioteką Śląską, otrzymała etat adiunkta w Katedrze Historii Literatury Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach i podjęła pracę dydaktyczną. Przez studentów była bardzo lubiana za znakomite przygotowanie do zajęć i wielką dobroć. Zajęcia prowadziła z romantyzmu i pozytywizmu oraz literatury ludowej i regionalnej a także seminarium magisterskie i zdążyła wypromować kilkunastu magistrów. Ta sympatia studentów stała się powodem do specjalnego niepokoju Służby Bezpieczeństwa. W paskudnym doniesieniu z 14 października 1968 roku TW Zenek pochodzący ze sfer uniwersyteckich, pisał: „Obecność jej w nauczaniu w ogóle, a w nauczaniu akademickim szczególności w warunkach naszej rzeczywistości jest najjaskrawszym skandalem!!! Uczennica Pigionia, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Patologicznie klerykalna o skłonnościach Ślązakowskich. Nawet Pigoń, reakcjonista, fideista i klerykał wyśmiewał się z klerykalizmu Kucianki, ale na jej promocję doktorską przyjechał z Krakowa [...]. W wolnych chwilach („hobby”) zajmuje się wyszywaniem ornatów dla Kurii katowickiej [...]. Przedtem pracowała w domu [sic?] sklerykalizowanej Biblioteki Śląskiej i nawet tam miała opinię klerykała”.

W tym specyficznym „raporcie” odczuć można zawiść i nienawiść. Pisała to osoba świetnie zorientowana w sprawach akademickich, najwyraźniej znająca środowisko krakowskie, zazdroszcząca przyjaźni z profesorem Pigioniem, co nie przeszkadzało

w drwieniu z autora fundamentalnego opracowania „*Pan Tadeusz*”. Wzrost, wielkość, sława. Było w tych zarzutach wszystko: i klerykalizm, i haftowanie ornatów i separatyzm. Pisała to osoba, która przybyła z Krakowa, nieprzychylna kościołowi i Śląskowi, w ogóle nie lubiąca ludzi.

Jednak sprawa musiała przekraczać granice osobistej niechęci, gdyż w uzasadnieniu podjęcia inwigilacji i założenia teczki – czytamy – „Jest żarliwie praktykującą katoliczką, uczestniczy systematycznie w rekolekcjach zamkniętych, w wykładach i odczytach dla inteligencji. Utrzymuje kontakty z szeregiem księży, a w tym ks. Sierła – duszpasterzem akademickim diec. katowickiej. Jest znana biskupom katowickim i wrocławskim. M.in. na prośbę arcybiskupa Kominka opracowuje materiał do jego referatu o stosunkach między Śląskiem a Zagłębiem. Referat ten abp Kominek wygłosił 21 maja 1967 w Sosnowcu podczas imprezy kościelnej masowego charakteru przy udziale kard. Wyszyńskiego i episkopatu”. Sprawę Operacyjnego Rozpracowania prowadziło dwóch agentów, wspomniany już TW Zenek i TW Marek, a obserwacją objęto korespondencję, całe otoczenie, znajomych, przyjaciół, spotkania zwłaszcza z duchownymi, odczyty, zaczęto ją również nękać administracyjnie, żądając zmiany formy nazwiska w dowodzie osobistym z „Kucianka” na „Kucia”.

Wśród duchowieństwa miała wielu przyjaciół i znajomych, wykazano bowiem około 20 księży i sporo innych osób związanych z kościołem, wśród kapłanów był przede wszystkim arcybiskup Bolesław Kominek i bp H. Bednorz, dalej ks. Klemens Kosyrzyk wieloletni redaktor „Gościa”, bardzo popularny kapelan akademicki ks. Stanisław Sierła a także ks. Gawor i wielu innych kapłanów. Ze środowiska uniwersyteckiego i kręgów naukowych najczęściej wymieniano prof. Stanisława Pigionia i jego żonę Helenę, potem byli profesorem: Józef Kokot, Zygmunt Czerny, Tadeusz Grabowski, doc. Zbigniew Jerzy Nowak i jego żona Zofia, określani jako „zażyłość koleżeńska”, dr Jacek Kajtoch, doc. Andrzej Brożek, jak również pisząca te słowa. Odnotowywane były odczyty Kucianki w krypcie Katedry, w Komisji Historycznoliterackiej PAN w Krakowie, udział w pielgrzymkach, kontakty z wyższymi uczelniami Krakowa, Opola, Wrocławia.

Być może dynamiczny rozwój i szerokie kontakty naukowe wywoływały zawiść w części środowiska, co nie zmienia faktu, że obserwowano wi-

docznie uczoną od dawna, jako osobę obracającą się w wielu kręgach, a tym samym oddziaływającą na młodzież, nie tylko studencką. Faktycznie Kucianka teraz publikowała coraz intensywniej w periodykach regionalnych i ogólnopolskich, popularnych i naukowych; w „Poglądach”, „Przekroju”, „Zaraniu Śląskim”, „Sobótce”, „Kwartalniku Opolskim” i innych czasopismach, przy czym światopoglądu nie ukrywała i aktywnie współpracowała ze środowiskiem kościelnym, zwłaszcza z hierarchią. Jednak pisarstwo naukowe zaczęło dominować nad popularyzatorskim. Pisząc do koleżanki ze studiów polonistycznych – Józefy Hennelowej, redaktorki „Tygodnika Powszechnego”, ubolewała, że brakuje jej czasu na „pisarstwo dla ludu” i planowała, że „już na emeryturze” do tej formy pisania powróci. Marzyło się jej też napisanie dwóch powieści. Biograficznej: *Żywot i sprawy Stanisława Pigionia* (miała już skompletowane materiały), a także sagi rodziny górnośląskiej sięgającej końca XVIII wieku.

Za jej pierwsze opracowanie naukowe *sensu stricto* można uznać polemiczny wobec ustaleń Witolda Nawrockiego artykuł o autorstwie tekstów poetyckich Juliusza i Jana Ligonistów, używających tych samych kryptonimów „J.L.”, ogłoszony w 1963 r. w „Zaraniu Śląskim” – ujawnił on nerw polemiczny i pasję dyskusyjną badaczki. Natomiast z inspiracji prof. Pigionia napisała w 1964 r. dwie rozprawy: *Listy Gustawa Morcinka do Władysława Orkana i Nieznana odezwa śląska Marii Konopnickiej*. Cenny był zwłaszcza tekst o Orkanie, gdyż rzucał on światło na rozwój twórczy Morcinka oraz pokazywał zasięg oddziaływania autora *Komorników*. Teraz pracowała szybko i intensywnie. W latach 1964–1967 opracowała wiele ważnych zagadnień, jednym z nich było stworzenie katalogu polskich pieśni i śpiewników zakazanych na Śląsku. Dokonała celnej analizy polskich pieśni patriotycznych od czasów Legionów Dąbrowskiego aż do Powstania Styczniowego, które znalazły się na liście „zakazanych piosenek” (czy najbardziej lubianych) ustalonej przez władze pruskie, wskazując zarazem, co w ich treści mogło niepokoić. Następnie opracowała śpiewniki „towarzyskie” popularne na Górnym Śląsku i ich repertuar. Po roku 1968 powróciła do pracy nad rodziną Ligonistów, która obecna była w jej warsztacie badawczym aż do końca życia. Wtedy żyły jeszcze wszystkie córki Stanisława Ligonია: Irena, Helena, Wanda, Stanisława, Krystyna; Kucianka była częstym gościem w rodzinnym

domu Ligoniów przy ul. bpa Lisieckiego (obecnie Szeligiewicza), gdzie znajdowało się archiwum Ligoniów i prawdziwa kopalnia materiałów. Czuła się tam jak we własnym domu, zawsze niecierpliwie czekano (z dobrym obiadem) na jej przybycie. Badania nad spuścizną Jana Ligonia (1851–1917) otwierały zagadnienie „kręgu drugiej generacji pisarzy ludowych, do którego wchodził twórca urodzeni w drugiej połowie XIX wieku”. Obszernie opracowywała tematykę teatrów amatorskich na Śląsku, interesowały ją również biblioteki oraz śląska prasa. Można przypuszczać, że miała zamiar stworzyć także antologię śląskiej samorodnej twórczości scenopisarskiej, pominiętej w rozprawie doktorskiej. Miały to być szeroko zakrojone badania, prowadzone według poszczególnych miejscowości, poczynając od Królewskiej Huty i Siemianowic. Można sądzić, że zmierzała do syntezy zagadnienia, do opisanego całokształtu życia kulturalnego na Śląsku w XIX i początkach XX wieku.

Już po doktoracie w roku 1968 wydała we wrocławskim Ossolineum opartą na dysertacji doktorskiej książkę: *Śląscy pisarze ludowi 1800–1914. Antologia, poezji i prozy*. Składała się ona z dwóch części: wstępu stanowiącego jednocześnie omówienie zagadnienia i antologii będącej wyborem tekstów 26 śląskich samorodnych pisarzy ludowych. Ze względu na ściśle ograniczoną objętość antologii musiała zrezygnować z twórczości okresu powstań i plebiscytu na Śląsku, co trzeba uznać dzisiaj za wielką stratę. Wyczerpująca analiza kontekstu politycznego i szerokie tło kulturowe dodawały książce wartości. W liście do ówczesnego dziekana Wydziału Humanistycznego, Zbigniewa Jerzego Nowaka, zwracał się prof. Stanisław Pigoń z apelem do władz Katowic o uhonorowanie dzieła Kucianki jakąś nagrodą – ale takich dokonań naukowych tu nie nagradzano. Prof. Pigoń zapewne nie wiedział, jakie emocje osoba i działalność badaczki budziły w „opiekunach” z bezpieki; gdyby wiedział z takim apelem by nie wystąpił.

Zagadnieniem śląskim miała też być poświęcona rozprawa habilitacyjna Jadwigi Kucianki na temat: *Obraz Śląska w oczach podróżników polskich XVIII i XIX wieku*, uczona dotarła również do wielu nieznanymi relacji rękopiśmiennych. Konspekt rozprawy, dokładny i szczegółowy, wraz z opinią profesora Pigionia zachowały się w archiwaliach po Jadwidze Kuciance. Świadczą one, że w zamiarach uczoney było ukazanie „[...] osiemnasto – i dziewiętnastowiecz-

nego „Śląska pod względem społecznym, ekonomicznym, politycznym i kulturalnym, jak on się odsłania poprzez relacje ówczesnych podróżników polskich, przy czym szczególnie wyeksponowane zostaną problemy narodowe, świadczące o polskości tych ziem tudzież polityczne, ujawniające warunki jej utrzymania. Ważność zagadnienia wyznacza sama tematyka oraz fakt, że w badaniach dotychczasowych nie zostało ono kompleksowo ujęte. O jego nowości świadczy między innymi i to, że znaczny zespół materiałów źródłowych stanowią rękopisy dotąd nie publikowane lub znane tylko we fragmentach” – pisał cytowany już prof. Pigoń. Zasięg terytorialny planowanego opracowania obejmował cały historyczny Śląsk, a więc zarówno Śląsk Górny, jak i Dolny. Bibliografia wykazywała ponad 60 pisarzy. Powstał także plan szczegółowy rozprawy i zarys poszczególnych rozdziałów. Prowadziła bardzo rozległe kweryndy docierając do zaskakujących odkryć. Cała dokumentacja rozprawy w chwili śmierci autorki w 1970 roku znajdowała się w aktach Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego.

W roku 1974 nakładem Ossolineum ukazała się książka Andrzeja Zielińskiego zatytułowana *Polskie podróże po Śląsku w XVIII i XIX wieku*, w której czytamy: „Na tym miejscu godzi się także poinformować czytelnika, że inicjatywa opracowania antologii wyszła od dr Jadwigi Kucianki z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Tragiczna śmierć nie pozwoliła jej dokonać zamierzonego dzieła”. Nie będziemy stawiać pytania, jak owe materiały trafiły do Andrzeja Zielińskiego.

\*\*\*

W dniu 4 marca 1970 roku, wieczorem, wracając do domu z posiedzenia Rady Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego, Kucianka została okrutnie zamordowana przez Zdzisława Marchwickiego w pobliżu budynku Telewizji katowickiej, zamieszany był tę zbrodnię także Jan Marchwicki, kierownik dziekanatu Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego, znany ze skłonności do łapówkarstwa. Najjutrz przeprowadzono rewizję w jej mieszkaniu poszukując prohibitów! Jednym z ostatnich listów, jaki otrzymała, była prośba prof. Doroty Si-



monides z Opola, aktualnie zbierającej legendy miejskie o tzw. „wampirze” – o zapisywanie wszystkiego, co ludzie opowiadają o tzw. „wampirze”, grasującym na Śląsku i w Zagłębiu. Po śmierci Kucianki, prośba ta nabrała dramatycznego wydźwięku.

Ta nieprawdopodobna tragedia wstrząsnęła Katowicami, a zwłaszcza środowiskiem akademickim, profesor Zaremba zaniemówił, ktoś inny ostrzegwał środowisko, że lepiej na ten temat „nie rozmawiać”. Pogrzeb 12 marca 1970 roku z Katedry Chrystusa Króla w Katowicach ściągnął tłumy; część przyszła, by pożegnać z bólem badaczkę i oddać hołd jej pamięci, niektórzy z ciekawości, a byli i tacy, którzy przyszli „służbowo” i nie było ich mało! Obserwowali oni bacznie całą ceremonię. W sposób docieklivy przeanalizowano homilię pogrzebową ks. Józefa Gawora i wystąpienie bpa Bednorza. Policzone ilości wieńców i wiązanek, i osób. Stwierdzono, że uczestniczyło 60 księży, w tym biskupi Juliusz Bieniek i Herbert Bednorz, 30 zakonnic, 10 kleryków i trzy tysiące osób, z czego 30% stanowiła młodzież. Z akt SB możemy się też dowiedzieć, że na cmentarzu 3 minuty przemawiał dawny kapelan akademicki – ks. Czesław Domin – a cała uroczystość pogrzebowa trwała godzinę i 40 minut.

Grób dr Jadwigi Kucianki znajduje się na cmentarzu przy ulicy Henryka Sienkiewicza, a obecnie opiekuje się nim młodzież studencka z Fundacji Dzieło Nowego Tyśiąclecia.

# Startuje atleta w „cięższej zbroi”!

## Nowa edycja *Dzienników* Żeromskiego

JERZY PASZEK

W roku 2025 minie sto lat od daty śmierci Stefana Żeromskiego, więc najwyższy czas, by uhonorować tego znakomitego pisarza kolekcją jego dzieł, opracowaną na odpowiednim poziomie naukowym oraz (co wielu Czytelników niniejszego eseju pewnie zaskoczy!) **po raz pierwszy** opublikowaną w komplecie, bez pomijania niepoprawnych politycznie utworów i bez ingerencji w brzmienie wydawanych tekstów, a w tym eliminowanie poszczególnych słów, fraz, zdań bądź nawet akapitów czy stron. Nie będzie tu jedynie tekstów pobocznych, nie należących do głównego toku zwierzeń, czyli notowanych po rosyjsku wykładów z weterynarii czy z matematyki, a w tym różnych rachunków (co, jak wiadomo, ukazano w publikowanych ostatnio raptularzach Juliusza Słowackiego).

Wkraczamy już w piątą dekadę przygotowywania i prezentacji w 40 woluminach „Pisma zebrane” Żeromskiego: pierwszy z nich ukazał się jeszcze w roku 1981 (były to *Opowiadania* w oprac. Zdzisława Jerzego Adamczyka), a **ostatni** może wyjść dopiero po wydrukowaniu 7 tomów młodzieńczych notatek i wypisów (z dawnej literatury polskiej przede wszystkim), przynosząc m.in. nowo odkryte listy pisarza (nb. uzupełnienie tych opublikowanych już w t. 34–39 omawianej serii), jak i wszelkiego rodzaju sprostowania błędów druku (sam takowe wskazałem w *Szyfowych pracach, Popiołach* oraz *Wietrze od morza*).

Zmarł znakomity redaktor większości woluminów PZ (taki skrót przyjęto dla serii „Pisma zebrane”), prof. Zbigniew Goliński (1925–2008), a także dr Jerzy Kądziera (1927–1984), który od roku 1950 (pod kierunkiem prof. prof. Wacława Borowego, Stanisława Adamczewskiego i Stanisława Pignonia) przygotował pierwszą (1953–1956) i drugą (1963–1973) edycję *Dzienników*. Współczesnym kontynuatorem wymienionych badaczy jest Z.J. Adamczyk, który w polonistycznym kręgu uczonych z Kielc (Uniwersytet Jana Kochanowskiego) zespołowo sporządza wspomniane siedem tomów tych rewela-

cyjnych nie tylko dla Juliana Przybosa (piszącego w „Przeglądzie Kulturalnym” 1957, nr 40: „Przypuszczam, że w przyszłości czytać się będzie większość prozy powieściowej Żeromskiego jako odnośnik do jego *Dzienników*”), ale i dla Jarosława Iwaszkiewicza czy Marii Dąbrowskiej i wielu innych amatorów tej olśniewającej odwagą i świeżością spojrzenia sensacji literackiej drugiej połowy XX wieku.

Na czym polega istotna przewaga nowego wydania tych raptularzy (by przywołać trafną tytulaturę dwu opublikowanych notatników wieszca Słowackiego, pisanych i rysowanych „na gorąco” podczas jego podróży na Wschód) nad dwiema wcześniejszymi próbami edytorskimi? Będzie w tych tomach po raz pierwszy zreprodukowany cały tekst literacki *Dzienników*; dodają epitet „literacki”, gdyż nowa seria nie obejmie takich wtętoń, jak prowadzone po rosyjsku wykłady weterynaryjne czy też dywagacje algebraiczne i rachunkowe, jakże zapóźnionego w matematyce ucznia). Dla wygody mniej przygotowanych Czytelników tomy 27–33 PZ wzbogacono o wyjątkowo obszerny komentarz, dotyczący historycznych, kul-

turalnych i obyczajowych realiów epoki kończącego się XIX wieku. Tu dużym ułatwieniem lektury będzie zaprezentowanie w całości wypisów Żeromskiego z czytanej przezeń zachłannie literatury romantyzmu i współczesnej mu, pozytywistycznej. Przykładowo, przytoczony zostanie cały tekst *Snu Cezary* Zygmunta Krasińskiego, który pomijano w poprzednich edycjach, a nie jest to łatwa do zrozumienia (i odszukania) proza poeticka, zawierająca już w tytule zagadkę, bo wcale nie chodzi o kobietę Cezarę, lecz mężczyznę Cezarego, noszącego obce imię, mające w mianowniku postać „Cezara”...

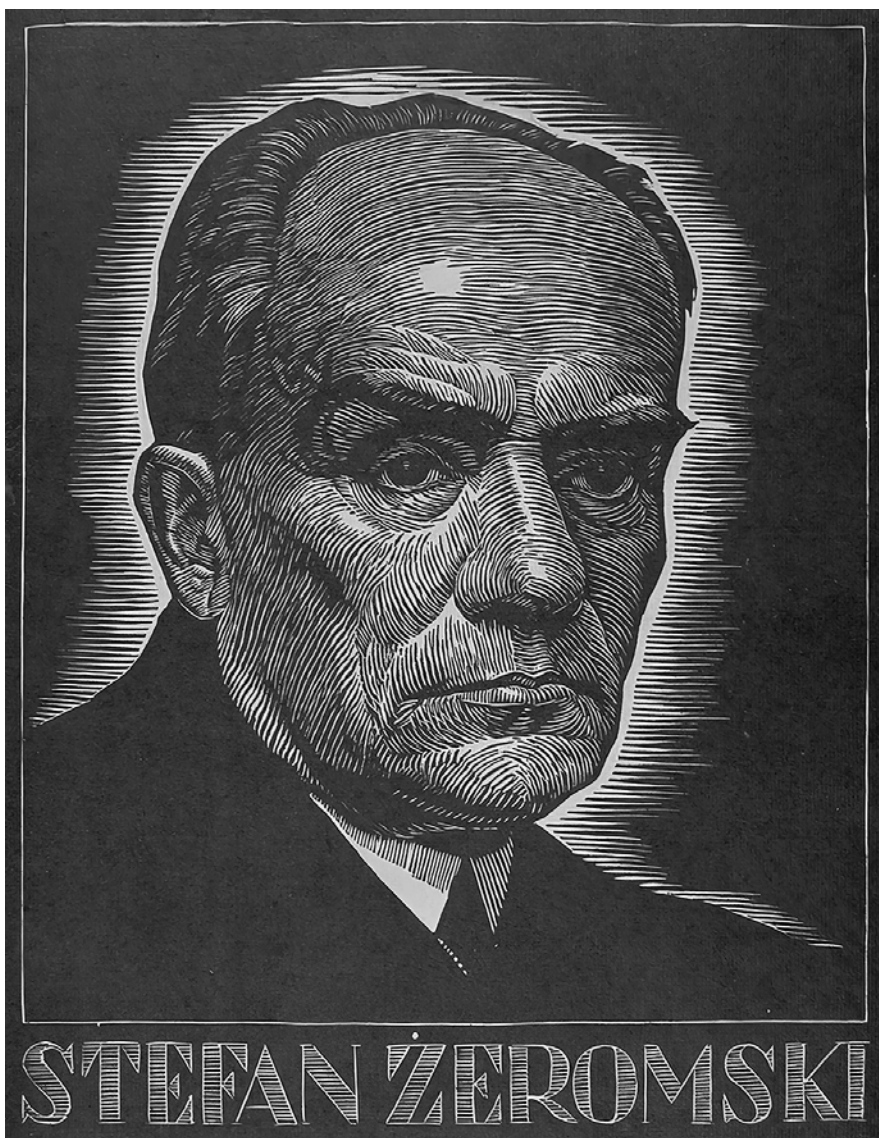
O pasji encyklopedycznej wydawców (głównie Z.J. Adamczyka) świadczy trud poszukiwań danych biograficznych, obejmujących wszystkie wymieniane w notatkach osoby; i tak powszechnie znane (np. prof. Antoni Gustaw Bem, noszący oryginalny i znany w 20-leciu międzywojennym pseudonim Sławój, bądź rewolucjonista Jan Wacław Machajski), jak i zupełnie po 100 latach (tyle bowiem trwa pamięć po przeciętnym człowieku!) zapomniane. Łątwo popisywać się wiedzą o kimś, kto otrzymał swoje hasło w „Polskim słowniku biograficznym” (skrót PSB), czyli np. prof. A.G. Bem, Tadeusz Ruśkiewicz czy Antoni Schmidt, ale ogromnie trudno odszukać metryki urodzin, dokumenty dotyczące ślubów i zgonów tych osób, które wiodły zwyczajny żywot na prowincji (co też jest ważne, bo w gazetach warszawskich zamieszczano więcej nekrologów niż w czasopiśmie kieleckich). Niechaj za przykład posłuży moja własna przygoda z fotografią matki Żeromskiego: pisząc w roku 2001 biografię pisarza dla serii „A to Polska właśnie” byłem przekonany, iż takowa fotka nie istnieje; okazało się wkrótce (gdy wyszedł tom Kazimierzy Zapalowej *Rodzina Stefana Żeromskiego w Świętokrzyskiem*, Kielce 2003), że się myliłem, bo w ostatniej chwili dodano do drukującej się książki fotografię matki razem z ojcem pisarza, a to w finalnym rozdziale pt. *Uśmiech losu* (na s. 319), nb. na dodanej do tomu zakładce widnieje „fotografia Stefana Żerom-



skiego z okresu kurozwęcko-chmielnicko-oleśnickiego”, na której syn jest bardzo podobny do matki, zaprezentowanej pierwszy raz w tej właśnie cennej pracy biograficznej.

Tom siódmy *Dzienników* w oprac. Jerzego Kądzieli (Warszawa 1970) nosi podtytuł: *Przypisy – Słowniki – Skorowidze*, czyli jest uzupełnieniem 6 poprzednio opublikowanych notesów w serii „Dzieł” pod redakcją Stanisława Pignonia; nie dotyczy, oczywiście, wydanego dopiero w 1973 roku *Dzienników tomu odnalezionego*. Aby wykazać przewagę ilościową i jakościową nowego projektu badawczego mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, iż *Słownik nazwisk* u Kądzieli (a są tu jeszcze dwa rejestry i pomoce encyklopedyczne: *Słownik nazw geograficznych* oraz *Wykaz czasopism*) jest o wiele krótszy od *Słownika biografów*, dołączonego do woluminu w oprac. Z.J. Adamczyka i Beaty Utkowskiej. Jeśli bowiem Kądziała na 37 stronicach (od 449 do 586) charakteryzuje osoby, które pojawiają się w sześciu tomach raptularza, to Adamczyk i Utkowska tylko dla swojego pierwszego tomu potrzebują aż ok. 60 stronic (wydruk petitowy zajmuje s. 390–422); trzeba dodać, iż w 27 tomie PZ umieszczono dwa zeszyty notatek Żeromskiego, a w tymże tomie u Kądzieli, gdzie *Przedmowa* jest kilka razy krótsza niż *Wstęp* Adamczyka (mamy tu 116 stronic druku petitowego, czyli ponad 200 stronic formatu serii PZ) zdołano objąć trzy tomiki omawianego raptularza.

Jest to kwestia gabarytów, wymiarów ilościowych nowego przedsięwzięcia uczonych filologów. A pozostaje sprawa jakościowa, czyli szczegółowość i pojemność informacyjna tych biograficznych dociekań. Mogę zestawić dwa hasła, dotyczące życia jednego ucznia. U Kądzieli o Stanisławie **Chonowskim** czytamy: „zwany Chuniorem, kolega szkolny Żeromskiego, absolwent gimnazjum kieleckiego z r. 1885, studiował medycynę na Uniwersytecie Warszawskim; w latach studenckich przez pewien czas mieszkał razem z Żeromskim; potem został lekarzem”. A u badaczy z Kielc widzimy istotny postęp detektywistycznego śledztwa: „**Honowski Stanisław** (w metryce Stanisław Piotr), ur. 21.02.1865 w Busku, syn Feliksa, felczera, oraz Marianny z Krzyżanowskich, po ukończeniu w r. 1885 gimnazjum kieleckiego studiował w Warszawie medycynę, przez pewien czas wspólnie z Żeromskim wynajmowali wówczas pokój. Po ukończeniu studiów przez kilka lat pracował w Zwoleniu, specjalizując się w ginekologii i położnictwie; w latach 1898–1900 opublikował w czasopiśmie lekarskich kilka artykułów poświęconych położnictwu; podpisywał je jako Stanisław Honowski ze Zwolenia. W dniu 14.10.1897



poślubił w Warszawie osiemnastoletnią Marię Emilię Wietrzykowską, córkę Franciszka i Amalii z Buchnerów; w akcie małżeństwa zapisany jest również jako Stanisław Piotr Honowski, lekarz ze Zwolenia. Piotr Szarejko w tomie IV *Słownika lekarzy polskich XIX wieku* informuje, iż w latach 1905–1906 Honowski prowadził praktykę lekarską w Busku, a w roku 1913 w Warszawie. Późniejszych jego losów nie udało się poznać”.

Takie komparatystyczne paralele wykazują, jak doba Internetu (i benedyktyńska pasja poszukiwań materiałów po oddalonych od siebie miejscach, często w małych parafiach) przynosi postęp w pracach biografów, zajmujących się przełomem XIX i XX wieku. Sto lat, jakie minęło w roku 1964 od chwili urodzenia pisarza i jego gimnazjalnych kolegów, nie zamazało zupełnie tego pokolenia, stającego do odbudowy odrodzonej ojczyzny. Inaczej będziemy czytać raptularz Żeromskiego, przypatrując się dokładniej jego środowisku, dzięki omawianej edycji *Dzienników*. Dla filologów pozostają takie smakowite delika-

tesy, jak odkrycie opuszczanych dotąd fragmentów niepoprawnych politycznie (bo ZSRR broniło godności i praworządności Rosji carskiej!) lub tych, które podejrzewano o pornografię: dochodziło do tego, iż zdania z erotycznych sonetów Mickiewicza (np. „Daj mi pierś ucałować. – Dobranoc, zapięta!”) również – na wszelki wypadek – były eliminowane. O tych pominięciach szeroko pisze we *Wstępie* Z.J. Adamczyk (i chwala mu za to!). Czy filolodzy zdążą do roku jubileuszu 100-lecia śmierci pisarza dokończyć – co dopiero wszczęte – zbożne dzieło? Nie wypada mi na cztery czy nawet pięć lat przed tym terminem powątpiewać w ich oczekiwany przez wielu sukces! Ile to radości braciom filologom – tak lingwistom, jak i literaturoznawcom – przyniosą te opasle i grubaśne woluminy. Teraz więc czas przypasać im czy przyoblec siedmiomilowe buty, by owe siedem (wedle autora *Popiołów* zawsze: siedm!) tomów dogonić i okiełznać, przyszpilić uczonymi przypisami i pomocnymi objaśnieniami, w świecie kończącej się Ery Gutenberga...

Zdaniem: „[...] nie mam dość śliny w ustach, by splunąć” – Paweł Sołtys kończył zbiór opowiadań *Mikrotyki*, narkotyczną opowieść o strzępkach wspomnień, o ludziach usytuowanych poza marginesami historii oraz o przestrzeniach „mikro”, których już nie ma, albo są przysłonięte przez otumaniającą zwyczajność, uzależniającą codzienność. Chciałoby się stwierdzić, że mamy do czynienia z pisarską realizacją krząctwa, którą zajmująco opisuje Jolanta Brach-Czaina w *Szczelinach istnienia*: „Jeśli trudno nam dostrzec ukształtowanie dramatyczne codzienności, bierze się to z ciężeniem umysłowego nawyku, by szukać go w zdarzeniach niezwykłych. Tymczasem dramatyczność formułuje podstawy istnienia i przede wszystkim kształtuje codzienność. Trzeba jedynie wyzbyć się przesądów intelektu, by zobaczyć ją w drobiazgach istnienia”.

Owe wyzbycie się przesądu intelektualnego wyraźnie widoczne jest w otwierającym *Nieradość* opowiadaniu *Raz*. Seria pytań pojawiająca się w pierwszym akapicie, sugeruje zawieszenie możliwości pozytywnego poznania, wynikającego z doświadczenia oraz sądów opartych na empirii: „Co ty wiesz o tym? Co ty o tym wiesz? No co? Otóż nie możesz wiedzieć nic”. Dla pisarza zwrot ku codzienności nacechowany jest pesymistycznie, polega on jedynie na beznamiętnej obserwacji, uniemożliwiającej dotarcie do jakiegokolwiek wiedzy o istnieniu. Być może dlatego, że rzeczywistość pozostawia gorzki posmak, a mijając wydarzenia wysuszają usta, pozwalając zaledwie wypłuć kilka pytań i rozczarowującą odpowiedź. Absolutny brak sił – przejawiający się również umiarkowanie w *Mikrotykach* – patronuje nowemu zbiorowi opowiadań Pawła Sołtysa. W konsekwencji tekst się rozpada, płacze i załamuje, narracja jest nierównomierna, szczątkowa.

*Nieradość* to zabawa, w której zostaje wyrażony sprzeciw wobec rozpadającej się rzeczywistości, to układanie w całość rozproszonych wspomnień, to smutek dziecka na widok niestabilnej wieży z klocków... Nie bez powodu w przywoływanym już opowiadaniu *Raz* padają słowa: „[...] nic więcej dla ciebie nie mam prócz tych gierek tutaj”. Zabawa ta odbywa się zawsze na serio, jest pełna zaangażowania. Sołtys podąża za Freudem, który w artykule *Pisarz a fantazjowanie* błyskotliwie zauważa: „Przeciwieństwem zabawy nie jest powaga, lecz rzeczywistość. Dziecko – mimo całego zaangażowania uczuciowego – bardzo dobrze odróżnia świat swojej zabawy od rzeczywistości [...]”. Jednakże, proces konstrukcji nigdy nie może się skończyć, struktura za każdym razem się rozpada i trzeba zaczynać od nowa, zdając sobie sprawę z beznadziejnego położenia: „Po co to zresztą porządkować?”. Fragmentaryczność poszczególnych opowiadań, ich wewnętrzne nieuporządkowanie dodatkowo podkreśla rozpad umysłu (o ile nie rozkład w przestrzeni i czasie: „Cały czas czuję się akapit temu”), będącego w stanie niestannego poszukiwania zadawalającej konfiguracji wspomnień i resztek świadomości: „Mam dziś wiele imion, byłem już swoim ojcem, dziadkiem – czyli mężem Grażyny, wujkiem – czyli jej synem, a nawet, o dziwo, kobietami: moją matką – jej cór-

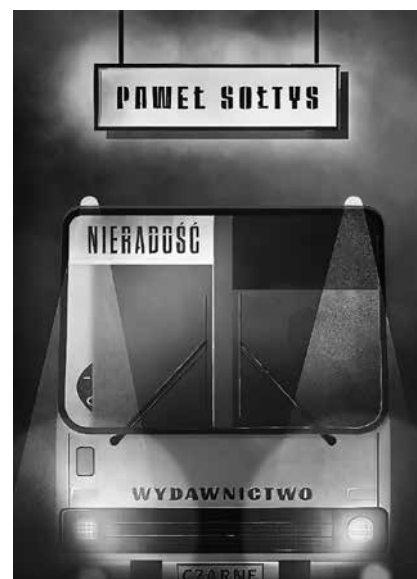
# Dzieci i obłąkani

KSIAŻKI

ką, jedną z siostr oraz parę razy kimś, kogo nie udało mi się rozpoznać”.

Słowo nieradość uznaje się za błąd gramatyczny, a jednak... usuwa wyrwę, łagodzi rozdarcie, zabliznia rany, lecz jednocześnie nie pozwala o nich zapomnieć. Nieradość stanowi zatem formułę łączącą i dzielącą. W dwudziestu pięciu, przeważnie krótkich, kilkustronicowych opowiadaniach (podobnie jak w *Mikrotykach*) Sołtys wiąże z sobą wspomnienia, historie i doświadczenia ludzi starszych, schorowanych, umierających, kalekich, jak również alkoholików i dzieci. Mówiąc ogólniej: tych wszystkich, którzy nie stanowią współcześnie dominującego wzorca kobiety i mężczyzny; tych, którzy zostali usytuowani na obrzeżach współczesnej kultury i obowiązujących ideologii; tych, którzy nie potrafili się odnaleźć w rzeczywistości, bo z powodu wieku, stanu zdrowia, statusu materialnego, czy preferencji seksualnych zostali wykluczeni ze swoich historii. *Nieradość* próbuje im te historie przywrócić, chociaż na chwilę przywołać o nich pamięć. Ludzie, o których mowa w opowiadaniach zjawiają się przede wszystkim w przestrzeniach zwykłej egzystencji, tak samo niezauważalnych jak oni: podupadających knajpach, pamiętających czasy przedtransformacyjne, szpitalach, starych domach, na brudnych ulicach oraz peryferiach miast. Tematyka eksplorowana w prozie Sołtysa była już nieraz poruszana w rozmaitych tekstach. Tym razem jednak zastosowana przez twórcę poetyka i przyjęta przez niego perspektywa narracji sprawia, że marginesy (obrzeża) społeczeństwa zyskują świeże przedstawienie oraz inne znaczenie. Autor nie moralizuje, unika oceniania. Obserwowana w *Nieradości* codzienność jest opisywania beznamiętnie. W jej przedstawieniach wyraźnie pobrzmiewają smutek i rozczarowanie, wyrażające brak siły i brak śliny.

Tytułowy neologizm wypełnia przestrzeń między dwoma innymi słowami, tworzącymi z nimi trójdzielny układ: szczęście – nieradość – nieszczęście. Przedstawione równanie trzeba rozwikłać. Przeciwieństwem szczęścia jest nie-



BARTŁOMIEJ BIELAS

szczęście. Znaczenia tych słów użytkownik języka polskiego intuicyjnie rozpoznaje i potrafi przypisać im odrębne konotacje. Inaczej sytuacja przedstawia się z wyrazem radość. Trudno znaleźć jego przeciwieństwo, rzeczownik, który byłby zbudowany na tym samym temacie. Możliwe jest tylko opisowe jej zanegowanie – na przykład, jak mówi ludowe porzekadło: „starość nie radość”. Nieradość nie jest jednak ani radością, ani nie radością. Jest stanem pomiędzy, stanem zawieszenia. Wspomniane równanie można by zmodyfikować w następujący sposób: radość – nieradość – nie radość. Podsumowując, pojęcie zaproponowane przez Sołtysa znaczy tyle, co niewzruszoność, grecka ataraksja, pewna równowaga ducha, spokój wewnętrzny, stan, który był pożądanym przez Epikura: „Tylko w przyjemności negatywnej przy braku potrzeb, człowiek jest zupełnie wolny od cierpienia. Gdzie zaś są potrzeby, tam zawsze grozi ich niezaspokojenie; a samo zaspokojanie związane jest z cierpieniem. »Najwięcej przyjemności ma ten, kto ma najmniej potrzeb«”. *Nieradość* jest nieśmiałą próbą zaproszenia czytelnika do przeżywania i odczuwania świata w myśl etyki epikurejskiej, w której nawet najtragiczniejsze wydarzenia uważane są za konieczne. Jednak – podkreślmy – nie oznacza to braku empatii oraz serdeczności autora... Oznacza raczej przeświadczenie, że od sytuacji granicznych nie można uciec.

Alfred Döblin opisał niegdyś swoją etyczną i artystyczną postawę słowami: „Oprócz roślin, drzew i kamieni mogą znieść tylko dwie kategorie ludzi: mianowicie dzieci i obłąkanych. Ich zawsze kochałem naprawdę”. Wydaje się, że dla Pawła Sołtysa tak samo istotni są ludzie, którzy nie mogą świadczyć za siebie, których głosów nigdzie nie sływać... ■

**Paweł Sołtys: *Nieradość*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, 176 s.**



Mimo że reportaż biograficzny Natalii Budzyńskiej oddziaływać ma na emocje, co biorąc pod uwagę temat i szczegółowość opisów krzywd i cierpień, jakich doświadczyły dzieci poddawane eksperymentom polegającym na infekowaniu ich organizmów prątkami gruźlicy, jest w pełni uzasadnione, narracja o szafowaniu życiem najbardziej bezbronnych opiera się krzepiącej mocy kiczu. W przypadku historii opowiedzianej przez Budzyńską w formie reportażu, która bazuje zarówno na faktach (na podziw zasługuje chęć dotarcia autorki do wszystkich dokumentów, jakie dotyczą Trzebinskiego), jak i na fikcji literackiej, identyfikacja z ofiarami była z pewnością dużą pokusą, jednak reportażystce udało się zapobiec empatycznej identyfikacji, która polega na ekspozycji własnych emocji i cierpienia.

Autorka z pietyzmem rekonstruuje losy Trzebinskiego, a także kolejne stopnie jego kariery. Ze względu na profesję wuja, będącego lekarzem w Auschwitzu i Neuengamme, Budzyńska szczegółowo opisuje codzienność kadry lekarskiej w obozach koncentracyjnych, a także procedury operacji T4 – mordowania umyślowo chorych, a także proces Trzebinskiego, który mimo chęci zjednania sobie prokuratora podczas procesu załogi obozu Neuengamme, okazał się oceniony surowo i poniósł karę za popełnione zbrodnie. Sprawiedliwość jako idea przyświecająca reportaży Budzyńskiej nie jest fetyszyzowana, co prawda udaje się skazać załogę obozu, jednak w czasie procesu okazuje się, że w czasie wojny lekarze nie leczyli, lecz wykorzystywali swoją pozycję do przeprowadzania niehumanitarnych badań gwarantujących im sławę i tytuły naukowe.

Budzyńska występuje w reportażu w podwójnej roli: rekonstruuje los chorych (w tym dwadzieściora dzieci, które na rozkaz Kurta Heissmeyera podlegały obserwacji po zainfekowaniu gruźlicą i wycięciu gruczołu pachowego) i mierzy się z wypartą historią gorliwego wyznawcy nazizmu, którym okazał się jej wuj. To nie pierwsza narracja autorstwa dzieci zbrodniarzy wojennych. Wystarczy wspomnieć o dwóch książkach Martina Pollacka: *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu* oraz *Kobieta bez grobu. Historia mojej ciotki*. Obie dotyczą nazistowskiej przeszłości członków (dziadka i ojca) Pollacka. O krzywdach wyrządzonych ofiarom opowiada potomek sprawców, natomiast w reportażu Budzyńskiej potomkinią, która decyduje się na wyznanie win wuja i rekonstruowanie jego toku myślenia (na podstawie zachowanego pamiętnika), jest Polka. Jej narodowość komplikuje dotychczasowy sposób myślenia Polaków o krzywdzie, oparty na przekonaniu o ponadprzeciętnej martyrologii i opresyjności okupanta względem polskiego społeczeństwa. Budzyńska postuluje przeprocowanie innych scenariuszy wojennych i uwzględnienie faktu, że w rodzinie, w której wychowali się patrioci (Trzebinski chciał ten fakt wykorzystać w prowadzonym przeciwko niemu postępowaniu), doszło do nieprawomyślnego wyboru kariery. Opowieść Budzyńskiej jest skoncentrowana równie mocno na samym Trzebinskim, jak i na procesie germanizacji „zwykłej wielkopolskiej rodziny” (s. 32). Wybory Trzebinskiego prowokują do zadania pytania o przekonania i możliwość samodzielnego myślenia: „On musiał naprawdę zatruć się tymi hasłami dotyczą-

# Nazistowskie ukąszenie lekarza

KSIAŻKI

cymi germańskiego pochodzenia, czystej nordyckiej krwi, uwierzyć w wymyśloną aryjskość i największego wroga ludzkości – żydობszewika” (s. 45). Tezę Budzyńskiej potwierdza gorliwość, z jaką rekonstruuował na potrzeby rekrutacji do SS własne drzewo genealogiczne w celu wykazania rasowości (przyznano mu kategorię drugą, na określenie której stosowano formułę: typ w przeważającej mierze nordycki). Wstępując do SS, akceptował antysemityzm, o czym świadczy jego kontakty z Heissmeyerem, który na pytanie o to, czy eksperymentowałby na dzieciach, gdyby były innej narodowości: „Odpowiedział, że on naprawdę wtedy uważał Żydów za istoty stojące niżej od zwierząt” (s. 67).

Zastanawiający jest fakt, że jego myślenie o zawodzie lekarza i powinnościach przedstawicieli tego zawodu uległo zmianie, mimo że postulował holistyczne i indywidualne podejście do każdego pacjenta. W Auschwitzu, Lublinie i Neuengamme przyglądał się cierpieniu więźniów, a także dopuścił się podania dzieciom podlegającym eksperymentom Heissmeyera morfiny, która prawdopodobnie je zabiła (czyn ten według Trzebinskiego miał świadczyć o jego wspaniałomyślności; alternatywą było powieszenie dzieci przy zachowaniu przez nie pełnej świadomości).

Materiał biograficzny dotyczący życia i kariery Trzebinskiego, jaki zebrała i opracowała Budzyńska, okazał się podstawą do napisania książki, w której możliwe stało się zgłębienie psychiki jednego z wielu lekarzy biorących udział w mordowaniu więźniów obozów koncentracyjnych. Zarówno jej sprawozdawcza forma, jak i fragmenty odautorskie, w których reporterka mierzy się z ambiwalentnymi uczuciami, zasługują na uznanie, ponieważ decyzje reporterki dotyczące stopnia „zanieczyszczenia” narracji fikcją mogły sprawić, że stałaby się ona kłiwą i płytka. Niewątpliwymi atutami reportażu *Dzieci nie płakały* są próba odkrycia motywacji Trzebinskiego i dyskretne towarzyszenie mu w przełomowych dla niego momentach (dzięki rekonstrukcji fak-



Natalia Budzyńska  
*Dzieci nie płakały*  
Historia mojego wuja Alfreda Trzebinskiego,  
lekarza SS

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

tów na podstawie wspomnianego pamiętnika) bez zbytniego eksponowania światopoglądu reporterki. Dopiero w epilogu wybrzmiewają w pełni emocje samej reporterki: „Było pusto, było cicho, a ja bardzo chciałam przytulić te dzieci. No bo co, cofnąć czas? Przepraszać? Odpokutować? Jak? Nie wiem, ale czasem myślę, że wystarczyłoby mi być tam z nimi wtedy, trzymać rękę, głaskać po głowie, rozmawiać. Teraz mogę tylko zrobić wszystko, żeby pamiętano ich imiona” (s. 367). Fragment ten poświadcza znaną w studiach nad ludobójstwami prawdę: dziecięce ofiary wojny są nieme, a próby identyfikacji ich personaliów często kończą się niepowodzeniem.

Być może najważniejszym fragmentem książki jest ten, w którym autorka odnotowuje momenty konfrontacji żyjących członków rodzin z informacjami o przyczynach śmierci dzieci, uznawanych do tej pory za zaginione. Budzyńska udowadnia, że dobry reporter potrafi poruszyć emocje czytelnika bez popadania w skrajności, a opowiedzenie losu dwadzieściora dzieci wymaga tyleż warsztatowej biegłości, co czułości, która nie przesłania jednak uniwersalnego komentarza: zło przyjmuje różne formy i infekuje nawet przedstawicieli zawodu predestynowanych do niesienia pomocy i wparcia. Choć teza o sile zła znana jest już z prac Hannah Arendt, Budzyńska przekonująco obala tę o niemożności wykonania rozkazów za cenę degradacji, uwięzienia lub śmierci rodziny nazistowskich bonzów. Tropiąc nazistowskie niekonsekwencje, ujawnia coś więcej: retoryczną sprawność sprawców i ich zatwardziałość, które pozwalały ludziom przeciętnym działać na rozległą skalę. ■

**Natalia Budzyńska: *Dzieci nie płakały. Historia mojego wuja Alfreda Trzebinskiego, lekarza SS.* Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, 391 s.**

**P**okora Szczepana Twardocha zawiera niemal wszystkie charakterystyczne elementy pisarstwa, do którego autor zdążył nas przyzwyczaić w swoich pięciu poprzednich utworach. Mamy więc głównego bohatera – mężczyznę, który nie jest do końca przekonany, kim jest naprawdę; świetnie opowiedzianą historię; przewijające się w tle ważne wydarzenia historyczne, i – oczywiście – tradycyjną śląską rodzinę z ojcem-górnikiem. Wielbiciele pisarza mogą być jednak rozczarowani prozaicznością narracji. Mamy tutaj bowiem do czynienia z apostrofą głównego bohatera, tytułowego Alojza Pokory, który najpierw sprawozdanie ze swojego życia kieruje do pierwszej ukochanej, by w połowie wypowiedzi zmienić adresatkę na żonę. Zatem w przeciwieństwie do *Dracha*, *Morfiny* czy *Króla*, gdzie narrator jest wszechwiedzący i opowiada o tym, co zdarzyło się przed narodzinami bohatera, o którym czytamy oraz co zdarzy się po jego śmierci, tutaj nasza percepcja ogranicza się do horyzontów poznawczych Pokory. Wypowiedź narratora jest również znacznie mniej odewana od tradycyjnego monologu. Nowością w *Pokorze*, moim zdaniem zdecydowanie na plus, są przypisy, w których autor tłumaczy dialogi toczone w języku niemieckim czy śląskim.

Jaki jest tytułowy Pokora? Gdyby trzymać się porównań najnowszej powieści Twardocha z jego wcześniejszymi dokonaniem, dostrzec można pewne *novum* w kreacji bohatera. O ile bowiem Kostek z *Morfiny*, Jakub z *Króla* i *Królestwa* czy też Josef z *Dracha* mają pewne doświadczenia seksualne, które zdają się poniekąd stanowić o ich męskości, o tyle Alojz doświadczenia te zyskuje później (opisane jest to dopiero w połowie powieści), nie korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji, gdyż zmęczone wojennymi doświadczeniami ciało mężczyzny nie reaguje tak, jak oczekuje tego niedoszła kochanka. Doświadczenia te nie czynią go jednak – zgodnie ze stereotypami męskości – pewnym siebie, twardym i zdecydowanym. Nie, Alojz do końca powieści tkwi w błędnych przekonaniach, raz po raz zmieniając swój stosunek do świata. Bohater ponadto – w przeciwieństwie do swoich poprzedników, nie odczuwa – jak pisał Krzysztof Uniłowski – „neurotycznej potrzeby udowodnienia sobie i wszystkim innym, że jest gościem nie od parady”. Wieloletnie doznawanie upokorzenia zdaje się sprawić nie tylko, że Alojz traktuje je jako nieunikniony element swojego życia, ale wręcz do nich dąży. W *Pokorze* nie mamy już mężczyzn upokarzających kobiety, lecz przeciwnie – to Alojz jest poniżany.

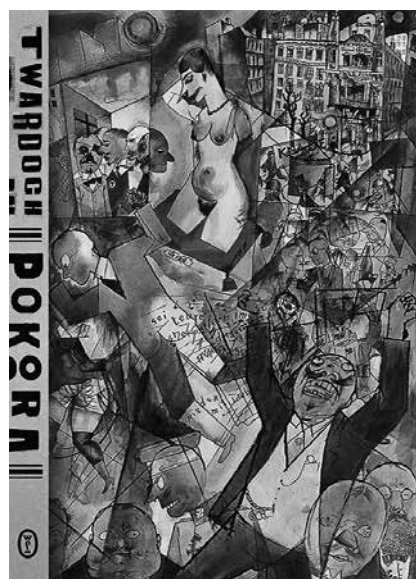
Nawiązując jednak do zmienności Alojza, w swojej powieści Szczepan Twardoch, jakby w odpowiedzi na zarzut Uniłowskiego o brak istotnej roli historii w życiu Magnorów, Gemanderów i Czoików, dzieje świata czyni jedną z sił twórczych losów Pokory. Przygody okołowojenne protagonisty Twardocha wydają się chwilami wręcz absurdalne, lecz nie są przez to ani trochę mniej wiarygodne. Ni-

# Przed sobą nie da się uciec

KSIAŻKI

czym Salomon Perel, niemiecki Żyd, o którego losach opowiada film *Europa, Europa* Agnieszki Holland, Alojz gnany przez wichry historii raz po raz zmienia stronę barykady, żeby móc ująć z życiem. Szukając innych literacko-filmowych paralel, młodego Pokorę przyrównać można by do Cezarego Baryki, obu bowiem powołanie do wojska przerywa studia, obaj również biorą udział w rewolucji komunistycznej, której ideały wydają się bohaterom bardzo bliskie, mimo tak różnego pochodzenia społecznego.

Nie jest natomiast niczym nowym determinizm, do którego Twardoch wraca w każdej powieści i w który wierzy, o czym zdążył mu się mówić publicznie. Przed genami nie ucieknie nikt. Niezależnie od tego, jak świetnie Alojz wykształcił się na berlińskiej uczelni, wciąż pozostanie jedynie biednym chłopaczkiem z wielodzietnej rodziny, wychowanym przez górnika. Ponadto, dzięki wykształceniu chłopak traci tożsamość – nie czuje się bowiem równy swoim bogatym kolegom ze studiów, choć już nie jest też jednym z synów Antona Pokory, którzy poszli w ślady ojca, zatrudnienie znajdując na kopalni. Niczym kwiaciarka Eliza z dramatu George’a Bernarda Shaw’a *Pigmalion*, Alojz traci jakiegokolwiek poczucie wspólnotowości, z czego – częściowo – wynikać może jego brak jakichkolwiek oporów przy zmienianiu orientacji politycznej. Alojz na swoje życie nie ma zresztą żadnego wpływu – rodzi się w górniczej rodzinie, ksiądz dostrzega jego talent, więc decyduje się wziąć go do siebie na kształcenie, a następnie opłacać szkoły i studia. Życiem protagonisty zdaje się sterować jakaś moc, której działania sam nie rozumie, zastanawiając się: „Czy chciałem pójść do gimnazjum, a potem studiować filozofię, wkuwać Greków u profesora Baumgartnera, czy chciałem całego tego życia, Agnes, które spadło na mnie za sprawą farorza Scholtisa? Nie chciałem wcale kupować ciemnego ubrania, stosownego do towarzyskich okazji, jednak musiałem, tak jak musiałem chadzać



EWELINA KAWKA

na wykłady, udzielać korepetycji, unieść się patriotycznie i wstąpić na ochotnika do wojska, ślubować kajzerowi, wystarać się o skierowanie na kurs oficerski” (s. 227).

Losom bohatera kieruje zatem jakaś forma przeznaczenia – wprowadzić pod postacią księdza Scholtisa, Agnes, „Chłopaczyska” itd. – jest to jednak moc, w starciu z którą Alojz okazuje się bezradny.

Ciekawym aspektem, niespotykanym dotychczas w twórczości Szczepana Twardocha jest przedstawienie mniejszości seksualnych. Niezwykłymi postaciami, jakie napotyka na swojej drodze młody Pokora są transpłciowe bliźnięta Salmakis, z którymi protagonista traci dziewictwo. Bliźnięta jednak, oprócz wprowadzenia Alojza w arkana seksualności, nie mają w *Pokorze* większej roli do odegrania. Nasuwa się więc pytanie – na ile postacie te znalazły się w powieści śląskiego pisarza zgodnie z jego planem, według którego tworzył fabułę, a na ile pojawienie się transpłciowych bliźniąt sprowokował koniunkturalizm Twardocha, który – niczym reżyserowie myślący poważnie o walce o Oscary – ma świadomość, że we współczesnej powieści mianującej się ważną, pewne tematy po prostu muszą się znaleźć.

Najnowsza powieść Szczepana Twardocha zawiera jednak to, czego każdy miłośnik literatury, nie tylko wielbiciel śląskiego powieściopisarza, od – mówiąc kolokwialnie – dobrej książki oczekuje: porywającą historię, podczas czytania której czytelnik po każdym zakończonym rozdziale zastanawia się – co będzie dalej, dochodząc nie spodziewanie do finału powieści. I wówczas może już tylko czekać na premierę kolejnego utworu, jaki napisze Twardoch. ■

**Szczepan Twardoch: Pokora. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, s. 515**

Tytułowe *Fermata* to wieloznaczne włoskie słowo. Do odkrycia jego przestrzeni posłużył mi „Tłumacz Google”. A oto co między innymi odkrył przede mną, ten być może nie najdoskonalszy, ale chyba za to ostatnio najpopularniejszy językowy pomocnik: „Blokowanie, zatrzymywanie poruszającego się obiektu, zwierzęcia lub pojazdu; odcisk, obraz w umyśle; zatrzymanie kogoś, spotykając się z nim, aby porozmawiać; potwierdzać; pozostać nieruchomo po wachaniu zwierzyzny, przestać się ruszać, iść do przodu, złapać oddech; powstrzymać się, zostać”. Sporo, a to tylko czasownikowa konotacja *Fermata*, która w dykcji muzycznej oznacza przedłużenie wartości nuty lub pauzy, zaś w rzeczownikowej konotacji języka potocznego jest po prostu „przystankiem”.

To właśnie semantyczne nasycenie tego słowa „usprawiedliwia” powierzenie mu tytułowej pieczy nad ostatnim tomem wierszy śląskiego poety Krystiana Gałuszki. Jego „przystanki” rozpoczynają się od włoskiej podróży *fermata italia*. To drugi trop związany z mianem tomiku. Tam tytuły wierszy mają jeszcze dopełnienia zaczerpnięte z topografii i historii apenińskiego buta: *amalfi*, *pompei*, *la capella sistina*., które w części drugiej zastąpią liczebny (jak to z przystankami bywa), by następnie przystanąć w *fermata chebzie* i zatrzymać się na stacjach *via dolorosa*.

Cztery kroki, cztery przystanki, cztery spojrzenia... Na marginesie części włoskiej dodam tylko jeszcze, że w Italii przystanek (a mam na myśli ten najpowszechniejszy, autobusowy) to zjawisko bez mała efemeryczne. Niczym nieoznaczony, jest po prostu tam, gdzie zbierają się ludzie. A jeżeli chcemy kupić bilet, czeka nas wędrówka po bistrach i barach w poszukiwaniu takowego. Mnie przez pół Palestriny, niczym labiryntem, prowadziła kelnerka. A co z innymi? Gdzie przystanąć, jak i kiedy? „u stóp zamku (rozpocznie się opowieść *fermata castel dell'ovo*) / niespiesznie smakujemy / pizze margherite / i jak? – pytam moją ukochaną / w oczach której błękit neapolu / staje się jeszcze bardziej / ona niespiesznie dotyka moją dłoń / a robi to ruchem nad wyraz / jakby nie chciała spłoszyć chwili”. Układ odniesienia rozpościera się więc między pięknem, miłością i czasem. Nie ma w sobie cierpkiego posmaku Wenecji Viscontiego, a słodkie uczucie bliskości i trwania w tu i teraz. Zagęście czasu i serca sprawia, że: „w cefalu / ajnfart prowadzi na plażę (...)” i nawet „poganiacz mułów (z *fermata pompeii*) niczym nike z samotarki / przekroczył bramę wieczności / zadamowił się w czasie / teraz i zawsze najsłynniejszy / poganiacz mułów / jak ty i ja”. Wszystko jest wielkie i małe zarazem (jak pisownia Gałuszkowych obrazów), zwyczajne i niezwykłe. Przytrzymane wiersze dyszą faustowską chwilą. Pachną słodko: błękitem thénarda, zachłannie „wymoszczone piśmem” i miłością: „przaja ci zonka”.

Kolejna numerowana od 1 do 12 sekwencja *Fermata* rozpocznie się prawie tym samym wstępem, „ajnfartem”, wejściem: „tak by można usiąść / niezobowiązująco / na ławeczce pod wiatą...”. W Chebziu znajdzie on swój śląski głos: „tak by się szło siedność / bez forsztelungu / na stolicy pod jatôm...”. Nawet niewprawne oko odbiorcy spoza Śląska spostrzeże nałożenie się kluczowych w poetyckiej dykcji „niezobowiązująco” i „bez forsztelungu”. Oba mówią o przyjętej po-

## Zadomowić się w czasie

KSIAŻKI

stawie, oczekiwaniach, nastawieniu. O ileż pojemniejszy dla uszu Ślązaka jest tu „forsztelung”. Tego: „nie idzie sie forsztelować” – właśnie. Mieni się o niczym włoska „fermata”. Jest połączeniem wyobraźni, zrozumienia z przecuciem i intuicją. To obraz, który ktoś tworzy w swoim umyśle, coś, co zyskuje, wyobrażając sobie coś w określony sposób: piękny, zabawny, okropny, zły, absurdalny, naiwny. Coś, co istnieje tylko w wyobraźni. Gałuszka siada więc, nie, lepiej powiedzieć – usadawia się na ławce, przyjmując postać obserwatora-poety: „pod pachą z pękatą książką wierszy (...) prawdziwy król siejacy”, pisze wiersz o tym, że „może lepiej nie napisać wiersza”, spogląda w oczy staruszce: „jak włosy siwe / zdaje się że cały błękit oddały dzieciom / synowi, który w Peru buduje drogi / i córce fryzjerce z dzielnicy obok”. Ot życie, można powtarzać we wszystkich językach świata, chociaż te słowiańskie są jakby bardziej czułe, a może się myłę, bo przecież króciutki i zwinne jak maźnięcie pędzlem wiersze Bashō Matsuo, służące jako dziecko o zarządcy prowincji Iga, w prefekturze Mie, w środkowej części wyspy Honsiu widać równie wyraźnie siedząc „na ławeczce pod wiatą”, co kota Söchrderingera stawiającego czas i bycie, a może odwrotnie, a niejaki zakłopotaniu.

I nagle Krystian Gałuszka przystaje zatopiony w śląskim biolo-modrym, Godulowym krajobrazie, rozfechtowany poetyckim zarem czyستم: „na gody, tak się wyłyż na śniyg / co suje gyno z góry / choby som świnynty dmuchōł / i óstawić te beblania / i colki krom / i ryncne wyćiōngnōć / jak izraelity na pustyni / a potem porzykać tak richtich / siedność się do wieczery i mieć rod / że je”.

Ale to przecież początek marzeń, tych narodzonych w Chebziu, gdzie nie mogą złapać tchu modro-żółte cugi, a „ślonsko godka” maluje swoim szmaragdowych, nieco „przimaraszonym” oddechem obrazy bliskie duszy i ciała, a: „... gryfno gerda / wylazi na lonka z cigōm / zbiyro mo-

Krystian  
Gałuszka

| F e r m a t a |



„Śląsk”



PIOTR SKOWRONEK

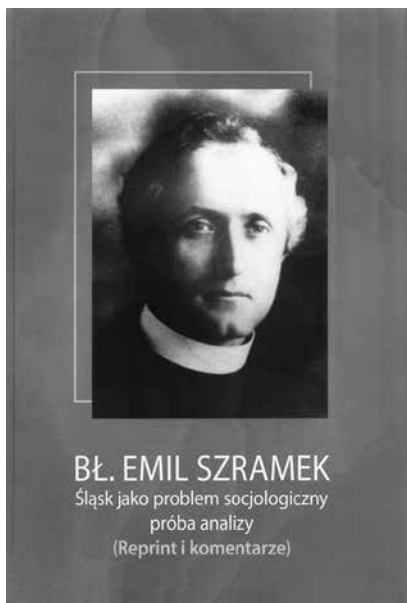
iki / bez klajdu ino w lajbiku / z kierego mlyczno cesta / ciōgnie człowieka do gwiazdów”.

Centrum wszechświata byłoby jednak jedynie witalnym pulsem, wsobnym drganiem bez stacji na Via Dolorosa, krwawych i mocnych, których ciężaru nie jest już w stanie utrzymać godka. Gałuszka wie o tym, wprowadzając nas na Jezusową drogę boleści i żalu – dolorosa – jak „śląskim psalmem” *Fermata* na zaś: „a kiejby się tak siedność / i przitulić licko do ponbōczka / i poczuc go / tak richtig do imyntu / i tak niy ruszać się / być tak być”. Rozważanie drogi krzyżowej, bo tym są w istocie wiersze czwartej części tomu, mają jednak różną konstrukcję poetycką. Liryka pośrednia z początku cyklu ustępuje miejsca bezpośredniej wprowadzając osobową kreację podmiotu lirycznego, który polifonicznie łączy w sobie nienazwanych jednak *expresis verbis* bohaterów tamtych wydarzeń: Jezusa, Szymona Cyrynejczyka i tym z Arymatei z ja lirycznym: „ze słowem otwartym (wyzna) / idę do ciebie matko / biegnę jak od zawsze / i choć w zakamarkach / świętego miasta Jeruzalem / znikam prowadzony na rzeź / to przecież dobrze wiesz / że nie kluczę i nie uciekam / lecz idę drogą prostą”.

Wiersze te mają wagę modlitwy pokreślonej dramatycznym wyznaniem ze *stacji XIII* „zaiste gdzie ja jestem, a gdzie ty”, a jednocześnie pozostają w religijnej refleksji otwarte i intymne zarazem.

Krystian Gałuszka wiedzie nas przez czule miejsca swoich poetyckich światów. Pozwala przysiąść. Pokazuje co widzi. Rozczula. Czerwona ławeczka, pod obolałym śląskim murem zachęca do siednycio, a poeta wstępem i jednocześnie epilogiem (tylna okładka) dodaje: „Dobrze sobie / usiąść przed drogą. Dobrze sobie / usiąść, aby iść”. ■

Krystian Gałuszka, *Fermata*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 2020, 68 s.



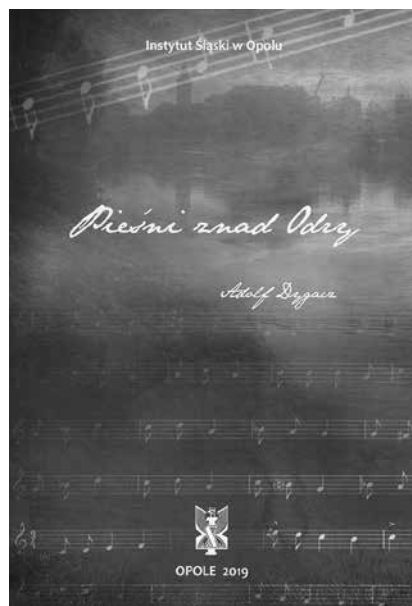
Bł. Emil Szramek, *Śląsk jako problem socjologiczny. Próba analizy (Reprint i komentarze)*. Wydawca: Księgarnia Św. Jacka, 2021.



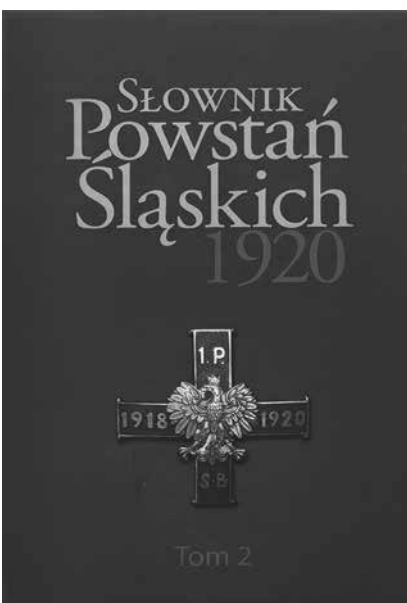
Alojzy Czech, *Profesorowie ekonomii politycznej w Katowicach w latach 1937-1969. Wybrane postaci*. Wydawca: Wydawnictwo Naukowe Akademii WSB, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne w Katowicach. Dąbrowa Górnicza, Katowice 2019.



Kamila Gęsikowska, Anna Gomółka, Adam Pisarek. *Kocynader. 50 lat*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, Chorzów 2020.



Adolf Dygacz, *Pieśni znad Odry*. Wydawca: Instytut Śląski w Opolu, Opole 2019.



*Słownik Powstań Śląskich. 1920. Tom 2*. Wydawca: Biblioteka Śląska w Katowicach, Instytut Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej, Katowice 2020.



Maciej Malinowski, *Kilka uwag na temat oboczności nieśpieszno (jak?), nie śpieszno (komu?) w Wielkim Słowniku Ortograficznym PWN*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2021



„Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka, 1/2021. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2021.

Światy poetyckie  
Genowefy  
Jakubowskiej-  
-Fijałkowskiej



Pod redakcją  
Joanny Kisiel i Katarzyny Niesporek

„Śląsk”

Światy poetyckie Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej. Pod redakcją Joanny Kisiel i Katarzyny Niesporek. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2021.

Światy poetyckie  
Stanisława  
Horaka



Pod redakcją  
Ewy Bartos i Mariana Kisiela

„Śląsk”

Światy poetyckie Stanisława Horaka. Pod redakcją Ewy Bartos i Mariana Kisiela. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2021.



Afront. Kwartalnik literacko-artystyczny nr 3 (12) 2020. Wydawca: Fundacja Kultury Afront, Bukowno 2020.



Sacrum i jego otoczka kulturowa w realiach górnośląskich. Między dawnymi a nowymi czasami. Pod redakcją Mariana Grzegorza Gerlicha. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2020.



Marek Meschnik, Fedruje – śląski krajobraz. Rafał Malczewski, Antoni Wiczorek, Jan Bułhak. Katalog wystawy. Wydawca: Muzeum w Gliwicach, Gliwice 2020.

# Sztuka w pandemii, odstępna I

MARIA KORUSIEWICZ

**P**andemia, czyli czas kryzysu. Dotyka naszej codzienności, spraw drobnych, indywidualnych i tych, które wpływają na losy całych społeczeństw. Niszczy przyzwyczajenia, tradycje, narusza poczucie bezpieczeństwa, zmienia widzenie. W takim czasie także sztuka wycofuje się w przestrzeń domu lub w przestrzeń wirtualną. Jednak nie jest to wzorzec jedyny. Niektórzy decydują się na działania przynoszące optymizm i sporo radości, tworząc na pandemicznej mapie miejsca „otwarte”, mimo że jest to otwarcie raczej metaforyczne niż to, do jakiego przywykliśmy w tak niedawnej „normalności”.

Jednym z takich miejsc jest galeria Bonk art Gallery utworzona na opolskim rynku w maju 2020, w środku pandemii, przez dwójkę artystów, Beate Bonk i Romana Schmeltera. Beata Bonk jest projektantką mody z własnymi kolekcjami, Roman Schmelter arty-



fol. Maria Korusiewicz

fol. Maria Korusiewicz



stą malarzem. Oboje po roku pracy są nadal pełni entuzjazmu i nadziei na powodzenie tego pomysłu.

Mimo że galeria jest niewielka i odległa od głównych ośrodków kultury, zdążyła przygotować dwie wystawy. Już w wrześniu udało się zorganizować wystawę indywidualną Jacka Rykały. Następny, dość szalony pomysłem było przygotowanie wystawy międzynarodowej grafiki. Odpowiedź środowiska była natychmiastowa, jak mówią właściciele galerii, „nikt z zaproszonych nie odmówił”, wszyscy zgodzili się udostępnić prace, więc plany wystawy rozrastały się z każdym dniem. Ostatecznie, podczas wernisazu, który odbył się 19 marca tego roku zostało zaprezentowanych ponad 200 grafik 30 artystów grafików z Polski i prawie całej Europy. Gratulujemy!



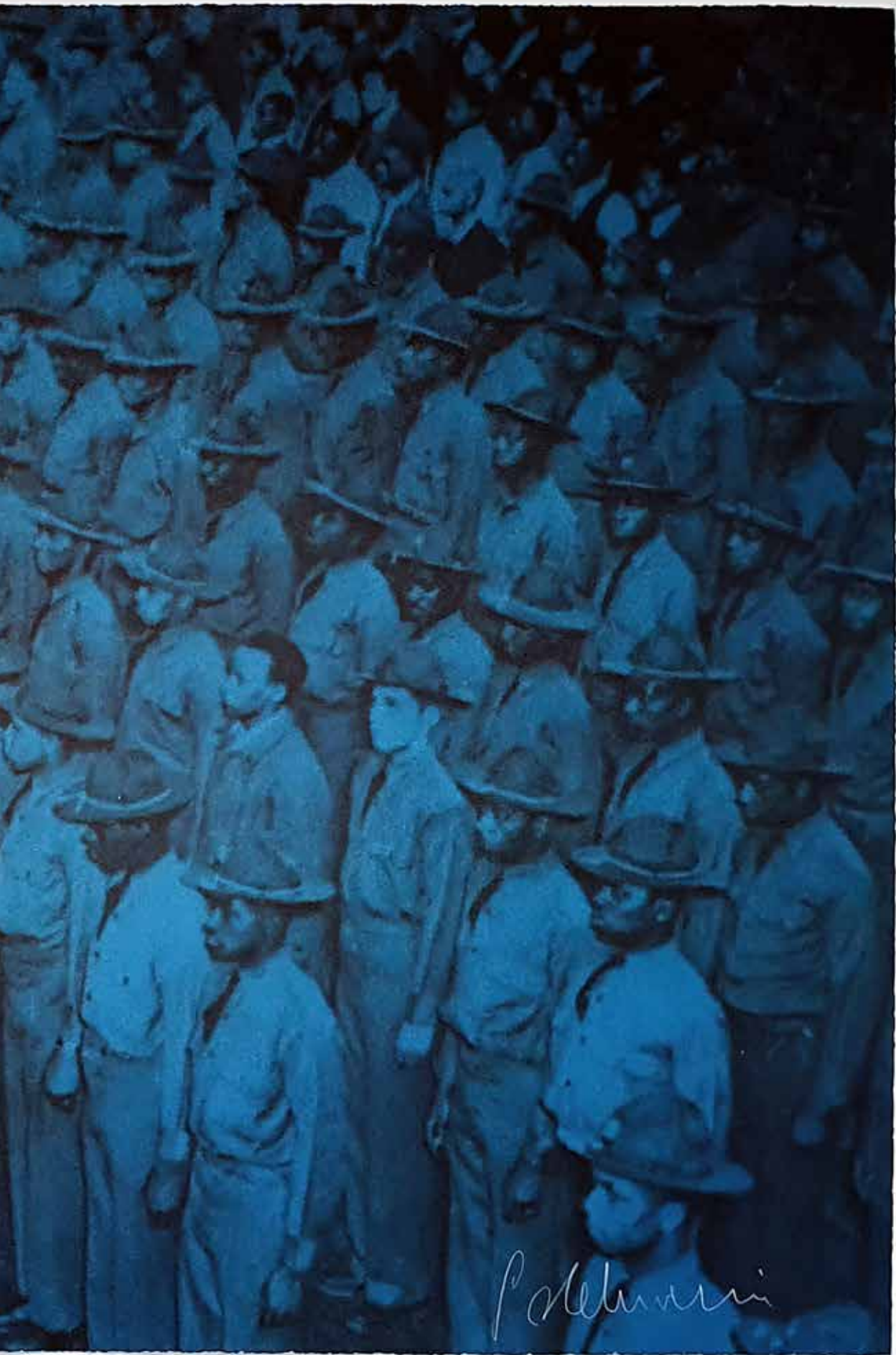
fol. Maria Korusiewicz



Jacek Rykala: Czesiek, grafika cyfrowa

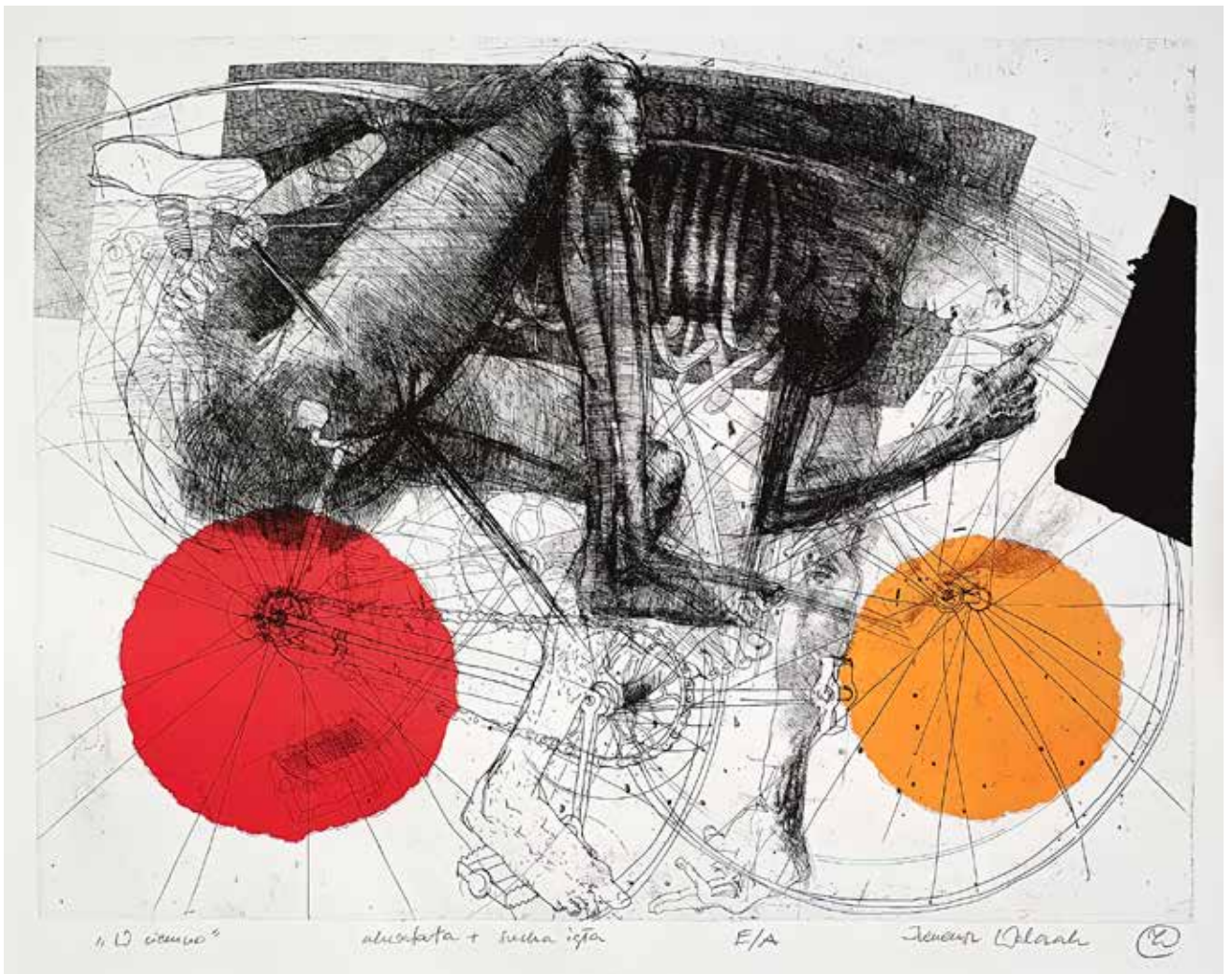


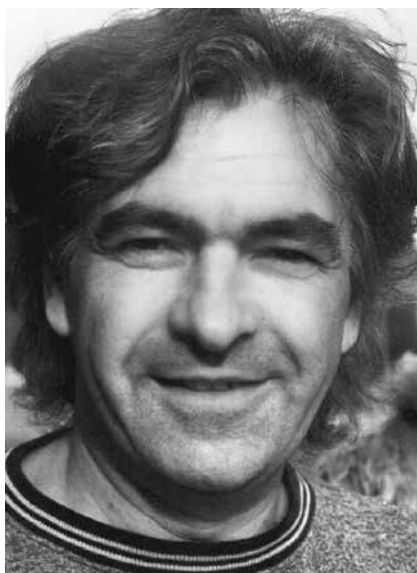






Henryk Ozóg: Chaos. Tech. Intaglio





**ZBIGNIEW BIZOŃ** jest bez wątpienia jedną z ciekawszych osobowości estradowych z czasów wczesnego rock'n'rolla w Polsce. Dziś to postać niemal całkowicie zapomniana, ale w pamiętnym okresie lat sześćdziesiątych zeszłego wieku odgrywał on znaczącą rolę w rodzimym show-biznesie. Urodzony w roku 1942 w Bielsku saksofonista, organista, kompozytor i aranżer zasłynął przede wszystkim stworzeniem wielu wartościowych piosenek, które znalazły się w repertuarze znanych i cenionych wokalistów – Stana Borysa, Czesława Niemena, Katarzyny Sobczyk, Karin Stanek, Haliny Kuniciej i Zdzisławy Sońkiewicz.

#### Beskidzkie sentymenty

Największy rozgłos przyniósł mu nieśmiertelny utwór „Wiatr od Klimczoka” ze słowami Krzysztofa Dzikowskiego. Ekspresyjna interpretacja poruszającej ballady z 1969 roku w wykonaniu Stana Borysa (gdym pośród beskidzkich wzgórz wiatr od Klimczoka wieje, po niebie gna stada chmur, drzew konarami chwieje) jest powszechnie uznawana za wizerunkowy znak rozpoznawczy kompozytorskiej twórczości Bizonia. W swoim dorobku miał on jednak również wiele innych niebanalnych utworów, wśród których wyróżniała się chociażby piosenka „Nie wiem, czy to warto” (1965), napisana specjalnie dla Kasi Sobczyk, wokalistki Czerwono-Czarnych. Po latach doczekała się ona interesujących interpretacji Katarzyny Groniec i Krystyny Jandy.

– W Bielsku się urodziłem, tutaj przeżyłem młodość. To był mój pierwszy świat, pierwsze doświadczenia, pierwsza miłość. Wszystko w Bielsku-Białej było pierwsze. Miałem siedem lat, gdy zacząłem uczyć się w podstawowej szkole muzycznej, potem chodziłem do muzycznego liceum. Pamiętam też góry wokół miasta, które zawsze były mi bliskie – Dębowiec, Szyndzielnię, Klimczok. Inspirację dla utworu „Wiatr

# Wiatr od Klimczoka

ZBIGNIEW LUBOWSKI

od Klimczoka” stanowiła legenda o jednym z najbardziej znanych beskidzkich zbójników. Podobno Klimczok był bardzo przywoitym zbójnikiem, łupił bogatych, ale pomagał biednym. To nie jedyny zbójnik pojawiający się w moich piosenkach. W utworze „Na wierchach wieje wiatr” pojawia się Janosik – opowiadał Bizoń w jednym z nostalgicznym wywiadów prasowych w 2016 roku.

#### Kolorowa era big-beatu

Wszeczhronny multiinstrumentalista (w dzieciństwie uczył się też gry na skrzypcach) przejawiał sporą aktywność estradową. Współpracował z wieloma rodzimymi zespołami big-beatowymi – Niebiesko-Czarnymi (1962), Czerwono-Czarnymi (1962–1965), Tajfunami (1965–1968) oraz utworzonymi przez siebie Bizonami (1968–1970). Warto nieustannie przypominać, że w tamtej epoce politycznej nie wolno było w PRL używać publicznie imperialistycznego pojęcia „rock'n'roll”. Zastąpiono je więc swojskim określeniem „mocne uderzenie”. Bizoń na każdej z owych big-beatowych grup odcisnął charakterystyczne piętno cennych umiejętności kompozytorskich i wykonawczych.

Jego autorskim w stu procentach dziełem była grupa Bizony, wywodząca – rzecz jasna – swoją łatwą do zapamiętania nazwę od nazwiska lidera. W jej składzie pojawili się świetni instrumentalści, w tym m.in. gitarzysta Bogdan Kendelewicz, puzonista Andrzej Dorawa (z zespołu Akwarele, towarzyszącego Czesła-

wowi Niemenowi) oraz trębacz Wiesław Eyssymont (ze swingującego Big Bandu „Stodoła”, związanego ze słynnym klubem studenckim Politechniki Warszawskiej). Wokalistą formacji został zaś Stan Borys, którego nie trzeba chyba bliżej przedstawiać. Zespół wylansował sporo znakomitych piosenek („Lepiej późno niż wcale”, „Żeby uciec trzeba mgły”, „Spacer dziką plażą”, „To ziemia”), które nawet po upływie 50 lat brzmią bardzo interesująco i w najmniejszym stopniu nie rażą anachronizmem.

#### Rzeźba zbójnika dla muzyka

W 1971 roku Bizoń wyemigrował do Szwecji. Mieszka tam na stałe i rzadko przyjeżdża do swojego rodzinnego miasta. Ale jego sporadyczne wizyty w Bielsku stają się cennymi okazjami do okolicznościowych spotkań z kolegami i przyjaciółmi z dawnych lat. Wzruszającą imprezę z jego udziałem zorganizowano w 2014 roku w bielskim Parku Słowackiego. Na plenerowej estradzie parkowej wystąpiła tam wówczas reaktywowana po latach grupa Czerwono-Czarni, w odmienionym składzie personalnym. Rolę gospodarza i konferansjera imprezy pełnił muzyk i wokalista – Ryszard Poznanski, dawny lider C-C. Ówczesny prezydent miasta, Jacek Krywult, wręczył rodowitemu bielszczaninowi symboliczną rzeźbę beskidzkiego zbójnika w uznaniu jego wieloletnich zasług muzycznych. Bizoń to marka sama w sobie – powiedział wtedy gospodarz Bielska-Białej. Trudno się z nim nie zgodzić! ■



Prezydent Bielska-Białej, Jacek Krywult, dekoruje Zbigniewa Bizonia, 2014

Jak to jest, że w drugim człowieku widzisz się czasem odbicie samego siebie, albo kogoś, kto pojawił się wcześniej, przed nami w określonym miejscu i czasie? Czy nie dzieje się tak, bowiem lubimy uciekać od spraw dokonanych, przegranych, niedoli i plag, jakie na nas spadają niczym fale uderzające o brzeg? Może oczekiwaniem wybawieniem z trudnych sytuacji, nużącej zwykłej codzienności są dni, których nie znamy, gdzie wszelkie obawy i nadzieje mają jeszcze, przynajmniej teoretycznie, szansę urzeczywistnienia. Praca ludzkiej wyobraźni zawsze odbywa się w perspektywie oczekiwań, które kształtują nie tylko nasze uczucia, lecz także pobudzają ciekawość dalszego ciągu każdej prywatnej historii, w której zdarzenia powtarzają się bez przerwy, prowadząc do istoty rzeczywistości. W każdym przypadku zaskakującej formą, treścią, znaczeniem.

Podobne dylematy nieobce są bohaterom sztuki *Szczęście (Le Bonheur)* Erica Assousa z roku 2012, francuskiego autora ponad dwudziestu komedii teatralnych, wchodzącego powoli na polskie sceny, niezwykle popularnego poza naszymi granicami. Premiera wspomnianego utworu odbyła się niedawno w katowickim Teatrze Bez Sceny. Assous, zmarły w zeszłym roku dramaturg, scenarzysta filmowy, reżyser, jak mawiano, współczesny Marivaux, mistrz wielkiego, emocjonalnego niepokoju nazywany jest często specjalistą od relacji małżeńskich, w ogóle problemów par w różnych zależnościach i konstelacjach. Jak



# Między słowami

WOJCIECH LIPOWSKI

powiedział w jednym z wywiadów: „Staram się, aby moje komedie były trochę niepokojące, burzące tabu, moje postaci są pełne niedoskonałości, braków, czasem niespełnienia i w tej nieporadności zabawne. Tworzę raczej antybohaterów, kreszę sylwetki ludzi zwykłych pełnych niepokoju. Ten ostatni rozumiem jako coś istotnego, krępującego, wywołującego zażenowanie, napięcie, wynikające z faktu, iż często nie mówimy sobie wszystkiego, co powinniśmy powiedzieć?”

Jego utwory, chociaż w większości komedio-we, wymykają się prostej kwalifikacji gatunkowej, mają drugie dno, które cierpliwi widzowie, otwarci na spotkanie z czymś więcej, niż tylko odbiorem fabuły, z pewnością odkrywają, dziwiąc się zapewne, że pod powierzchnią rzeczy powszednich, przewidywalnych, znajduje się inny tekst dostępny dla wyczulonych i wytrwałych. To główna cecha sztuk Assousa, który często określał tworzone przez siebie fabuły grammi prawdy. Czerpał w tym wypadku zupełnie świadomie z dokonań innych twórców sztuki dramatycznej, wskazując Harolda Pintera czy Jeana-Loup Dabadie. Od pierwszego na-

uczył się budowania napięcia, kreślenia tła społeczno-obyczajowego, drugiemu zawdzięcza cięte, dynamiczne, sprawnie skonstruowane dialogi, zaskakujące repliki, które stanowią niezwykle ozdobę poszczególnych tekstów. Można powiedzieć, że za sprawą tego dziedzictwa udało się połączyć sztukę angielskich podtekstów z wysmakowaną francuską stylistyką. To sprawia, że jego utwory stanowią dzisiaj obfite źródło możliwości inscenizacyjnych dla reżyserów, zaś widzów zapraszają do udziału w niezwykle atrakcyjnym, mądrym widowisku.

Wśród najsłynniejszych tytułów teatralnych autora granych niemal w całej Europie wypada wymienić, zrealizowany także na katowickiej scenie Andrzej Dopierały, *Diabelski młyn (Les montagnes russes)*, 2004 – słynny za sprawą paryskiej adaptacji w Théâtre Marigny, gdzie w obsadzie znaleźli się Alain Delon oraz Astrid Veillon; *Secret de famille* (2008); *L'illusion conjugale* (2009) najlepsze i największe dzieło artysty, w Polsce wystawiane jako *Niebezpieczna gra*; także pojawiający się na naszych scenach *Konserwator (Le Technicien)*, 2010; czy by zamknąć to niepełne wyliczenie *Nasze żony (Nos femmes)*, 2013). Dodajmy, że pisarz za swe dokonania artystyczne otrzymał dwukrotnie prestiżową nagrodę Molière (2010, 2015) oraz w roku 2015 ważną dla każdego dramaturga Grand Prix du Théâtre de l'Académie française. Warto wspomnieć, że niektóre teksty zostały przeniesione na ekran.

*Szczęście* w reżyserii Andrzeja Dopierały to wielki, choć kameralny, teatr dwojga aktorów. Od razu powiedzmy: znakomitych. Spotkanie z Anną Kadulską i Andrzejem Dopierałą, który także



występuje w spektaklu, jest doświadczeniem teatru, który niczego od nas nie chce poza bliskością, obecnością, trwaniem. Przyszliśmy, aby przysiąc się do Luizy oraz Aleksandra, pogubionych w codzienności, niekochanych przez innych, żyjących gdzieś poza czasem, przysiąc do ich trudnych spraw, kruchych przemilczeń, strzępów zdań, czasem wykrzyczanych przy salwach śmiechu widzów, w innym miejscu zgaszonych jednym przejmującym spojrzeniem któregoś z dwojga kochanków – jednym słowem jesteśmy unieruchomieni czymś na kształt sieci spojrzeń, tików, gestów, a z tego wszystkiego wyłania się znana na pamięć historia rodzącego się uczucia, tu podzielona na sceny, sekwencje, przypominające filmowe ujęcia, zresztą obecne w spektaklu jako ciekawa ilustracja fabuły autorstwa Anny Dopierały.

Assous w tej sztuce jest bezlitosny, bo raz daje swym bohaterom nadzieję, innym razem ją odbiera. Śmiejemy się, owszem, ale jak się to mówi: przez żło. Nie mamy gdzie się ukryć będąc jednocześnie świadkami zagmatwanej, choć, jak się wydaje, przewidywalnej do bólu historii niespełnienia, strachu przed samotnością, potrzeby bliskości. Można odnieść wrażenie, iż mieszkanie Luizy (Anna Kadulka wyśmienicie balansuje między pozorną kobiecią nieporadnością, zagubieniem i wzruszającą pewnością siebie) wypełnione jej smutnymi doświadczeniami, staje się coraz ciasniejsze i to nie dlatego, że przebywa w nim uwięziony Aleksander (neurasteniczny, szukający wsparcia Andrzej Dopierała), ale ponieważ problemy tych dwojga niemłodych już, przeoranych przez życie ludzi, skupiły się niczym w soczewce, zagałęciły w jed-



nym miejscu i czasie. Nieważne o czym mówią w danej chwili pisarka i restaurator, artystka i zakotwiczony twardo w empii codzienności mężczyzna, dwa byty, dwa światy, dwa przegładające się w sobie odbicia. Ważne są rozedrgane spojrzenia, morze kłamstw, którymi obsypują się nieustannie, by za chwilę je zdemaskować, mistrzowska gra obojga sprawia, że niczym na fortepianie udaje się wygrać całą gamę nastrojów, które odmieniają przez nas przyklejonych do ich każdego ruchu. Radość, żal, śmiech, smutek, zazdrość i płacz – jak to możliwe, że tyle barw emocji, tyle wcieleń rozpacz, niepokoju stoi na drodze do ich wspólnego szczęścia?

Ocalającą mocą tekstu autora *Szczęścia*, w bardzo dobrym tłumaczeniu Barbary Grzegorzewskiej, jest zawarty w nim humor. Zapewnia oddech, daje aktorom duże możliwości sztuki komediowej, przy tym nie jest nachalny, prosty, obcesowy. Przeciwnie, aktorzy wykorzystują wszelkie okazje, by wydobyć z dialogów całą finezję i paletę możliwości, jakie daje ten gatunek teatralny. W gmatwaniu ironicznym, sarkastycznych ripost Luizy skierowanych do miotającego się Aleksandra jest sporo miejsca na elementy liryczne, wręcz nuty nostalgii, uczucia. Należy pamiętać, oglądając sztuki Erica Assousa, że ich pozorny ład narracyjny, uporządkowanie poszczególnych wątków opowiadanej historii, jakie oferują odbiorcy, może w jednej chwili stać się złudzeniem. Niczym tytułowe szczęście, które przybliży się do bohaterów, by za sprawą jakiegoś kłamstwa, zachowania, słowa wypowiedzianego w złości, odpłynąć w nieznanie.

Wypada zapytać, co zostanie po tej osobliwej wizycie w domostwie Luizy? Jakie myśli towarzyszyć nam będą, gdy wie-

czorem opuścimy oboje, niedługo po uroczystości weselnej? Z pewnością pytania, dość banalne, ale istotne w historii każdego związku dwojga ludzi. I nieważne przy tym, czy ona znajdzie w końcu szczęście u boku innego, zapominając o życiu dawnym, nieudanym małżeństwie. Nie jest ważne, czy on uspokoi myśli, patrząc wstecz na zostawioną rodzinę i wyruszy w nową podróż. Ważne będą pytania i je zabierzemy opuszczając gościnne progi Teatru Bez Sceny. A dotyczyć będą wszystkiego z czym zjawiliśmy się tego chłodnego wieczoru: nieustannego poszukiwania prawdziwej miłości, wiecznych niepowodzeń, nadziei, którą każdy nosi w sobie, wspomnień rzeczy przeszłych, bez których rzeczywistość byłaby trudna do wytrzymania.

Raz jeszcze wielki ukłon dla aktorstwa Anny Kadulskiej i Andrzeja Dopierały. Czystego, naturalnego, zwyczajnie pięknego, będącego również zaproszeniem widzów do udziału w opowieści, której zakończenia nie ujawnimy w tym miejscu. Bardzo pomocne w budowaniu nastroju intymnej adaptacji były oszczędne, proste kostiumy autorstwa Ewy Dopierały i realizacja światła Wojciecha Boruszki budująca klimat wszystkich ulotnych chwil, które wyczarowali przed nami artyści.

Guus Kuijer, holenderski pisarz, w *Książce wszystkich rzeczy* stwierdził: „Wiesz kiedy zaczyna się szczęście? Wtedy, kiedy człowiek przestaje się bać. Chwilowej samotności. Własnego towarzystwa. Własnych uczuć. Kiedy zaczyna wierzyć, że życie jest dobre. I rozumie, że sam strach zabija życie”. Jedno jest pewne – po wizycie u Luizy i Aleksandra możemy na chwilę zapomnieć o niepokoju. ■

**Eric Assous**  
**Szczęście**  
**reż. Andrzej Dopierała**  
**Teatr Bez Sceny**  
**Premiera 20.02.2021**



# Wycieczka do Conflans

WITOLD TURANT

Musimy się pospieszyć, bo w każdej chwili mogą zamknąć.

– No to biegiem.

Ale bez przesady. Mamy swoje lata, więc różnym krokiem wspinamy się wąską uliczką, pomiędzy ciasno przylegającymi do siebie domkami na wzgórzu zwieńczone starym, bardzo starym kościołem. Romański styl z jakimiś pierwocinami nadsekwańskiego gotyku. Ogromne drzwi i gigantyczna klamka, ale jeszcze otwarte. M. wsadza głowę do środka, a po chwili kiwa na mnie, bym podążał za nim. Wewnątrz czuję zapach całkiem inny od zapachu polskich kościołów. Zapach dawnej, katolickiej Francji, najstarszej córki Kościoła.

Ta wycieczka ma coś z niespodziewanej przygody. Przyjechałem tu w innym celu, a pomysł tego wyjazdu pojawił się całkiem nagle. Szukaliśmy miejsca, żeby coś zjeść za miastem. Bo ja mam serce w Szkocji, a żołądek we Francji (także nerki, traktując rzecz nieco metaforycznie, na Bliskim Wschodzie, a konkretniej na irackiej pustyni). Reszta moich organów, z mózgiem włącznie, znajduje się pewnym miejscu nieopodal Skoczowa i wygląda na to, że całość jest z takiego stanu rzeczy zadowolona. Wynikają z tego jednak pewne przymusy, jak choćby ten, że raz na jakiś czas po prostu muszę odwiedzić Francję. I to jest właśnie jeden z takich wyjazdów, kiedy pod pretekstem koncertu unikatku szuka się kaczyczych żołądków, egzotycznych serów, mielonych flaków w jabłkach. A Conflans? Miało sobie być albo nie być, z kościołem lub bez, nad Sekwaną lub nad Oise, jak kto woli. Co nam do tego? Ale los chciał inaczej.

Kiedy całym swoim obrysem znalazłem się wewnątrz kościoła St. Honorine, gdzie ponoć znajdują się relikwie św. Honoryny, patronki miasteczka, byłem już zgubiony, wrota zatrzasnęły się z głuchym łoskotem. Człowiek, którego dostrzeżliśmy w baptysterium na pozór wyglądał zwyczajnie. Ot, francuski emeryt pełniący funkcję kościelnego. Skąd mogliśmy wiedzieć, że okaże się kimś zupełnie innym, wysłannikiem ludzi i czasów dawno minionych. Tymczasem ze ściany spoglądała na nas święta Honoryna, wydana Rzymianom na męki przez zawiedzionego narzeczonego. Wyglądało to dość paskudnie. Młoda kobieta w postawie znamienującej rezygnację wpatrywała się w nas przenikliwym wzrokiem. – Nic nie zrobicie? – Zdawała się pytać. – Czekać mnie okropne tortury, potem ćwiartowanie, a na koniec zostaną wrzucona do Sekwany przez tych okropnych typów w rzymskich półpancerzach. – Rzeczywiście, nie ma czego zazdrościć. Tylko co my możemy zrobić? – Nic. – Zdawała się odpowiadać męczennica z Normandii. – To się już wszystko stało. Możecie mnie jedynie poprosić o wstawiennictwo, jeśli przez przypadek zostaniecie uwięzieni lub jesteście pracownikami morza. – Ponurzy goście w purpurze (strasznie kosztowny element stroju) stali nieporuszeni i obojętni, z grobowymi minami. Nawiasem mówiąc warto zwrócić uwagę, że oprawców niemal zawsze widzimy przybranych, poza purpurą czy złoceniami, w ponure miny. Widać nie cieszy ich tak bardzo to, co robią, jak można by przypuszczać, a jeśli nawet, to jest to jakiś bardzo ponury rodzaj radości, za który raczej podziękowałbym na ich miejscu.

– Maclou. – Pytam starego, który pokazuje nam wizerunek świętego. – Dziwne imię. Czy aby na pewno chrześcijańskie?

Conflans, fot. Alexandrin



– Jak najbardziej. – Odpowiada. – Znany także jako Malo. Oczywiście święty mnich benedyktyn ze Szkocji. Tam nazywał się McLeod.

Ach, ci Francuzi. Podobnie jak Anglicy, wymawiają wszystko po swojemu. Ale święty to święty. Ktoś musiał czuć nad tym zlewiskiem Sekwany i rzeki Oise, gdzie co jakiś czas pojawiały się drakkary wikingów, dla których wcześniej napotykanne umocnienia najwidoczniej nie stanowiły skutecznej zapory, ponieważ za panowania Karola Grubego dotarły do samego Paryża. W końcu sytuacja stała się naprawdę poważna; jedno z agresywnych plemion opanowało nie tylko ujście Sekwany, ale i spory szmat lądu nazwanego wkrótce potem Normandią. Conflans stało się ostatnim punktem oporu. Dalej już była Ile-de-France i jej serce – Paryż. Karolingowie wyciągnęli wnioski. Lepiej było mieć za sąsiadów znajomych rudiółców, którzy przyjęli miejscowy język i coraz bardziej upodabniali się kulturowo do Francuzów, niż co roku użerać się z nowymi falami niszczycielskich natrętów z coraz dalszej Północy. Kolejni władcy, Karol Gruby i Karol Prostack negocjowali zawzięcie ze zmiennym powodzeniem. Obaj, niby tacy sprytni, wyszli na tym jak Zabłocki na mydle, bo te układy jednego i drugiego króla kosztowały tron. Karol Gruby po paryskich doświadczeniach zaproponował napastnikom *carte blanche* w łupieniu Burgundii i jakieś pieniądze, a i jego imiennik w kilkadziesiąt lat później wymyślił i sfinalizował tę historię z Normandią. Wygląda na to, że nawet decyzje feudalnych monarchów musiały mieć coś w rodzaju społecznego przyzwolenia.

– Ciekawe, czy tych monarchów już za życia nazywano ich przydomkami? – Zastanawia się M., kiedy siedzimy na tarasie bistro, teraz już pobliskim Villennes.

– Powiedzieć komuś, że jest chrobry czy wielki, to żadne ryzyko. Jednak już z grubym, zwłaszcza noszącym u boku miecz, to już poważniejsza sprawa. A nazwij prostakiem...

– Albo kurdupla krótkim, czy gościa z krzywymi nogami płatonogim. Niebezpiecznie.

– Dlatego obstawiam kronikarzy i historyków następnych pokoleń. Ale zawsze jest jednak coś na rzeczy. U Karola Grubego tuszę widać na wizerunkach, a Prostack? Możemy się jedynie domyślać.

– U nas był taki jeden dzielnicowy władca o przydomku Plwacz. Odonic miał na imię. Ten musiał mieć maniery.

Jeszcze w Conflans. Imponujący nagrobek, nieco na ubożu. Dobrze zachowana postać rycerza zwraca natychmiast uwagę. Nasz przewodnik otwiera przed nami kolejny rozdział jak historyczne dzieło. Rozpoczyna się saga rodu Montmorency. – „Zabiłem mojego Maura” – chwalił się ponoć głośno protoplasta rodu, rycerz walczący u boku Karola Młota (*mon Maure occis*). Mathieu IV de Montmorency to jeden z bardziej znanych wojowników średniowiecza. Na lądzie i na morzu doskonale sobie radził. Nic dziwnego, że został admirałem – zaatakował i spalił Dover. Tym bardziej to godne uwagi, że w potyczkach morskich z Anglikami Francuzom się raczej nie wiodło.

Ot, mały przykład – podczas jednej z wypraw, która nie doszła w ogóle do skutku, dowództwo powierzono włoskiemu admirałowi o przydomku Barbanera, bohaterowi wielu zmaganiań na Morzu Śródziemnym. Żeby jednak mieć jakąś kontrolę nad wojskiem, Barbanera miał nad sobą dwóch strażników królewskich finansów, czyli księgowych i musiał uzgadniać z nimi swoje decyzje i rozkazy. Dwaj finansisi nakazali mu powiązać na noc wszystkie okręty, bo uważali, że to wzmocni ich obronę przed atakiem Anglików, a także może uda się wynegocjować tańszą opłatę portową. Admirał złapał się za głowę, bo przewidywał, jak to się wszystko zakończy. I rzeczywiście. Anglicy podpłynęli w nocy i zorientowawszy

się w sytuacji podpalili jeden francuski okręt, a wiatr wykonał resztę roboty. Nie ocalał ani jeden okręt, a wielu marynarzy i rycerzy potonęło. Ale to miało dopiero nastąpić w 1340 roku pod Sluys, podczas wojny stuletniej. A my na razie wciąż w Conflans, nad grobem słynnego rycerza i pana na zamku Montjoy. Z opowieści starego kościelnego wynikało, że mieszkańcy miasta chwalili sobie swego *séigneura*, który i dla św. Honoryny, to jest dla kościoła potrafił być hojny. A zatem i miejsce na pochówek się znalazło i dzięki dobrej opiece płyta nagrobna zachowała się w całkiem niezłym stanie. Inna rzecz, że ród Montmorency, wywodzący swe początki od samego Hugona Capeta, nie raz miał jeszcze odegrać istotną rolę w dziejach Francji.

– Geny – powiada M. – Poza tym może tak byli wychowywani, z pokolenia na pokolenie.

– Możliwe. Jednak te okolice to prawdziwa wylegarnia średniowiecznego rycerstwa. Feudałowie wierni panom domeny królewskiej, krzyżowcy, obrońcy praw i przywilejów królów Francji. Tak waleczni, że kiedy nie mieli w zasięgu miecza czy kopii godnego przeciwnika, walczyli pomiędzy sobą. Nawet w rodzinie. Niektórzy twierdzą, że papież Innocenty III miał ich waleczności powyżej uszu i była to jedna z przyczyn krucjat.

*Seigneurs, sachiez qui or ne s'en ira*

*En cette terre lointaine prendre la Croix A grande peine ira en Paradis C'est Thibault même en chantant qui l'a prédit.*

Napominał Thibault de Champagne, trubadur i król Navarry. Napominał, bo kiedy krucjaty straciły już pierwszy impet i entuzjazm nieco opadł, okazało się, że ryzyko jest duże, a korzyści... Hm... Trzeba było umieć je sobie zapewnić. W tamtych czasach, jak pisze Georges Duby, europejskie pola bitew na ogół przypominały rycerskie turnieje. W każdym razie dla szlachetnie urodzonych. Rycerstwo zabijało się rzadziej. Pokonanych brano do niewoli, bo to był złoty interes – rodziny za uwolnienie rycerza płaciły słony okup. Natomiast pospólstwo było mordowane i mordowało się nawzajem z wielkim zapalem i poprawiało statystyki poległych, żeby potomni nie sądzili, że wojna to zabawa. Za to plądrowano raczej chętnie. W końcu od początku świata szło się na wojnę, żeby coś zyskać. Zastanawia także niska frekwencja królów w miejscach, gdzie układano poległych. I tu znowu przydatne jest wyjaśnienie Georgesa Duby: zabicie namaszczonego olejami świętymi w tamtych czasach nawet w bitewnym ferworze było poważną sprawą, niosącą także i zwycięzcy różne przykre konsekwencje, z ekskomuniką włącznie. Krucjaty nie znały takich ulg. Zabijał każdy każdego i zwyczaj ten z czasem przywdzierał wraz budowniczymi katedr, technologią produkcji szkła, wiedzą medyczną oraz dziełami Arystotelesa do Europy. No cóż, różne rzeczy i zwyczaje przywozi się z wojny. Innym podarunkiem Wschodu dla Europy były choroby, w tym także weneryczne.

Kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Conflans, w Vexin, oglądaliśmy już wcześniej grób dwóch rycerzy krzyżowych, którzy powrócili, by złożyć swe kości na rodzimej ziemi. Nie wszystkim się to udawało. Dziś ich imiona są już nieczytelne i trudno powiedzieć, czy byli natchnionymi przez papieskie bulle kandydatami do rajy, czy też zwykłymi zabijakami i rabusiami. Tak czy inaczej zapewne wymierzono im już sprawiedliwość i niech spoczywają w spokoju. Natomiast Mathieu IV z rodu de Montmorency, któremu los krzyżowca został oszczędzony, doczekał się prac konserwatorskich swojego grobowca w Conflans, nad zlewiskiem Sekwany i Oise, w miejscu, na które co jakiś czas ktoś ostrzył sobie zęby. Jak nie Burgundowie, to Flamandowie z Brabancji, a jeśli nie Flamandowie, to do zakończenia wojny stuletniej zawsze można było spodziewać się wizyty Anglików.

Pogłos opowieści starego kołaczę się gdzieś pod wczesnotyockim sklepieniem wieńczącym romańskie solidne mury.

– Czy Mathieu lub jego potomek mieli szanse zostać królami?  
– Dlaczego nie? Prowincjonalni Andegawenowie oraz prowincjonalni Burboni doczekali się korony, a de Montmorency byli wystarczająco dobrze skoligaceni. To wszysko byli w mniejszym lub większym stopniu nosiciele genów Hugona Kapeta.

– Feudalne rozdrobnienie?  
– Właśnie. U was to się stało trochę później, za tego króla... no...

– Księcia. Bolesława Krzywoustego.  
– No właśnie. A u nas znacznie wcześniej, bo już potomkowie Karola Wielkiego zaczęli się dzielić cesarstwem. Mimo że jeszcze przez jakiś czas oficjalnie stolicą było Reims, to Paryż i przyległości stały się w końcu dzielnicą senioralną. Poza tym dzielnicowym władcem łatwiej było o koronę. Rozumiecie, dobre układy z papieżem.

– Wiemy, wiemy. Najstarsza córa kościoła i tak dalej.  
– Nie tylko to, ale to także pomagało. Taki Thibault z Szampanii był królem Nawarry. Ale już Tuluza była tylko stolicą hrabstwa, co tamtym hrabiom nie przeszkadzało konkurować z królami Francji. Były czasy, kiedy byli nawet potężniejsi. Sporo wody w Sekwanie upłynęło, zanim Burgundowie i inni pojęli, że Francji z drogi do chwały nic nie zawróci.

Prezbiterium w remoncie. Jednak wchodzimy – trochę na specjalnych prawkach. Robocze oświetlenie, bardzo dyskretne, potęguje nastrój tajemnicy. Średniowiecze jest dla nas przecież tajemnicą i na zawsze już nią pozostanie. Bo co my wiemy? A nawet jeśli coś wiemy, to są to jedynie daty i suche w gruncie rzeczy relacje pisane dość egzotycznym językiem. Zaufać pisarzom i reżyserom filmowym? Jeszcze czego! Już lepiej zdać się na własną wyobraźnię, tak czy inaczej skażoną obrazem i atmosferą narzucaną przez literaturę i film. Malowidła, śpiewy gregoriańskie, pieśni trubadurów – w tym cała nadzieja. Pamiętam taki poranek, a właściwie noc jeszcze, w Le-Ménil-Le-Roi, kiedy w połączonym radiu, oczywiście poprzez słuchawki, żeby gospodarze nie pomyśleli, że oszalałem, budząc ich o tak wściekłej porze, usłyszałem gregoriańską jutrznię śpiewaną w Chartres. Zacząłem wtedy rozumieć istotę kluniackiej duchowości, przemówiły do mnie zasady głoszone przez opata Sugéra, idee i przekazy zawarte w katedrach stawały się bardziej czytelne. Leżałem w łóżku zasłuchany, a za oknem budził się świt. Wstawał słoneczny, wiosenny dzień. Za kilka godzin w okolicach paryskich mostów pojawią się dziewczęta i będą sprzedawać konwalie. Zwyczaj chyba tak stary, jak Francja. Jesteśmy wciąż tymi samymi ludźmi. Nie ma pomiędzy nami istotnych różnic. Te, które są, wynikają jedynie z tego, iż posługujemy się innymi narzędziami we wszystkich niemal sferach życia. Podobnie jak tamci, uważamy noc za porę straszną i magiczną. To nic, że rozświetlamy ją sobie ledowymi lampami, a oni kagankami i łuczywem. Spróbujcie przejść leśną drogą w śmiertelnych ciemnościach nocy. Noc nadal pozostaje tajemnicą. Jeśli uważacie, że nie, kto w takim razie w ciemnym mieszkaniu ustawią złośliwie na waszej drodze krzesła, stołki, wysuwa zdradzieckie szufłady, rozkłada dziecinne wrotki, wyciąga na środek kuchni psie miski, żebyśmy mieli na co wpadać i o co się w ciemnościach potykać?

Prezbiterium kościoła St. Honorine w Conflans uchylało rąbka tajemnicy. Mur odsłaniał dawne malowidła, światło przywracało dawny kształt romańskim kapitelom, a na okna z witrażami z różnych późniejszych okresów miłosierna noc zaciągała kurtyną mroku. Gdzieś tu ukryto relikwie święte, z pulpitu zwieszał się dokument z nadaniami dla parafii, podpisany dawno temu przez któregoś z królów i poświadczony przez któregoś z de Montmorency. Historia. Historia, która czekała na nasze przybycie, by odsłonić się przed nami niby tancerka wykonująca ta-

niec siedmiu zasłon.

Remont się wlecze. Trudno się jednak dziwić, bo tu rządzi konserwator zabytków. Skądś to znamy, ale trudno, żeby było inaczej. Mrok gęstnieje, a migotliwe światło przenośnej lampy ożywia postacie zaludniające boczne ołtarze i kapitele, na których także nie brak motywów roślinnych. Wydaje się, że sklepienie nad prezbiterium nieznacznie, ale konsekwentnie obniża się. Przegrody z desek, kable o przeznaczeniu znanym tylko ekipie remontowej i bezcenne zabytki liturgiczne koegzystują ze sobą, jakby ten stan trwał od tysiąca lat.

Jeszcze tylko kilka uwag o szaleństwach tego świata i teologicznych interpretacjach niektórych wydarzeń (kościelny sprawa wrażenie bieglego w zawiłościach zarówno współczesnej jak i dawnej teologii) i nasza wizyta dobiega szczęśliwego końca. Wizyta? Nie. Podróż do przełomu tysiąclecia minionego i poprzedniego. Potężne wrota świątyni zamykają się, jakby opadła kurtyna. Możemy sobie tylko wyobrazić, jak z pobliskiej wieży zamku Montjoy wypatrywano kolejnych zagrożeń. Po Normanach pojawiali się od zachodu Anglicy. Od północy można było spodziewać się Flamandów i Burgundczyków. Wiadomość o zwycięstwie Filipa Augusta pod Bouvines oznaczała okres bezpieczeństwa. Mathieu IV zarządzał swoją domeną w czasach względnego spokoju. Jan Bez Ziemi, niegdyś sprzymierzeniec Francji w utarczkach z bratem, Ryszardem Lwie Serce, teraz sprzeniewierca, przegrał swój honor, ziemie, do których Anglicy mogli rościć pretensje, a także wsparcie Ottona, cesarza Niemiec, Wilhelma z Holandii, zmienego jak chorągiewka hrabiego Dammartin z Boulogne i wszystkich, których udało mu się przeciw francuskiemu kuzynowi zmobilizować. Anglia nigdy już nie odzyskała ziem, które niegdyś sięgały od granicy z dzisiejszą Belgią aż po Hiszpanię, choć jej królowie używali tytułu „król Francji” aż do 1802 roku. Dopiero wojna stuletnia przyniosła nowe zagrożenia i chwilami wydawało się, że przybysze zza Kanału osiągną swój cel. Ale wtedy do walki stały kolejne pokolenia rodu de Montmorency, a z Conflans widać było łuny. Nie obyło się zapewne bez wstawiennictwa św. Honoryny oraz św. Maclou.

Znikały z mapy królestwa i księstwa, a także hrabiowskie domeny. Francja Kapetyngów, Walezjuszy, a potem Burbonów powoli przybierała kształt jaki znamy. Dziedzictwem państwa Franków Karola Wielkiego pozostał na długo spór o Alzację i Lotaryngię. Podobnie jak Śląsk, krainy te poszukiwały swojej tożsamości narodowej i językowej. Warto jednak pamiętać, iż narodowość i naród to pojęcia późnej Europy. W czasach Filipa Augusta i postkarolińskiego rozdrobnienia liczyło się tylko to, komu deklarował lojalność *séigneur*. A bywało, że najchętniej sobie.

W ogromnej szczelinie muru wieży Montjoy, wielki pałąk, jak bożek dziejów, tka swoją sieć. Warto zrobić zdjęcie. Wszyscy jesteśmy w nią uwikłani. Wydarzenia wielkiej wagi i te wagi znikomej zachodzą na siebie niczym kółka zębate w skomplikowanej maszynierii. Często bywa tak, iż element tej struktury uważany za drobny i nieistotny pociąga za sobą cały ciąg incydentów, który przeistacza się w lawinę, która potrafi nieźle dać się nam we znaki. Przykładów mamy aż nadto, żeby się nad nimi rozwodzić.

Teraz do Triel, gdzie nieco młodszy kościół jest jednocześnie mostem nad ulicą, którą odbywa się normalny ruch samochodowy. To już gotyk po myśli opata Sugéra. W dole Sekwana i niezliczone pociągi barek. Tu transport rzeczny nie jest przedmiotem abstrakcyjnych dyskusji. Tak było zawsze. Ludzie mieszkający nad wielką rzeką, bądź nad morzem, nawigację mają widać we krwi. Polacy, jak koty otrząsają się na widok większych zbiorników wodnych. Francuzi przeciwnie. Na barkach kwitnie życie. Tu się pracuje, śpi, prowadzi się życie rodzinne, a nawet garażuje samochody. Z Paryża można dopłynąć do któregoś z portów Morza



Północnego i ten system wymyślono już bardzo dawno temu. W Polsce to egzotyka.

Późny wieczór odnajduje nas przy stoliku bistro w Villennes. Fonetycznie rzecz biorąc, to musiałoby to być miejsce zamieszkałe przez łajdaczki albo brzydactwa. No cóż, mamy pewien przegląd lokalnego damskiego fenotypu i dochodzimy do wniosku, iż nazwa jest niezasłużona, w każdym razie w swoim fonetycznym aspekcie. Jestem zawiedziony: czekolada, którą mi podano, przypomina kakao z łusek w przedszkolnej jadalni w czasach mojego dzieciństwa. We Francji (i we Włoszech) jestem przyzwyczajony do mistrzostwa w tej dziedzinie. A tu takie rozczarowanie. Villennes to domena willi, pałaców i bogatych rezydencji. Także i tu wspomnienia po wojnie stuletniej. Naprzeciw nas, w sercu miasteczka dziwny asymetryczny kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Początki parafii datuje się na 1007 rok. Tysiąc lat – to robi wrażenie. Ale czekolada nie. Przyglądamy się tej asymetrii, a zegar, nieco młodszy niż kościół, wydzwaniania późną godzinę. Pora wracać.

M. parkuje samochód w sposób kłócący się w oczywisty sposób z zasadami geometrii. St. Germain-En-Laye. Dom stary, mieszkanie niewielkie, a podwórze to już całkiem mikroskopijne. Ale się udało. Dom z czasów, kiedy Chopin koncertował w Paryżu i odbijał Alfredowi de Musset panią George Sand. W korytarzu zapach szlachetnej starzyny. Stare drzwi, a w nich klamki, których dotykało wiele dłoni. Gdzieś z sąsiedztwa dobiegają dźwięki fortepianu. Tu urodził się Claude Debussy i pewnie przed stuleciem przeskadzał trochę sąsiadom. Dziś mieszkańcy St. Germain są z niego dumni. Jedną z sąsiednich ulic nazwano jego imieniem.

Mieszkanie na parterze. Francja i świat za okiennicami. Może wystarczyłoby powiedzieć – za oknami. Ale tu są jeszcze okiennice i stały półmrok, który sprawia, że zabytkowy kominek, choć nieczynny, i stiuki na suficie, działają na wyobraźnię. Przy stłumionym świetle wieczornej lampy powraca historia – zrazu dyskretnie, a potem coraz śmiej, jak smak wina z południa – najpierw delikatny, a później odsłaniający całą swoją złożoność. Aż wreszcie nadchodzi sen. Ale historia nie zasypia – dzieje się przez cały czas i jest w każdej minucie, która właśnie upłynęła. Kro-



Wieża Montjoy, fot. Chabe01

lowie, bohaterowie, zdrajcy i zwykli ludzie – tak zwykli, że bezimienni. Jak my, jak nasi sąsiedzi. Ale bez nas, bez nich, nie byłoby historii. Nie miałby jej kto opowiedzieć i nikt by jej nie wysłuchał. A historia musi być opowiedziana, tak jak w kościele w Conflans. Wtedy Klio, jej muza, jest szczęśliwa. ■

Fragment książki Witolda Turanta pt.: *Uśmiechnięta ryba historii* przygotowanej do druku w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” w roku 2021.

# NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:  
Anna Gaitoer

---

## Lockdown w kulturze

**KATOWICE.** Od 20 marca do 9 kwietnia br. znów zamknięte zostały wszystkie instytucje kultury z powodu III fazy rozwoju pandemii.

---

## Powołania.

**KATOWICE.** Zarząd Województwa Śląskiego powołał Panią **Marię Czarnecką** na stanowisko dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach z dniem 10 marca 2021 r. na okres pięciu lat tj. do 9 marca 2026 r.

Zarząd Województwa Śląskiego Powołał Pana **Zygmunta Woźniczke** na stanowisko dyrektora Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańskiego z dniem 1 marca 2021 r. na okres siedmiu lat tj. do 29 lutego 2028 r.

Zarząd Województwa Śląskiego powołał **Radę Programową „Panteonu Górnośląskiego w Katowicach”** w składzie:

1. Piotr **Czarnynoga**
2. dr Andrzej **Krzystyniak**
3. dr Jacek **Siebel**
4. dr Andrzej **Sznajder**
5. prof. zwyczajny dr hab. Wojciech **Świątkiewicz**

---

## Nagroda Ministra Edukacji i Nauki

**GLIWICE.** Prof. dr hab. inż. Andrzej ŚWIERNIAK (ur. 1950) otrzymał Nagrodę MEiN w najbardziej prestiżowej kategorii: za całokształt dorobku naukowego. Odnotowujemy to wydarzenie, bo prof. Świerniak jest również... artystą i uczonym multidyscyplinarnym. Ukończył automatykę i informatykę na Politechnice Śląskiej, a także matematykę na Uniwersytecie Śląskim. Już w czasie studiów związał się ze słynnym teatrem studenckim STG (1969). Grał w *Jasełkach Moderne* Iredyńskiego, *Fabryce Absolutu* wg Czapka, *Państwie Trawnika* wg Witkiewicza i Schulza, a także m.in. w bajkach dla dzieci, np. *Powrót Smoka* Wolskiego. Andrzej Świerniak do dziś pełni funkcję wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia STG. Pytany, skąd pochodzi, odpowiada po lwowsku: „Tajoj, nie słychać? Z... Wałbrzycha”. O światowej sławy dokonaniach Profesora w dziedzinie bioinformatyki pisaliśmy w „Śląsku” nr 2/2018 (*Chaos na Galapagos*), a zestawienie ważniejszych jego publikacji i osiągnięć naukowych, realizowanych w Europie i Ameryce, zajęłoby tu kilka stron. Ograniczamy się więc tylko do gratulacji oraz życzeń zdrowia i powodzenia w dalszych pracach.



for. arch.



# PRZESTRZEŃ SŁOWA

... i wystawy i inne, spotkania  
...alne, happeningi, wystawy i inne, spotkania  
...ty, projekcje multimedialne, happeningi  
...e, spotkania, koncerty, spotkania  
...medialne  
...stawi i  
...nce

# BLIŚKOSĆ



**MARZEC – LISTOPAD 2021**  
**ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA**  
**Sosnowiec, ul. Kościelna 11**  
wstęp tylko z bezpłatną wejściówką

ZNAJDZIESZ NAS NA: [www.biblioteka.sosnowiec.pl](http://www.biblioteka.sosnowiec.pl)  
fb mbp.sosnowiec youtu.be/pl/bibliotekasosnowiec @mbp\_sosnowiec

Opera  
Śląska  
*zaprasza*

W. A. MOZART  
REQUIEM D-MOLL



02.04.2021 NA ANTENIE KULTURA



Opera Śląska  
jest instytucją kultury  
Samorządu Województwa Śląskiego



Mecenas:



Dealer BMW  
Gazda Group Gliwice

Partner:



Bank Polski

